

JACK HIGGINS

GRA DLA BOHATERÓW

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ JULIUSZ GARZTECKI

Tytuł oryginału: A GAME FOR HEROES

Mojej żonie i dzieciom, które dobrze znają Plażę Steinera.

Zwykle mężczyźni umierają na wojnie, gdy nic na to nie mogą poradzić i zostają pokonani przez niekorzystną sytuację.

Od Autora.

Okupacja niemiecka Wysp Normandzkich w latach 1944-1945 jest faktem historycznym, ale wiem z całą pewnością, że na mapie tego obszaru nie znajduje się wyspa St-Pierre. Dzięki temu nie muszę chyba zapewniać, że wszystkie postacie i wydarzenia w tej opowieści są fikcyjne. Nie ma więc ona związku z osobami żyjącymi.

J.H.

Prolog - Piękny poranek na umieranie

O świcie wraz z przyływem zaczęły pojawiać się ciała - splątane, wynurzające się z fal przyboju na plażę, która leżała o jakieś sto stóp poniżej mojej kryjówki.

Z oczywistych przyczyn zatoczka zwana była Podkową. Jako chłopak pływałem w niej więcej razy, niż potrafiłbym spamiętać, a podczas odpływu była tam znakomita plaża. Ale teraz wybrzeże było nadzwyczaj niegościnne, usiane minami dusiło się pod zwałami drutu kolczastego, napiętego na pordzewiałych, stalowych lancach. W ten zimny kwietniowy poranek nie było to stosowne miejsce pobytu ani dla żywych, ani dla umarłych.

Padał drobny deszczyk, a przy porannej mgiełce widzialność była tak kiepska, że nawet Fort Victoria, położony na skalistym przylądku o ćwierć mili stąd, był ledwie widoczny.

Z wodoszczelnej puszki wyciągnąłem papierosa, zapaliłem i siedziałem na miejscu, obserwując, jak do zatoczki wpływa coraz więcej ciał. Nie robiłem tego, aby zaspokoić jakąś niezdrową ciekawość. Przed zapadnięciem ciemności nie mogłem tak po prostu opuścić schronienia wśród ciernistych krzaków janowca. Na tak małej wysepce schwytano by mnie z pewnością, gdybym poruszał się w świetle dziennym, a już szczególnie teraz, kiedy było wiadomo, że tu przebywam.

W ciągu pięciu lat wojny zobojeźniałem na śmierć, nawet najpaskudniej wyglądającą. Dawno minął czas, gdy widok zwłok wywoływał we mnie jakiekolwiek uczucia. Zbyt wiele ich widziałem. Jedynym istotnym faktem była tylko sama śmierć. Pode mną Brytyjczycy i Niemcy pływali razem, i z takiej odległości nie można było ich odróżnić, a to już czegoś dowodziło.

Rozprysnęła się kolejna fala, ciskając jakieś ciało wysoko w powietrze i zanosząc je na plażę, dalej niż inne. Gdy wylądowało, wybuchła mina i ciało znów zostało rzucone w górę z dzikim wymachem rąk, jak gdyby zachowało się w nim jeszcze nieco życia. To zaś, co z niego pozostało, wybuch przerzucił na druty, gdzie zawisło niczym kawał surowego mięsa.

W mniej więcej dziesięć minut później napłynęły następne zwłoki, podtrzymywane żółtą kamizelką ratunkową. Morze cofnęło się z rozgłośnym młaśnięciem, pozostawiając ciało leżące twarzą w dół. Wyglądało, jakby poruszało się odrobinę. Z początku myślałem, że ulegam złudzeniu. Mógł to być efekt gry światła albo choćby tego, że ciało w nadmuchanej kamizelce ratunkowej w płytkiej wodzie poruszało się inaczej niż inne.

Ale pomyliłem się. Gdy znów na plażę opadła kurtyna zielonej piany, uniosło się ramię, a dłoń jak gdyby chwyciła palcami powietrze, mnie zaś wydało się, że słyszę, jak człowiek popychany ku drutom wydaje słabe krzyki.

Przez następne dwie, może trzy minuty nie dosięgały go kolejne fale. Leżał zupełnie wyczerpany, lecz gdy nadpłynął wielki grzywacz i przydusił go do piasku, próbował się podnieść. Po

cofnięciu się fali, człowiek jeszcze żył. Ale to przedstawienie w dole mogło mieć tylko jedno zakończenie.

Przycupnąłem, osłonięty krzakami janowca, czekając, co nastąpi. Cokolwiek by się stało, nie chciałem, aby pozwoliło mi grać bohatera. To, co się potem zdarzyło, nadeszło z zupełnie nieoczekiwanej strony: od załamania w klifie, na prawo ode mnie, gdzie ku plaży opadała wąska ścieżyna.

Najpierw usłyszałem podniecone, wołające głosy, a potem ukazało się i zatrzymało na szczycie pagórka, o jakieś pięćdziesiąt stóp powyżej morza, pół tuzina ludzi. Byli to robotnicy z Organizacji Todta [1], garstka nieszczęśników przywiezionych tu z Francji do pracy nad fortyfikacjami wyspy. Ci wyglądali na brygadę budującą drogi, gdyż nieśli kilofy i łopaty. Nie było przy nich straży, co zresztą nie dziwiło. Przecież wyspa stanowiła więzienie tak dobrze strzeżone, jak każde inne.

Wyglądało, że się kłóca. Następnie jeden z nich ruszył przed siebie i zaczął zsuwać się po zboczu w kierunku plaży. Gdy do końca brakowało mu dziesięciu, może piętnastu stóp, zeskoczył na miękki piasek, podniósł się i zbliżył do drutów. Był to dzielny człowiek, ale teraz znalazł się bliżej śmierci, niż mógł zdawać sobie sprawę.

Znów nadpłynęła wielka fala, wyrzucając kolejne zwłoki na pole minowe. Nastąpił nagły wybuch i przez chwilę morze wrzało. Gdy się cofnęło, zauważyłem ze zdumieniem, że człowiek w żółtej kamizelce ratunkowej jeszcze żyje.

Ale wiele czasu mu nie pozostało. Teraz potrzebował już cudu, a wszystko wskazywało, że cudem okaże się Owen Morgan. Gdy pracownik Todta, który przed chwilą padł na twarz, podniósł się i zatrzymał z wahaniem, uświadomiłem to sobie wyraźnie. Ten człowiek wiedział już o minach i tylko głupiec mógłby się zapędzić w taką śmiertelną pułapkę - głupiec lub ktoś, komu specjalnie nie zależało ani na życiu, ani na śmierci.

Z uchwytu przy pasku na plecach wydobyłem mauzera z cebulastym esesmańskim tłumikiem i wsunąłem do kieszeni mego krótkiego, dwurzędowego płaszcza. Następnie zdjąłem płaszcz i wepchnąłem do szczeliny w głębi nawisu skalnego, pod którym się ukrywałem. Nóż przełożyłem do prawej kieszeni. Był to sprężynowiec, otwierany jedną ręką, co mogło się okazać przydatne w wodzie.

Cóż jeszcze? Moje wojskowe znaczki tożsamości. Sprawdziłem, że spoczywają spokojnie w sekretnej kieszonce pasa, choć tam, gdzie się wybierałem, niewiele mogłem mieć z nich pożytku. To samo dotyczyło czarnej łaty, przykrywającej to, co pozostało z mego prawego oka; prawie o niej zapomniałem. W takim przyboju wątpliwe, czy utrzymałaby się na miejscu. Ściągnąłem ją i zawiesiłem na szyi na elastycznej taśmie.

W krainie ślepców jednooki jest królem. Bóg jeden wie, czemu ten cytat przyszedł mi na myśl, gdy zszedłem dwadzieścia, może trzydzieści stóp w dół wąską szczeliną i wynurzyłem się na półce skalnej. Robotnicy Todta na zboczu pagórka natychmiast dostrzegli mnie, ale człowiek na plaży był znów koło drutów, szukając przejścia.

- Niedobrze... za wiele min! - wrzasnąłem po francusku. - Zostaw to mnie!

Odwrócił się zaskoczony i podniósł głowę, gapiąc się tępym wzrokiem. Wobec tego, na wszelki wypadek, powtórzyłem mu to po angielsku i niemiecku. Tuż pode mną była skałka wysunięta o jakieś trzydzieści stóp nad głęboką wodą. Gdy miałem dwanaście lat, skoczyłem stamtąd, by zrobić wrażenie na Simone. Tak się przestraszyła, że przez cały tydzień nie chciała ze mną rozmawiać. Przypomniałem to sobie tak wyraziście, że zatrzymałem się na chwilę.

Ładny poranek... piękny poranek na umieranie. Szybko zaczerpnąłem powietrza i skoczyłem.

Było zimno; tak zimna potrafi być tylko Cieśnina Kaletańska, gdy Atlantyk wpływa do niej prosto z Nowej Fundlandii. Zanurzyłem się głęboko, a kiedy porwał mnie prąd, zacząłem kopać z całej siły.

Byłem ubrany w drelichowe spodnie i rybacki sweter z Guernsey, a na nogach miałem płócienne pantofle ze sznurkowymi podeszwami. Nie zdjąłem tego z całym rozmysłem. Gdy się płynie w zimnej wodzie, odzież pomaga utrzymać ciepło ciała. Tak było i tym razem. Wynurzyłem się na powierzchnię i zacząłem płynąć, by przebyć owe sto jardów, dzielące mnie od Podkowy.

Wielki przyptyw, przeciskając się między archipelagiem Wysp Normandzkich, podnosi poziom wód w zatoce St-Malo nawet o trzydzieści stóp. Czułem, jak jego nieubłagana siła pcha mnie naprzód, a fale zmienia w grzywacze, które w potężnej, nieustannej procesji łamały się na plaży.

Samo płynięcie nie było szczególnym wyczynem. Musiałem tylko unosić się na wodzie, a siła prądu dokonywała całej reszty. Widziałem, że robotnicy Todta stoją na zboczu pagórka, w zielonym załamaniu klifu; że po drugiej stronie drutów znajduje się człowiek - a wtedy wielka fala chwyciła mnie żelaznym uściskiem i poniosła przed siebie z zaiste wielką szybkością.

Dotknąłem piasku, wyciągnąłem ręce, by poszukać jakiegoś bezpiecznego punktu zaczepienia, morze odstąpiło, a ja znalazłem się wysoko na plaży. Człowiek w żółtej kamizelce był nie dalej niż o dziesięć jardów w lewo ode mnie. Nadbiegła kolejna fala, a ja podniosłem się na jedno kolano. Gdy zaczęła się cofać, już stałem na nogach i szedłem w stronę leżącego.

Miał może siedemnaście lat - młody marynarz niemieckiej marynarki wojennej; sądząc z odznaki na rękawie, był telegrafistą. Jego lewe ramię i przedramię stanowiły krwawą miazgę, co oczywiście wyjaśniało, czemu nie potrafił uratować się bez pomocy.

W tej chwili sięgał, by chwycić drut koleczasty. Dobrnąłem do niego, przykleknąłem na jedno kolano i odwróciłem go. Miał ciemne, zaszklone oczy, patrzące przeze mnie gdzieś w dal, oczy człowieka nierozumiejącego, co się z nim dzieje. Było oczywiste, że znajduje się w głębokim szoku. Objąłem go ramieniem, a kolejna fala przewaliła się przez nas. Gdy otrząsnąłem z oczu słoną wodę, dostrzegłem, że robotnicy Todta schodzili ścieżką w dół w towarzystwie trzech niemieckich żołnierzy. Dwóch z nich trzymało pistolety maszynowe.

Któryś zawołał do mnie, ale jego głos utonął w ryku kolejnej, nadpływającej fali. A potem, podczas chwilowej ciszy, zarżał koń. Spojrzałem do góry i na szczycie pagórka zobaczyłem Steinera

wierzchem na siwej klaczy.

Zawołał do ludzi w dole, polecając im, by zostali na miejscach, oni zaś usłuchali natychmiast. Nie zdziwiło to mnie, bo Steiner był właśnie takim człowiekiem. Zszedł ścieżką, dołączył do nich, nastąpiła szybka rozmowa, a potem jeden z żołnierzy wspiął się do góry, tam gdzie klacz pasła się spokojnie, i zniknął za grzbietem wzniesienia.

Dwaj pozostali odgonili robotników Todta do tyłu, Steiner zaś zszedł jeszcze niżej, niosąc w lewej dłoni trzy granaty trzonkowe. Miał na sobie trzyćwiertciowy płaszcz z czarnym, futrzanym kołnierzem. Przypadkiem wiedziałem, że tego rodzaju płaszcze stanowią regulaminowy przydział tylko dla sztabowych oficerów rosyjskich. Czapkę Dywizji Brandenburskiej nosił włożoną pod kątem ściśle obowiązującym i ani na włos inaczej. Zatrzymawszy się po drugiej stronie drutu, uśmiechnął się.

- Spodziewałem się, Owenie Morgan, że do tej chwili będziesz się już znajdował daleko stąd. Co się stało?

- Najściślej opracowane plany, i tak dalej - powiedziałem. - Czy to ma znaczenie?

- Rzeczywiście nie. Co tam masz?

- Jednego z waszych... telegrafistę z E-boata [2].

- Będzie żył?

- Tak sędzę.

- Dobrze. Nie ruszaj się ani na krok.

Odszedł plażą na dwadzieścia, może trzydzieści jardów. Kolejna fala rozbryzgnęła się na brzegu. Ta była duża; dość wielka, by przerzucić nas obu za druty. Z zaciśniętymi zębami trzymałem się, jak mogłem.

Chłopak był nieprzytomny. Wiedziałem o tym, wynurzając się spod wody. Równocześnie ujrzałem, jak Steiner przerzuca nad drutami pierwszy granat. Dwa wybuchy, a po nich trzeci, spowodowany wzajemnym detonowaniem się min. Steiner odwrócił się na chwilę, znikając z pola widzenia za zasłoną dymu i piasku. Gdy opadła, podszedł bliżej, przyjrzał się stworzonej przez siebie nieregularnej wyrwie w systemie obronnym plaży, a potem cisnął następny granat.

Znowu nadbiegły fale, jeszcze większe niż dotychczas. Zacząłem odczuwać zmęczenie. Miałem za sobą długą noc, po której nastąpił cholerny poranek. Kiedy wychyliłem się spod wody, by zaczerpnąć powietrza, padł trzeci granat.

Rozległy się cztery bardzo wyraźne wybuchy, a gdy umilkło ich echo, piasek i dym uniosły się gęstą chmurą.

Krzyczały ptaki, krążąc wysoko w górze, zrywając się ze swych miejsc na klifie - alki,

kormorany, mewy. A samotny petrel przeleciał nisko przez chmurę dymu jak lądujący bombowiec, prosto i dokładnie, muskając powierzchnię wody, gdy odlatywał na morze.

Steiner stał przy drutach, na początku nierównej ścieżki, którą wybił wybuchami aż do linii wody. Pomachał ręką, a ja zawołałem do niego ostrym tonem:

- Uważaj... nie ma żadnej pewności, że załatwiłeś je wszystkie.
- Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić - odpowiedział.

Poszedł przed siebie tak spokojnie, jakby odbywał niedzielny, popołudniowy spacer w parku, zatrzymując się tylko po to, by kopnięciem usunąć sobie z drogi splątany kłęb drutu. Rozchlapując wodę, posuwał się w moją stronę.

Nagle rozległ się ryk silnika. Na szczycie wzgórza pojawił się i zahamował terenowy volkswagen. Paru żołnierzy wysiadło i zaczęło brnąć po zboczu w stronę plaży. Steiner zignorował ich całkowicie.

- Przykro mi - powiedział - teraz niewiele mogę zrobić, chyba to rozumiesz?
- Oczywiście.
- Czy masz jakąś broń?
- Tylko nóż.
- Daj mi go.

Wsunął nóż do kieszeni, a rękę włożył pod ramię młodego marynarza.

- Wyciągnijmy go stąd, nim umrze nam na rękach. Ta sprawa może ci bardzo dopomóc.
- U takiego człowieka jak Radl? Chyba żartujesz.

Wzruszył ramionami.

- Wszystko jest możliwe.
- Na tym najgorszym z możliwych światów - zacytowałem, umyślnie zniekształcając tekst. - Zajmij się Simone, proszę tylko o to, i zapomnij, że była jakaś ubiegła noc.

Po prostu trzymaj ją z dala od tej sprawy. Nie trać czasu na mnie. Jestem tylko chodzącym trupem i obaj o tym wiemy.

- Poświęciłeś się, by uratować niemieckiego żołnierza.

To się musi liczyć. Wiadomo, że nawet Radl czasami wysłuchuje rzeczowych argumentów.

- Argumentów starszego sierżanta? - Roześmiałem się. - Nie należy to do zwyczajów wielu pułkowników, których poznałem w większości armii, włączając w to moją własną.

Pokaże ci drzwi, i nie tylko.

- O, nie - odparł cicho. - Przenigdy, przyjacielu. - Już się nie uśmiechał.

Pobrnęliśmy przez przybój, z chłopcem między nami, a potem, potykając się, przez wyrwę w drutach. Czekający po drugiej stronie ludzie należeli do policji wojskowej. Nosili mosiężne ryngrafy, które odróżniały ich tak wyraźnie od zwykłych żołnierzy, jak czerwone czapki brytyjskich żandarmów. Było ich czterech: trzech kaprali i major. Dwóch wzięło od nas chłopca, ostrożnie ułożyło na noszach i udzieliło mu pośpiesznie pierwszej pomocy.

Steiner odstaąpił na jard czy dwa i zaczął otrzepywać płaszcz z piasku. Major zbliżył się i przyjrzał mi się uważnie.

- Kim jesteś? - zapytał złą francuszczyzną.

Jak sądzę, nie wiedział, co o mnie myśleć. Nie było to zaskakujące, jeśli wzięło się pod uwagę moje ubranie i poszarpaną bliznę, przecinającą puste miejsce, gdzie kiedyś miałem prawe oko, i policzek. Steiner odpowiedział za mnie.

- Majorze Brandt, ten dżentelmen jest brytyjskim oficerem, który właśnie poświęcił swą wolność, by uratować życie niemieckiego marynarza.

A Brandt przyjął to nawet nie mruknawszy, choćby z powodu tonu głosu sierżanta. Zawahał się na moment, a potem zwrócił się do mnie w całkiem przyzwoitej angielszczyźnie.

- Zechce pan się przedstawić.

- Nazywam się Morgan. Mój numer służbowy dwadzieścia jeden-zero trzydzieści osiemdziesiąt trzydzieści. Jestem podpułkownikiem.

Strzelił obcasami i wydobyl srebrną papierośnicę.

- Czy mogę pana poczęstować papierosem, pułkowniku?

Myślę, że dobrze by panu zrobił.

Przyjąłem poczęstunek, a następnie podany mi ogień i z wielką przyjemnością wciągnąłem dym w płuca. Ostatecznie mógł to być jeden z moich ostatnich papierosów.

- A teraz - kontynuował uprzejmie - muszę pana poprosić o towarzyszenie mi do Platzkommandantur w Charlottestown, gdzie pułkownik Radl, pełniący obowiązki gubernatora wojskowego St-Pierre, niewątpliwie będzie chciał z panem porozmawiać.

Miło to było powiedziane. Ruszyłem przed siebie, ale Steiner zagroził mi drogę. Zdjął

rosyjski płaszcz wojskowy i trzymał go w pogotowiu.

- Jeśli pułkownik pozwoli - oświadczył z lekkim, ironicznym uśmiechem.

Dopiero gdy się weń ubrałem i poczułem ciepło futrzanej podszewki, zdałem sobie sprawę, jak mi zimno.

- Dziękuję, starszy sierżancie - odrzekłem. - Za to i parę innych rzeczy.

Strzelił obcasami, zaszalutowawszy przy tym w sposób, który ucieszyłby serce najbardziej wymagającego instruktora musztry w całej Brygadzie Gwardii.

Jazda przez Charlottestown była dla mnie najdziwniejszym przeżyciem ze wszystkich dotychczas. Te same brukowane ulice, domy w stylu stanowiącym mieszaninę prowincjonalnej Francji i georgiańskiej Anglii, ogrody otoczone wysokimi murami, by chronić przed stale wiejącymi wiatrami. Wszystko było jak zawsze, a jednak nie takie.

To nie z powodu betonowych bunkrów, drutu kolczastego, zniszczenia portu przez bomby - najoczywistszych oznak trwającej wojny. To dzięki dwujęzycznym, niemiecko-angielskim drogowskazom, zupełnie tu niepasującemu esesmanowi, który zatrzymał się, by zapalić papierosa, przed starym urzędem pocztowym, gdzie na szyldzie ciągle widniał napis Royal Mail, oraz szarozielonym mundurom i samochodom z wymalowanymi swastykami, zaparkowanymi na placu noszącym imię Palmerstona [3]. W sumie wszystko nadawało otoczeniu dziwaczną atmosferę nierzeczywistości. Bardzo trudno było mi pozbyć się tego wrażenia.

Wóz terenowy, z którego wysiedliśmy na placu, odjechał z rannym marynarzem. Resztę drogi przebyliśmy pieszo, wspinając się po stromym bruku Charlotte Street, obok sklepów świecących pustkami. Wszędzie widać było potraskane szyby okienne, odłazającą farbę i czuło się w powietrzu powszechny rozkład. Nic dziwnego po pięciu latach okupacji.

Platzkommandantur, siedziba niemieckiej administracji cywilnej - choć niewielu było tu cywilów, którymi mogliby rządzić - mieściła się w przedwojennym oddziale Banku Westminster na tej wyspie. Założyłem tam kiedyś rachunek osobisty, a wedle wszelkich przepisów miałem go w dalszym ciągu. Dzięki temu przejście pod granitową arkadą bramy odczułem jako interesujące doświadczenie.

Za mahoniowym kontuarem pilnie pracowało trzech umundurowanych urzędników, a dwaj wartownicy, stojący po obu stronach drzwi dawnego biura dyrektora oddziału, należeli do spadochroniarzy SS. Ta para robiła wrażenie największych twardzieli, jakich widywałem, a każdy z nich miał Żelazny Krzyż II klasy oraz wstążkę za kampanię w Rosji. Odbyli długą drogę ze Stalingradu lub skądkolwiek się tu wzięli.

Brandt pierwszy wszedł do środka, my czekaliśmy. Steiner nawet nie próbował się odezwać. Stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Po paru minutach Brandt zawołał go i Steiner wszedł do gabinetu. Czekałem. Dwaj esesmani patrzyli poprzez mnie w przestrzeń. Wreszcie drzwi się otworzyły i znów pojawił się Brandt.

- Proszę wejść, pułkownik Morgan - powiedział uprzejmie. Gdy ruszyłem przed siebie, rozkazał wartownikom stanąć na baczność.

Sądzę, że najbardziej zaskakującą cechą Radla była jego fizyczna masa. Sama cholerna potęga ciała tego człowieka. Musiał mieć co najmniej sześć stóp i trzy albo cztery cale wzrostu i nie mógł ważyć mniej niż szesnaście, siedemnaście kamieni [4].

Odniosłem wrażenie, że przed chwilą pracował w koszuli, bo w momencie gdy wchodziłem, kończył dopinać guziki munduru. Obrzuciwszy go pierwszym, szybkim spojrzeniem, zauważyłem kilka rzeczy. Godło SS na kołnierzu i odznaczenia, a wśród nich Złoty Niemiecki Krzyż, noszony na prawej piersi, co oznaczało, że został mu nadany za dzielność w obliczu nieprzyjaciela, oraz Złota Odznaka Partyjna, nadawana wyłącznie ludziom, którzy byli członkami partii hitlerowskiej przed objęciem przez nią władzy w 1933 roku.

Jego twarz, z wielkim, wypukłym czołem, mogła należeć do jakiegoś fanatycznego Okrągłogłowego [5] - człowieka płomiennie wołającego do Pana, głośno modlącego się na kolanach i jednym tchem interpretującego Słowo Pańskie jako wezwanie do palenia żywcem młodych kobiet uznanych za czarownice.

Nie wstał z miejsca, oparłszy obie ręce na biurku.

- Pańskie nazwisko, stopień wojskowy i numer służbowy.

Mówił fatalną angielszczyzną, ja zaś odpowiedziałem po niemiecku. Nie okazał najmniejszego zdziwienia i kontynuował w tym samym języku:

- Czy może pan to udowodnić?

Pogrzebałem w pasie i okazałem mój znaczek identyfikacyjny. Podałem mu przez biurko i czekałem, on natomiast przyjrzał mu się z całą powagą. Odłożył znaczek na biurko i pstryknął palcami na Brandta, a nie na Steinera.

- Krzesło dla pułkownika.

Potrząsnąłem głową.

- Będę stał. Skończmy z tym szybko.

Nie próbował się sprzeczać, natomiast wstał z miejsca. Jak przypuszczam dlatego, że jego szacunek dla właściwych form ucierpiałby, gdyby dwaj starsi oficerowie nie spotykali się na zasadach absolutnej równości. Nawet jeśli miał zamiar rozstrzelać mnie tegoż popołudnia.

Przysiadł na brzegu biurka.

- Owen Morgan? To wydaje mi się interesujące. Czy wie pan, że tak samo nazywa się łódź ratunkowa na tej wyspie?

Nie było powodu, by ukrywać fakty.

- Została nazwana imieniem i nazwiskiem mego ojca.

Urodziłem się i wychowałem na tej wyspie.

- Naprawdę? - Kiwnął głową. - To wiele wyjaśnia.

Przybył pan tu, by dowiedzieć się wszystkiego, co się da, na temat Planu Czarnuch.

Było to stwierdzenie faktu wypowiedziane we właściwym momencie i tonem absolutnie towarzyskiej rozmowy. Równocześnie sięgnął do pudełka z drewna sandałowego, wyjął papierosa i zapalił.

Nie chwyciło.

- Doprawdy? - odpowiedziałem.

- Czterej pańscy towarzysze są żywi i przebywają w naszych rękach. Dwaj następni ocaleli w porcie. Jeden z nich, nim umarł, coś powiedział, a to było pouczające.

- Jestem tego pewien.

Nie przerywając, mówił dalej:

- Zakładam, że wysadzono pana oddzielnie, gdzieś na południowo-wschodnim krańcu wyspy; tym bardziej że dwóch moich wartowników znikło w tej okolicy. Proszę zwrócić uwagę, że nie pytam, po prostu głośno myślę.

- Pański przywilej - zauważyłem.

- Wobec tego proszę mi pozwolić kontynuować. Pańscy towarzysze są w mundurach, pan w ubraniu cywilnym, z czego wnioskuję, że pana zadaniem była próba skontaktowania się z miejscową ludnością, aby uzyskać informacje. - Prawie się uśmiechnął, co w jego przypadku było prawdziwym wyczynem. - Pozostało tu, pułkownikowi Morgan, tylko pięciu wyspiarzy i tak się składa, wiem o tym, że każdy z nich był w taki czy inny sposób zeszłej nocy obserwowany. Stracił pan czas, pańscy ludzie spartaczyli robotę w porcie, a pańska kanonierka - o jakże brytyjskiej nazwie - leży na dnie morza. Zadanie zakończyło się fiaskiem. - Ostatnie słowa powiedział po angielsku. - Czy to nie taką pieczętą przyłożą na okładce teczki?

- Coś w tym rodzaju.

Wyprostował się i założył ręce na plecy.

- Kommandobefehl jest panu znany?

- Oczywiście.

- Wobec tego wie pan, że wszyscy członkowie tak zwanych oddziałów komandosów muszą być straceni natychmiast po schwytaniu, tak szybko, jak tylko możliwe.

- Wyraźnie widać, że pan się spóźnia.

Nie wydusiłem z niego najmniejszej emocji. Kiwnął głową z powagą.

- Tak się składa, że tego rodzaju decyzja podejmowana jest zgodnie z uprawnieniami oficera dowodzącego danym obszarem, a ja nim nie jestem, pułkowniku Morgan. Generał Muller, ostatni gubernator, został zabity przez minę cztery tygodnie temu.

- To duże niedopatrzenie z jego strony, prawda?

- Nowy gubernator, Korvettenkapitän [6] Karl Olbricht, jeszcze nie przybył.

- Wobec tego pan tylko zapełnia puste miejsce?

Znów pozwolił sobie na mroźny uśmiech.

- Coś w tym rodzaju.

- I mogę oczekiwać, że zostanę rozstrzelany dopiero wówczas, gdy przyleci gubernator, by podpisać papier?

A co się zdarzy do tej pory?

- Utracił pan wszelkie przywileje należne oficerowi. - Dopiero w tym momencie usiadł znowu. - Będzie pan pracował, pułkowniku Morgan. Mamy tu dla pana masę pracy. Będzie pan pracował w kajdanach, wspólnie ze swoimi towarzyszami.

Wyglądało, że nie ma sensu cytowanie Konwencji Genewskiej. Ale tak czy inaczej przemówił Steiner.

- Muszę ponownie podkreślić bohaterskość w zachowaniu pułkownika Morgana dzisiejszego ranka...

- Co zostało zauważone, Steiner - powiedział spokojnie Radl. - Teraz możecie odejść.

Przez długą chwilę Steiner nie ruszał się z miejsca, a ja się modliłem, by wyszedł. Ale po raz pierwszy od momentu gdy go spotkałem, jego twarz wyrażała prawdziwe wzruszenie; ponownie zabrał głos.

Radl znowu mu przerwał, łagodnie, być może z powodu Krzyża Rycerskiego zawieszzonego na szyi Steinera; jedyne odznaczenia za waleczność, które wszyscy oni szanowali. Jego posiadacz w rzeczywistości nie powinien się tutaj znaleźć.

- Odmaszerować, Steiner.

Steiner zsalutował i zawrócił na pięcie, Radl zaś powiedział:

- Brandt, możecie teraz zabrać pułkownika Morgana i dołączyć do pozostałych.

- Czy ktokolwiek zadał sobie trud, by powiedzieć panu, jak przebiega wojna? - zapytałem. - W każdym razie, gdyby nikt tego nie zrobił, zawiadamiam, że właśnie się kończy, a pańska strona przegrała.

Dbali do ostatka o etykietę, Radl zsalutował mi z powagą. Roześmiałem mu się w nos i wyszedłem.

Pojechaliśmy do Fortu Edward na cyplu, wysoko nad Charlottestown. Był to największy z czterech wiktoriańskich fortów obrony wybrzeża, wybudowany w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, w okresie gdy ówczesny rząd Anglii był zaniepokojony stanem swych stosunków z Francją.

Przy wejściu, obok obstawionego workami z piaskiem karabinu maszynowego, stał wartownik. Dał nam znak ręką i wjechaliśmy przez sklepioną, granitową bramę z wyrytym nad nią napisem: Victoria Regina i datą 1856.

Wewnątrz między kamieniami bruku rosła jak dawniej trawa. Do nowych rzeczy należały liczne działobitnie betonowe oraz ciężarówki zaparkowane po drugiej stronie dziedzińca, a także tablica wskazująca na obecność jakiejś jednostki artylerii. Wysiedliśmy z łazika, a Brandt uprzejmym gestem wskazał mi stojące otworem drewniane drzwi starego blokhausu.

Jeden z kaprali żandarmerii pośpieszył przodem, a gdy weszliśmy do środka, trzymał już przygotowane kajdany nożne. Brandt odwrócił się, z pobladałą twarzą, i odezwał po angielsku:

- Przykro mi, pułkowniku. To niedobra sprawa, ale obowiązkiem żołnierza jest wykonywanie rozkazów.

- Więc je wykonuj - powiedziałem.

Kapral padł na kolana i szybkim ruchem zatrzaskał na mych kostkach u nóg stalowe obręcze, zaciskając je śrubą. Łączący je łańcuch miał nieco ponad dwie stopy długości, co pozwoliło mi iść, powłócząc nogami, w całkiem przyzwoitym tempie.

- Gdzie teraz? - zapytałem.

Brandt poprowadził bez słowa. Wspięliśmy się po kamiennych schodach z boku blokhausu na niższą kondygnację wału obronnego i poszliśmy w kierunku czubka cypla. Kiedyś, tysiąc lat temu, jako czternastoletni chłopiec stałem tutaj i patrzyłem, jak morze zabiera mi ojca. Teraz znajdowało się tu stanowisko artyleryjskie, a mury były w znacznym stopniu obalone, zapewne przez zeszłoroczne bombardowanie z morza.

Usłyszałem, jak ktoś cicho śpiewa po niemiecku powolną, starą i smutną piosenkę z czasów pierwszej wojny. Lesie Argoński, Lesie Argoński, jak cichym grobem jesteś dziś. Wspięliśmy się na

drugi taras, zaskakując tam szesnastolatka, przebranego za żołnierza, rozwalonego koło prochowni; karabin był oparty o ścianę.

Podskoczył i sztywno stanął na baczność, a Brandt westchnął i łagodnie poklepał go po głowie.

- Któregoś dnia, Durst, doprawdy, będę musiał zameldować o twoim zachowaniu.

Polubiłem go za te słowa, a to nie jest za słabo powiedziane, jeśli odnosi się do któregoś z żandarmerii. Odsunął rygiel w drzwiach i stanął obok.

- Pułkowniku - powiedział.

Wszedłem i drzwi się za mną zamknęły. Wnętrze było jasno oświetlone słońcem wpadającym przez strzelnicę. Masa światła, dobre, morskie powietrze i deszcz spływający po oślizgłych ścianach. Wszyscy czekali, by mnie powitać. Fitzgerald, Grant, sierżant Hagen i kapral Wallace. A więc to Stevens i Lovat nie mieli szczęścia. Oczywiście zależnie od tego, jak na to patrzeć.

- Jezu Chryste, to pułkownik - powiedział Hagen.

Fitzgerald wyglądał tak, jakby nie umiał wymyślić czegośkolwiek więcej. Uśmiechnąłem się do niego uprzejmie.

- Jak brzmiały twoje rozkazy? - zapytałem. - Że NIE, powtarzam, NIE będziesz próbował lądowania ani nie będziesz prowokować żadnych wydarzeń, które mogłyby zaalarmować nieprzyjaciela o twojej obecności. Zabawiłeś się, prawda?

Gdyby miał przy sobie broń palną, zastrzeliłby mnie na miejscu. Ale dysponował tylko swoją wspaniałą, arystokratyczną dumą, ona zaś nie pozwalała mu się sprzeczać z człekiemy tak nikczemnym jak ja. Poszedł w najdalszy kąt pomieszczenia i tam usiadł.

Grant zrobił szybki krok w moją stronę, zaciskając ogromne łapska. Zapomniał o swych kajdanach nożnych i padł na kolana.

- No, no, sierżancie - zbeształem go. - Cały kłopot z wami, rangersami, polega na tym, że nie macie szacunku dla stopni.

Wdrapałem się na starą platformę artyleryjską. Przez otwarte otwory działowe wpływał drobniutki, mglisty deszczyk. Wydobyłem moją wierną, wodoszczelną puszkę, wybrałem papierosa, zapaliłem i cisnąłem puszkę na dół do Hageny.

Widok był naprawdę wspaniały. Przy pięknej pogodzie można było dostrzec Guernsey, wyspę leżącą o trzydzieści pięć mil na północny wschód, ale nie takiego ranka jak ten.

A w kierunku północno-zachodnim, o sto, a może więcej mil za Kanałem znajdowało się wybrzeże Kornwalii i Lizard Point, gdzie to wszystko się zaczęło. Cztery dni temu. To było nieprawdopodobne.

Król Pierwszych Czterystu

Plaża rozciągająca się poniżej stojącej nad klifami willi, odwie mile od Lizard Point, była, jak wszystkie, za blokowana płataniną pordzewiałego drutu kolczastego, a tablica w pół drogi ostrzegała przed minami.

Była to pusta groźba, a w okolicy uważana nawet za coś w rodzaju żartu, bo sierżant, nadzorujący tu roboty w 1940 roku, był człowiekiem tutejszym i nie widział żadnego sensu w psuciu jednego z najlepszych w całej Kornwalii miejsc do przybrzeżnego wędkowania.

Dzięki temu owego pięknego, kwietniowego poranka mogłem sobie przejść przez drobny biały piasek plaży i popłynąć w morze. Jak na tę porę roku było niewiarygodnie ciepło, a dla mnie wojna przestała istnieć. Zresztą tak czy owak była prawie skończona. Popłynąłem ku sterczącej skale, wdrapałem się i przez chwilę odpoczywałem.

W połowie plaży siedziała Mary przy sztalugach, osłonięta przed słońcem starym słomianym kapeluszem i chyba po raz dziesiąty malowała przylądek. Ale utrzymywała, że zależnie od jej nastroju zawsze wygląda °n inaczej. Odwróciła się i spojrzała na morze, szukając mnie wzrokiem, a potem pomachała mi ręką. Zamachałem do niej, skoczyłem ze skały i zacząłem płynąć do brzegu.

Czekała na mnie z przygotowanym ręcznikiem w jednej ręce i łatką na oko w drugiej. Moja pokryta bliznami twarz nie robiła na niej szczególnego wrażenia. Zbyt długo była pielęgniarką. Ale wiedziała, że mi to ciągle jeszcze przeszkadza.

Osuszyłem twarz, nasunąłem łatkę i wyszczerzyłem zęby.

- Wspaniale tam było. Powinnaś spróbować.

- Dziękuję, nie. Następnym razem zaproponuj mi to w lipcu. A teraz, Owenie, pójdę na górę i zajmę się lunchem. Przyjdź niebawem.

Pocałowała mnie lekko w czoło. Patrzyłem za nią, jak przechodzi przez druty i zmierza dalej w górę ścieżki, świadom, że odczuwam wobec niej nostalgiczne przywiązanie i nic więcej. Od czasu do czasu gnębiło mnie z tego powodu poczucie winy.

Poznaliśmy się przed wojną, na studiach. A gdy przed pięciu miesiącami wniesiono mnie, naszpikowanego środkami znieczulającymi i ledwie przytomnego, do owego szpitala wojskowego w Surrey, jej twarz była pierwszą, którą ujrzałem, ocknąwszy się. Jej mąż, nawigator lancastera, został zabity w boju podczas nalotu na Drezno. Teraz mieszkaliśmy razem od trzech miesięcy, od chwili mego zwolnienia ze szpitala.

Ubrałem się bez pośpiechu, a potem podszedłem do sztalug. Tym razem dopiero wykonała szkic, ale był dobry, cholernie dobry. Wziąłem kawałek węgla i sam spróbowałem nakreślić jakąś

jedną czy dwie linie, ale bez większego powodzenia. Gdy idzie o wycucie perspektywy, dwoje oczu jest lepsze niż jedno, i chociaż wyglądało, że już się w znacznym stopniu dostosowałem, miałem uczucie, że mój czas malowania przeminął.

Położyłem się na piasku, oparłszy głowę na rękach, i zmrużyłem zdrowe oko tak, by nastawić widzenie na alkę, która, nurkując z wysoka, perfekcyjnie wylądowała na ścianie klifu.

Wszystko wokół było tak niewiarygodnie spokojne. Tylko szum morza, krzyk mewy, sunąca niebem biała chmura. Kim byłem? Owenem Morganem, niekiedy jakimś tam artystą. Powieściopisarzem - w bardzo znacznym stopniu. Wątpliwym poetą. Żołnierzem, człowiekiem mroku, wynajętym zbirzem, bandytą. Wszystko zależało od punktu widzenia. A co ja tu robiłem, schwyty w przyjemną otchłań zapomnienia, gdzie kolejny dzień łatwo zmieniał poprzedni, a na horyzoncie huczały grzmoty, a nie armaty?

Musiałem przysnąć, ale tylko na chwilę. Ostro zakrzyczała mewa, przywracając mnie życiu. Przebudziłem się natychmiast - trudne do pozbycia się przyzwyczajenie nabyte w miejscach ciemności - i stanąłem na nogi. Jeśli nie oprzytomnieję zupełnie, Mary zacznie mnie szukać, obiad się przypali i wszystko źle się skończy.

Przeszedłem przez druty i zacząłem wspinać się ścieżką, opuściwszy głowę. Ledwie dotarłem do tablicy ostrzegawczej, gdy zawołał jakiś głos:

- Ty tam w dole!

Popatrzyłem do góry, marszcząc twarz w słońcu, i zobaczyłem amerykańskiego oficera stojącego na szczycie wzniesienia, choć z powodu słońca za jego plecami nie można było odróżnić, kim albo czym jest.

- Chcę z tobą pogadać - oświadczył.

Nie była to prośba, lecz rozkaz wypowiedziany świetnym bostońskim akcentem; tonem, jakiego nabywa się w Nowej Anglii i nigdzie indziej w Ameryce, zwykle od członków owej małej, zadowolonej grupki, której przodkowie pchali się z Mayflowera, by jako pierwsi znaleźć się na lądzie.

Nie spodobał mi się jego głos ani on sam, z całej masy znakomicie wystarczających powodów, więc nie zadałem sobie trudu, by odpowiedzieć.

Przemówił ponownie z odcieniem zniecierpliwienia w głosie.

- Szukam pułkownika Morgana. Powiedziano mi w jego domu, że będzie na plaży. Czy go widziałeś?

Myśląc o tym teraz, uważam, że był całkiem usprawiedliwiony. Patrzył z góry na małego, ciemnoskórego człowieka, paskudnie nieogolonego, odzianego w stary, niebieski sweter z Guernsey. Czarna łata na oku nie polepszała wrażenia. A przypuszczam, że również złote kółko, które nosiłem w lewym uchu wskutek nalegania Jacka Trelawneya, właściciela Pod Herbem Królowej na drodze

do Falmouth. Jack bezwzględnie wierzył, że to polepszy mój wzrok i pewnego pamiętnego wieczoru przekłuł mi własnoręcznie ucho igłą do cerowania, używając do tego pół butelki przedwojennej szkockiej.

Człowiek odsunął się, tak że słońce już nie świeciło za jego plecami, i zbliżył na tyle, że ujrzałem, iż jest w stopniu majora, co nie było zaskakujące, gdy się wzięło pod uwagę jego odznaczenia. Miał DSC [7], a na „drugie danie” Srebrną Gwiazdę z Wieńcem Dębowym, czyli dwukrotnie nadaną, co mogło oznaczać wszystko i nic. Jak ktoś kiedyś zauważył, tylko odznaczony wie, ile jego order jest naprawdę wart, i tylko ludzie, którzy walczyli z nim w tym samym boju, mogą się tego domyślać. Gdy się jednak zbliżył i mogłem dostrzec godło na jego naramienniku, przekonałem się, że jest on rangersem, a zawsze mi mówiono, że różnica między nimi i naszymi komandosami jest niewielka.

- Czy widziałeś go? - powtórzył cierpliwie.

Był cudowny. Coś w rodzaju Amerykanina z przełomu wieków, podróżującego za granicą i napotykanego trudności w kontaktach z chłopstwem. Prosto z powieści Henry'ego Jamesa.

- No, ale, na to trudno byłoby odpowiedzieć - odrzekłem prawie dobrym kornwalijskim akcentem.

- Lepiej chyba, żebyś zebrał do kupy twoje myśli, nie?

Słowa wypowiedziane z twardą, szkocką intonacją były pewnego rodzaju niespodzianką; podobnie jak dłoń, która chwyciła mnie za ramię, obracając w miejscu. Następny ranger, tym razem starszy sierżant sztabowy, dzięki czemu jego szkocki akcent był jeszcze bardziej intrygujący. Miał ordynarną, kościstą twarz i twarde oczy, otoczone nabrzmiałymi bliznami zawodowego boksera. Spotkać takiego człowieka w piękny kwietniowy poranek - to pech.

- Hejże, chłopcze, postaraj się pomyśleć dokładniej! - ryknął i potrząsnął mną jak szczurem.

Dobry, twardy żołnierz, człowiek, jakiego trzeba do nocnego wypadu albo lądowania pod ogniem na przyczółku. Aleja istniałem i przeżyłem pięć lat w świecie, jakiego nie znał. W świecie, gdzie nie wystarczała siła i nie wystarczała odwaga, a każdy kolejny dzień przeżywało się cudem. Przeżyć zaś można było, jeśli się o to zupełnie nie dbało.

Położyłem dłoń na trzymającej mnie ręce, skręciłem dokładnie w sposób taki, jakiego nauczył mnie pewien japoński dżentelmen w miłym, starym dworze w Surrey wiosną 1940 roku i padłem na jedno kolano. Potoczył się w dół pagórka jakieś dwadzieścia stóp, lądując w kępie kolczastego janowca.

Zadarłem głowę, popatrzyłem na majora i uśmiechnąłem się uprzejmie.

- Popełnił błąd. Nie pozwól, by zrobił drugi.

Wpatrzył się we mnie zdumiony, a potem w jego oczach błysnęło zrozumienie. Sądzę, że już

wiedział, ale nim zdołał cokolwiek powiedzieć, sierżant sztabowy biegł w górę po zboczu z szybkością rannego niedźwiedzia. Gdy był o jakieś sześć stóp ode mnie, moja dłoń wynurzyła się z tylnej kieszeni, trzymając stary nóż sprężynowy do oprawiania zwierzyny, nóż, w który zaopatrzyłem się w drugim roku wojny, podczas mojej pierwszej roboty w Bretanii.

Gdy nacisnąłem guzik, rozległ się paskudny trzask i wyskoczyło ostrze. Podoficer stanął jak wryty, a potem skulił się i zaczął przybliżać.

- Grant, stój w miejscu! To rozkaz! - odezwał się ostro major.

Grant wciąż trwał skurczony, z mordem w oczach, a wtem rozległ się inny głos, wołając głośno i wyraźnie.

- Owen, na litość boską, co tam się dzieje w dole?!

Człowiek, który pośpiesznie schodził ścieżką, był po sześćdziesiątce, miał śnieżnobiałe włosy, długą, dość brzydką twarz i nosił okulary w stalowej oprawce. Miał na sobie stare burberry, niósł parasol, i w znacznym stopniu wyglądał tak, jak sobie publiczność wyobraża profesora z Oksfordu. A był nim właśnie wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ale od czasu tych złotych dni jego talenty skierowały się ku ciemniejszym celom. Schowałem nóż i jęknąłem:

- O, nie, nie ty, Henry. Wszystko, tylko nie to.

Major Edward Arnold Fitzgerald i jego szkocko-amerykański zbir oddalili się sztywnym krokiem, gdy Henry oficjalnie nas sobie przedstawił, a ja potrząsałem przecząco głową.

- Kłopot z takimi jak Fitzgerald polega na tym, że nie potrafią brać człowieka takim, jaki jest.

Henry uniósł brwi.

- Ależ, mój Owienie, on zrobił dokładnie to. Czy patrzyłeś ostatnio w lustro? Wydaje mi się nieprawdopodobne, by w służbie Jego Królewskiej Mości znajdował się więcej niż jeden podpułkownik noszący złote kółko w lewym uchu.

- Zawsze twierdziłeś, że jestem indywidualistą - przy pomniałem mu. - Jak tam wojna?

- O ile wiem, Pierwsza Brygada Komandosów osiągnęła wczoraj Luneburg.

- Wobec tego w następnym ruchu zamierzają prze kroczyć Łabę.

Kiwnął głową.

- Tego się spodziewam.

Usiedliśmy na wystającym kamieniu, on zaś wydobył blaszane pudełko z nader egzotycznymi tureckimi papierosami, które sobie upodobał, i poczęstował mnie.

- Podczas naszego pierwszego spotkania dałeś mi to cholerstwo - powiedziałem. - Pamiętasz? Nieokrzesanego chłopca z wysp, który dla nauki przybył do Oksfordu?

Uśmiechnął się słabo, z ledwie widocznym odcieniem smutku.

- Dawno temu, Owenie. Wiele wody przepłynęło pod mostem.

- A co będziesz robił, gdy się to wszystko skończy? - spytałem. - Znów będziesz Henrym Brandonem, członkiem rzeczywistym Kolegium Ali Souls? I wrócisz do tych spraw, które się z tym wiążą?

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie można wrócić do niczego, Owen. Nie sądzę, by to było możliwe.

- Tak naprawdę chciałeś przez to powiedzieć, że tego nie chcesz.

- A ty?

Jak zawsze, z nieomylną dokładnością, trafił w najbardziej bolesne miejsce.

- Do czego tu wracać? - zapytałem z pewną goryczą.

- Nie zaczynaj się rozczulać nad sobą. To ci nie przystoi.

Przedwczoraj przeczytałem tę twoją powieść. O ile mi wiadomo, ma czwarte wydanie w ciągu tyluż tygodni.

Niezwykłe.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ci się nie podobała.

- A co to ma za znaczenie? Musisz na niej zarabiać masę pieniędzy.

I tak zresztą było, za co czułem należytą wdzięczność. Ale Henry zirytował mnie, co prawda w niewielkim tylko stopniu, chociaż wystarczającym, by mnie zaniepokoić.

Nabrał głęboko w płuca dobrego, morskiego powietrza i szeroko rozłożył ręce.

- To jest naprawdę piękne. Prawdziwie piękne. Zazdroszczę ci życia w takim miejscu... I cieszę się, że zeszliście się z Mary Barton. Musicie być bardzo dobrzy dla siebie nawzajem.

Było w tym więcej niż ziarnko prawdy. Przez pierwsze sześć tygodni w szpitalu, gdy w ogóle nic nie widziałem, dyktowałem jej moją książkę. Była to moja jedyna, trzymająca mnie przy zdrowych zmysłach, namiętność.

- Jestem Mary bardzo wdzięczny - odrzekłem. - Zawdzięczam jej więcej, niż kiedykolwiek

będę w stanie odpłacić.

- Ale jej nie kochasz?

Jak zwykle precyzyjnie trafił w sedno. Wstałem i cisnąłem resztę mego papierosa poza skraj klifu.

- Dobrze, Henry, przejdźmy do rzeczy. Czego chcesz?

- To naprawdę bardzo proste - powiedział. - Mamy dla ciebie robotę.

Gapiłem się na niego osłupiały, a potem roześmiałem się chrapliwie.

- Chyba żartujesz. Wojna się skończyła. W Europie nie potrwa dłużej niż parę miesięcy; wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

- Na kontynencie owszem, ale może się okazać, że z Wyspami Normandzkimi znów będzie inaczej.

Zmarszczyłem brwi, a on uniósł dłoń.

- Nie, pozwól, że ci wytłumaczę. Już od kilku miesięcy Sto Trzydziesta Piąta Flotylla Wojenna przygotowuje Operację Podłożone Jajko - wyzwolenie Wysp Normandzkich. Ale planuje się, że ta operacja nastąpi dopiero, gdy niemiecki garnizon się podda. Mamy nadzieję, że nie będziemy zmuszeni do lądowania w walce. Rezultaty mogłyby okazać się katastrofalne dla cywilnej ludności wysp.

- I myślicie, że oni mogą spróbować utrzymać się na wyspach jeszcze po swej klęsce w Europie?

- Tak to można sformułować. Komendant Wysp Normandzkich, wiceadmirał Huffmeier, okazuje wyraźnie, że ma zamiar paść w boju. W nocy z siódmego na ósmego marca zmontował własny rajd komandoski i z pomocą dwóch poławiaczy min zaatakował Granville. Zniszczyli trzy statki, a na dokładkę całą masę urządzeń nabrzeża.

Gdy Dónitz przesłał mu gratulacje, Huffmeier odtelegrafował, że ma niezłomną nadzieję, iż zdoła się utrzymać na Wyspach Normandzkich jeszcze przez rok.

- Czy on nie blefuje?

Henry zdjął okulary i zaczął je starannie polerować chusteczką do nosa.

- Hitler przez całe lata pchał ludzi i sprzęt na wyspy.

Bał się okropnie, że będą pierwszym obiektem, na który uderzymy, by stworzyć tam sobie odskocznię do inwazji na Europę.

- No i pomylił się w adresie.

- Najsilniejsze na świecie fortyfikacje, Owenie - odparł spokojnie Henry. - Taka sama liczba umocnień i baterii artyleryjskich, jaką Niemcy mieli do obrony całego wybrzeża europejskiego od Dieppe do St-Nazaire. Dodaj do tego garnizon liczący mniej więcej czterdzieści tysięcy żołnierzy i zrozumiesz, o czym myślę.

- A co ja mam do tego wszystkiego?

- Wróć do domu, Owenie - powiedział. - Pojedź na St-Pierre. Pomyślałem sobie, że sprawiłoby ci to przyjemność.

Zniszczyć natychmiast

St-Pierre jest najbardziej zewnętrzną wyspą archipelagu Wysp Normandzkich, a czwartą co do wielkości. W latach tysiąc osiemset pięćdziesiątych rząd brytyjski, zaalarmowany rozbudowywaniem przez Francuzów potężnej bazy morskiej w Cherbourgu, przedsięwziął plan przekształcenia wyspy Alderney w Gibraltar Północy. Większość robotników, przywiezionych tu do prac nad fortyfikacjami, stanowili Irlandczycy uciekający przed skutkami klęski głodowej w ich nieszczęsnym kraju.

Podobny plan, choć na mniej ambitną skalę, realizowany był na St-Pierre. By powiększyć port w Charlottestown, zbudowano falochron, a w różnych punktach nadbrzeżnych wybudowano forty dla artylerii brzegowej.

Na St-Pierre siłę roboczą importowano z południowej Walii. To tłumaczy używaną na wyspie dziwną mieszaninę walijskiego, francuskiego i angielskiego, a także fakt, że ojciec, a ja jego śladem, nazywaliśmy się Owenami Morgan; choć moja matka, niech spoczywa w spokoju, była z domu Antoinette Rozel i aż do śmierci wolała rozmawiać ze mną po francusku.

Stojąc nad klifami przylądka Lizard, wpatrywałem się w południowy zachód, gdzie za horyzontem leżała Bretania, zatoka St-Malo i St-Pierre. A przez najulotniejsze chwile, uciekając w nierzeczywisty czas, znów widziałem szarozieloną wyspę, jej granitowe klify spryskane ptasimi odchodami, krzyczące morskie ptaki, krążące wielkimi chmurami: alki, kormorany, mewy, ostrygojady i mego szczególnego ulubieńca, petrela. A wśród wiatru słyszałem cichy śmiech i widziałem młodą dziewczynę o skórze opalanej na brąz letnim słońcem, uciekającą z powiewającymi, długimi włosami od bosonogiego, młodego rybaka. Simone. Wyciągnąwszy rękę, mógłbym jej prawie dotknąć. Zamiast tego dłoń położona na ramieniu przywołała mnie znów do rzeczywistości. Odwróciłem się i zobaczyłem u mego boku Henry'ego, z lekkim, pytającym grymasem na twarzy.

- Czy pojedziesz, Owenie?

Przez pięć i pół roku wykonywałem rozkazy tego człowieka, żyłem w nieustannym zagrożeniu, kłamałem, oszukiwałem, zabijałem, mordowałem, aż zmienił się mój pierwotny charakter. Po owej ostatniej, krwawej robocie w Wogezach, ośmiodniowej bitwie z doborowymi oddziałami szturmowymi SS, bitwie, która uczyniła mnie inwalidą na całe życie, myślałem, że te dni przeminęły, znikły na zawsze. A teraz serce zaczęło mi walić i poczułem suchość w gardle.

- Henry, zaraz coś ci powiem - rzekłem, a gdy zapalałem papierosa, ręce mi się trzęsły. - Od dłuższego czasu wyleguję się tu na słońcu, próbuję pisać i nie mogę.

Próbuję pokochać jedną z najwspanialszych kobiet, jakie w życiu spotkałem, i też nie potrafię. Tam dalej, przy drodze, mam dobrego przyjaciela, który zaopatruje mnie w tyle przedwojennej szkockiej whisky, ile zdołam wypić, ale wydaje mi się, że straciłem do niej ochotę. Lepiej sypiałem w nieustannej ucieczce we Francji, w najczarniejszych dniach czterdziestego pierwszego roku, niż

sypiam teraz. Czy powiesz, że to wszystko ma jakikolwiek sens?

- Mój drogi Owenie, to całkiem proste. Wówczas bawiła cię absolutnie każda chwila. Dla ciebie spacer po ostrzu noża między życiem i śmiercią to cudowne przeżycie. Pracując dla mnie, przeżywałeś więcej w ciągu jednego dnia, niż przeżyłbyś przez wszystkie swe dni, pisząc marne poezje i popularne powieści, naprawdę żyłeś czynem i pasją, jak przystoi mężczyźnie. Dlatego teraz popłyniesz na St-Pierre. Bo to ci jest potrzebne. Bo chcesz to zrobić.

I właśnie w tej chwili pomylił się, posunął za daleko, a ja pokręciłem głową.

- Cholerę w bok! Henry, nic na to nie możesz poradzić. - Postukałem się w łatkę na oku. - Orzeczenie lekarskie o niezdolności do dalszej służby. Załatwiłeś mi nawet królewską emeryturę [8]. Wyślij twego amerykańskiego przyjaciela. To bardziej w jego stylu.

Z wewnętrznej kieszeni wydobyl złotawą kopertę, wyjął z niej list i wręczył mi.

- Mam nadzieję - powiedział - że uznasz to za do statecznie jasno sprecyzowane. Gdy o tym z nim dyskutowałem, zwróciłem mu uwagę, że zawsze istnieje możliwość, iż stwierdzisz, że zrobiłeś już swoje.

List pochodził z Downing Street [9], był odręczny i nosił właściwy podpis. Zawiadamiał mnie, że zostaje przywrócony do służby czynnej i muszę uważać się za pozostającego pod rozkazami Wydziału D oraz profesora Henry'ego Brandona, w związku z Operacją Grande Pierre. Był to miły akcent, bo Grande Pierre był moim kryptonimem w Wogezach. Na liście widniała pieczętka:

Akcja w dniu dzisiejszym.

I to by było tyle. Uniosłem papier do góry.

- Pierwszy list osobisty, jaki od niego otrzymałem. Czy mogę go zachować?

Wyjął mi go z palców.

- Później, Owenie, gdy powrócisz.

Kiwnąłem głową i znów usiadłem obok niego na kamieniu.

- W porządku, Henry, powinieneś mi teraz o tym powiedzieć.

- Według naszych informacji wyspa została nader silnie ufortyfikowana - zaczął mówić Henry. - Niegdyś tamtejszy garnizon liczył około tysiąca sześciuset ludzi, ale w ostatnich dwóch latach został drastycznie zredukowany. Pas startowy nigdy nie miał dużego znaczenia, a po półtuzinie bombardowań Niemcy go porzucili i wycofali żołnierzy Luftwaffe.

- A marynarka wojenna?

- Przez pewien czas próbowali używać St-Pierre jako bazy dla E-boatów, ale nigdy tego do

końca nie zrealizowali.

Nie muszę ci przypominać, jak niebezpieczne są te wody, a pływy rządzą się tam własnymi prawami. Przez większość czasu port jest całkiem nie do użytku, więc marynarka także się wycofała, choć czasami z niego korzysta. Zostały głównie jednostki artylerii i saperów.

- Ilu jest ich teraz?

- Jak sądzimy, sześciuset. Głównie starcy i młodzi chłopcy. Wiele się zmieniło od sławnej przejażdżki przez Francję w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku.

- Ilu wyspiarzy?

- Okazuje się, że można ich policzyć na palcach jednej ręki. Jak wiesz, większość ludności w tysiąc dziewięćset czterdziestym wybrała ewakuację do Anglii, tuż przed okupacją.

- Zostało około sześćdziesięciu - powiedziałem. - Wliczając w to Seigneura i jego córkę.

- A, tak, Henri de Beaumarchais. Okazało się, że nie żyje. Został zabity podczas bombardowania z morza.

Zagapiłem się na niego bezmyślnie, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi.

- Nie żyje... Henri de Beaumarchais? Co za bombardowanie z morza?

- Nasze, zeszłego roku. Z odległości trzech mil wzięli się za port. Wszystko wskazuje, że jego córka jest tam w dalszym ciągu, ale sześć miesięcy temu wysiedlono prawie wszystkich pozostałych. Naprawdę nie mam pewności, czemu nie odeszła wraz z innymi, ale tak się stało.

- A więc teraz ona to Seigneur - powiedziałem. - Lord St-Pierre. Kiedyś była nim kobieta, w trzynastym wieku.

Używała męskiego tytułu [10]. Simone robi to samo. Ma wielki szacunek dla tradycji.

Przez chwilę myślałem o niej, znajdującej się tam, w dali za horyzontem, w feudalnej rezydencji, która od niezliczonych pokoleń nazywała się Seigneuine. Mieliśmy długą wojnę. Simone musi czuć się bardzo samotna. A teraz, po odejściu ojca, jeszcze samotniejsza.

Ostatni raz widziałem ją prawie pięć lat temu. Ciemną nocą w lipcu 1940, dokładnie w dwa tygodnie od okupacji Wysp Normadzkich przez Niemców. Popłynąłem tam łodzią podwodną i wylądowałem na gumowej łódce w La Grande I Bay, na wschodnim krańcu wyspy. Była to misja taki nieudana, jak większość podobnych wyczynów w owym czasie. Widziałem się z Simone i jej ojcem w Seigneurie i stwierdziłem, że na wyspie jest nie więcej niż dwustu Niemców. Miano mnie odebrać stamtąd na parę godzin przed świtem, więc błagałem oboje, aby odpłynęli ze mną. Odmówili, czego się w głębi serca spodziewałem, ale Simone nalegała, by odprowadzić mnie na brzeg. Pamiętam to do dziś, jej twarz - bladą plamę w ciemności.

- Rzecz w tym - powiedział Henry - że od sześciu miesięcy tracimy na akwencie Kanału całkiem niemało statków. Zauważ, że w tym samym czasie ewakuowano z wyspy większość pozostałej ludności. Gdy odkryliśmy, o co idzie, było to poważnym szokiem.

- Tajna broń uruchomiona w tej fazie wojny?

- Wielki Boże, nie. Wiedzieliśmy o niej jeszcze od lądowania pod Anzio. Niemcy znacznie spóźnili się z organizacją podwodnych akcji sabotażowych z udziałem płetwonurków, i tak dalej. Nader dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że tego rodzaju działania pierwsi rozpoczęli Włosi.

Tak czy inaczej Niemcy zmajstrowali morderczy przyrządek, zwany Czarnuchem, którego z niejakim sukcesem użyli pod Anzio.

- A teraz stosują na Kanale?

- O to właśnie chodzi. Wystarczyło, że wzięli zwykłą torpedę, odłączyli głowicę bojową i dobudowali urządzenie sterownicze. Operator siedzi na tym jak na koniu i jest chroniony szklaną kopułą, a pod spodem ma podwieszoną drugą uzbrojoną torpedę. Pomysł polega na tym, by naprowadzić się na cel, w ostatniej chwili zwolnić drugą torpedę i popробować samemu skrócić w bok.

- A skąd biorą ludzi do takiej zabawy?

- Głównie z Dywizji Brandenburskiej. To ich jednostka najpodobniejsza do naszych komandosów. Są w niej ludzie, którzy przeżyli akcję Ottona Skorzeny'ego na Dunaju. Jego płetwonurkowie urządzili tam Rosjanom prawdziwe piekło.

- I sądzisz, że działają z St-Pierre?

- Przynajmniej tak było jeszcze trzy tygodnie temu.

- Jesteś pewien?

- Mamy kogoś, kto przebywał tam do tego momentu.

Człowieka nazwiskiem Joseph St Martin. Pojawił się na wybrzeżu Francji koło Granville w otwartej łódce. Mówi, że cię zna.

- A, tak, zna mnie z pewnością. - Delikatnie dotknąłem grzbietu mego nosa, gdzie kość była skrzywiona. - Złamał mi to, gdy miałem czternaście lat.

- Doprawdy? - odrzekł cicho Henry. - Jeśli cię to interesuje, przywiozłem go do twego domu.

Zmarszczyłem brwi.

- Szybko działasz, prawda?

- Nie mam wyboru. Musisz wyruszyć pojutrze. Marynarka zawiadomiła mnie, że jeżeli przepuścimy ten właśnie przypływ, przez następne trzy tygodnie warunki nie będą odpowiednie.

- Pozwól więc, że powiem bez ogródek, o co chodzi.

Moim zadaniem jest przedostać się na brzeg, dowiedzieć się tyle, ile potrafię o akcji „Czarnuch” i wrócić stamtąd, zapewne tej samej nocy?

- O to właśnie chodzi. Mam nadzieję, że informacje St Martina pomogą ci zorientować się tam na miejscu. Na wyspie ciągle jeszcze są ludzie, z którymi możesz się skontaktować. Na przykład panna de Beaumarchais.

Siedziałem ze zmarszczonymi brwiami, próbując połączyć się w tym wszystkim.

- I ty naprawdę myślisz, Henry, że w tej fazie wojny to jest ważne?

Podniósł do góry sławetny list.

- Jak widać, rząd tak uważa. Jeśli Niemcy, zamiast poddać się, postanowią walczyć na Wyspach Normandzkich, „Czarnuch” może posiać zniszczenie wśród statków jakichkolwiek sił inwazyjnych.

- A co z Fitzgeraldem? Co on tu ma do roboty?

- To dobry człowiek, Owenie. Trzykrotnie odznaczony.

Przez ostatnie parę lat był członkiem sztabu Dwudziestego Pierwszego Oddziału Specjalnych Sił Wypadowych. Bardzo mieszane towarzystwo. Amerykańscy rangersi, francuscy i brytyjscy komandosi. Specjalizują się w działaniach małymi stateczkami, w sabotażu podwodnym, i tak dalej.

Fitzgerald robił wypadki przez Kanał dwadzieścia trzy razy.

- Czy wliczasz także ten, gdy wysadzili w powietrze opuszczoną latarnię morską w Bretanii, oraz wszystkie te lądowania na bezludnych wysepkach u wybrzeży Francji, oraz na pustych plażach francuskiego wybrzeża, gdzie ani nie ujrzeli żywej duszy, ani nikt inny ich nie widział? Czy może idzie o inną jednostkę?

- Teraz znowu robisz się niemiły.

- Och, nie zrozum mnie źle. Mam jak największy szacunek dla prawdziwych jednostek komandosów. Na przykład chłopców, którzy wczoraj wyrąbali sobie drogę do Lunebergu. Ale takie grupy, jak Fitzgeralda, to całkiem inna sprawa. To od średniowiecza coś najbliższego armiom najemnym, mają wszystkiego w bród i poza polem walki stacjonują w wiejskich rezydencjach. Gdyby zsumować ich działania, to czego te oddziały specjalne naprawdę dokonały?

Uśmiechnął się.

- No, przede wszystkim dały zatrudnienie pewnym bardzo kłopotliwym klientom.

- Jak Król Pierwszych Czterystu? [11] - Potrząsnąłem głową. - Rodzina musi być z niego bardzo dumna, ma całą papugę baretek, i tak dalej, a jeszcze w przyszłości czas na uzyskanie Medal of Honor [12], nie zapomnij o tym. Dobrze, teraz powiedz to, co najgorsze. Co mamy zrobić?

A gdy mi powiedział, własnym uszom nie chciałem wierzyć. Fitzgerald z pięcioma towarzyszami mieli przeniknąć do portu w Charlottestown na dwuosobowych kanoe. Zadanie polegało na tym, że do wszystkiego, co napotkają, założą podwodne miny i wydostaną się z powrotem niezauważeni.

- Na litość boską, Henry, jaki to ma sens? Dywersja dla samej dywersji. Będą mieli szczęście, jeśli spotkają w porcie cokolwiek warte zachodu.

- Być może, a ty masz prawo myśleć o tym, co chcesz.

Ale pozwól, że coś ci wyjaśnię. Początkowo nie była to nasza sprawa. Za nią stoi Dowództwo Kombinowanych Operacji. Dowiedziałem się o niej zupełnie przypadkowo i natychmiast, właściwymi kanałami, postawiłem wniosek.

Naturalnie pomyślałem o tobie, bo ty jeden znasz tę wyspę, i wtedy przekonałem ich, by zmienili plan.

- To miłe z twojej strony. Czy wolno mi spytać, kto będzie dowodził?

- Ty, z uwagi na to, że jesteś starszy stopniem. Lecz nic nie wskazuje, aby nastąpiła sytuacja, w której musiałbyś korzystać z posiadanej władzy. Wylądujesz sam jeden i będziesz miał do wykonania jednoosobowe zadanie.

Major Fitzgerald i jego ludzie będą sami się o siebie troszczyć.

- Do chwili póki nie usłyszysz wśród wiatru cichej trąbki do ataku - powiedziałem. - Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to on wygląda na człowieka, który chce zginąć z szablą w dłoni, w chmurze chwały.

- Och, myślę, że jest rozsądny. W tej fazie wojny żaden inteligentny człowiek nie zamierzałby położyć głowy pod topór, prawda?

Roześmiałem się w głos; po prostu nie mogłem się powstrzymać.

- Jedną z twoich najbardziej milutkich cech jest zmysł ironii, Henry.

- Dobrze, cieszę się, że znowu się śmiejesz. - Wstał i zatarł ręce. - A teraz przekąsimy znakomity lunch, który już przygotowywały pani Barton i twoja dochodząca służąca, gdy byłem u was. Dały nam czterdzieści minut.

Potrząsnąłem głową.

- Ja nie. Zostanę tu w dole jeszcze przez chwilę; muszę pomyśleć. Możesz dla mnie zrobić jedno: przyślij Joego St Martina. Przynajmniej to będę miał za sobą. Nigdy nie należał do moich faworytów.

- Dobrze, Owen. - Przez sekundę jakby się zawahał, a później był nawet tak uprzejmy, że okazał lekkie zawstydzenie, wyciągając z kieszeni następną żółtawą kopertę. - Mogę także dać ci Rozkaz Operacyjny Wydziału D.

Wziąłem kopertę.

- Został napisany już z góry - zauważyłem.

- Obawiam się, że tak.

- Smacznego, Henry.

Patrzyłem za nim, gdy wspinał się po ścieżce i znikał za grzbietem pagórka; dopiero potem otworzyłem kopertę. Wewnątrz znajdował się typowy Rozkaz Operacyjny Wydziału D, opisujący całe zadanie suchym językiem angielskiej biurokracji.

Instrukcja operacyjna nr D 103

Dla Podpułkownika Owena Morgana. Operacja: GRANDe PIERRE. Pseudonim zbędny.

INFORMACJA - Faza 1.

Przedyskutowaliśmy z tobą możliwość twego lądowania na wyspie St-Pierre w archipelagu Wysp Normandzkich w celu uzyskania wszelkich możliwych informacji o planie nieprzyjaciela, określonym w aktach jako CZARNUCH. Wyjaśniłeś, że twoim zdaniem nie istnieje nic, co by uniemożliwiało ci powrót na wyspę, która była twoim miejscem zamieszkania.

Jesteśmy zdania, że wskazówki dostarczone przez Josepha St Martina powinny znacznie ułatwić ci nawiązanie na wyspach kontaktów z ludźmi, którzy dysponują interesującymi nas wiadomościami.

INFORMACJA - Faza 2.

Podczas twego pobytu na wyspie major Edward Fitzgerald, starszy sierżant sztabowy Grant, sierżant Hagen, kaprale: Wallace, Stevens i Lovat przedostaną się do głównego portu w Charlottes-town na trzech kanoe typu Rob Roy, z zamiarem przymocowania min podwodnych do wszelkich jednostek pływających, jakie napotkają. Jest to jedyny cel ich misji i NIE, powtarzam, NIE powinni próbować lądowania ani prowokować żadnych wydarzeń, które mogłyby zaalarmować nieprzyjaciela o ich obecności.

We wszelkich okolicznościach, które wymagałyby drastycznej zmiany oceny sytuacji, ty, jako starszy stopniem oficer, masz uprawnienia dowódcy.

METODA Według naszych informacji, zgodnie z Kommandobefehl Hitlera, wszyscy żołnierze oddziałów specjalnych, którzy wpadają w ręce nieprzyjaciela, w dalszym ciągu są likwidowani. Ale znamy wypadki, gdy tylko zmusza się ich do pracy, w kajdanach na nogach. W tej sytuacji, w razie dostania się do niewoli, istnieje większe prawdopodobieństwo przeżycia w roli żołnierza niż szpiega. Z tego powodu zdecydowaliśmy, że tym razem nie zapewniamy ci legendy. Będiesz używał własnego nazwiska i stopnia wojskowego i otrzymasz znaczek rozpoznawczy.

Zostaniesz przewieziony na St-Pierre nocą 25 na pokładzie MGB 109LT i odstawiony na brzeg łódką około godziny 22.30. Major Fitzgerald z oddziałem wyładują się przed wejściem do portu o godzinie 23.00.

MUSISZ, powtarzam, MUSISZ zostać odebrany jako pierwszy około godziny 02.00, drugi zaś oddział dopiero potem, tak szybko jak będzie możliwe, spotka się z MGB.

ŁĄCZNOŚĆ WZAJEMNA

Nie będzie w ogóle żadnych środków łączności woda-łód. Podczas powrotu wolno tylko sygnalizować ręczną latarką.

UZBROJENIE

Zgodnie z twoim wyborem, lecz jedynie takie, jakie uważasz za niezbędne do walki wręcz.

WNIOSKI KOŃCOWE

Zostałeś dostatecznie zaznajomiony z sytuacją, by zdać sobie sprawę z wagi tej misji. Nic nie może przeszkodzić ci w uzyskaniu niezbędnych informacji, a jeśli okoliczności będą tego wymagać, twoje zadanie MUSI, powtarzam, MUSI zostać potraktowane jako nadrzędne w stosunku do zadania majora Fitzgeralda, aż do porzucenia go wraz z jego ludźmi, jeśli tak się potoczą wydarzenia.

ZNISZCZYĆ NATYCHMIAST... ZNISZCZYĆ NATYCHMIAST... ZNISZCZYĆ NATYCHMIAST... ZNISZCZYĆ NATYCHMIAST.

Zapaliłem zapalniczkę, przytknąłem płomyk do rogu arkusza i czekałem, aż się spali. Opadł powoli na ziemię, a ja zmiażdżyłem go na popiół i wtarłem obcasem w trawę. Potem zszedłem ścieżką na plażę.

Wszystko było wystarczająco jasne, wraz ze smakowitym fragmentem na temat Kommandobefehl, choć to mnie szczególnie nie obeszło. Jedynym pytaniem, jakie sobie zadawałem przez ubiegłe pięć lat, było pytanie nie o to, czy mnie zabiją, jeśli wpadnę w ich łapy, ale jak. Przez pamiętne dwa dni w siedzibie gestapo przy rue de Saussaies 11 w Paryżu, na tyłach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, myślałem, że moje dni się skończyły. Ale udawałem głupka, a oni się na to nabrali. W dwa dni później wyskoczyłem z pociągu jadącego do Polski, gdzie miałem być wcielony do Organizacji Todt wraz z tysiącami innych nieszczęśników.

Przeszedłem przez druty i po piasku dotarłem do wody, rozmyślając o tym wszystkim, ale głównie o Simone, tam za morzem, opuszczonej w starym domu, który od zarania czasów po dziś

dzień stoi samotnie w dolince wśród buków.

Uporczywie krążyła mi w myśli linijka wiersza: Samotnie od zarania czasów po dziś dzień. Pochodziła z poematu, który Simone szczególnie lubiła. Oryginał chiński przetłumaczony przez Ezrę Pounda. Przez północną bramę wieje wiatr pełen piasku. Z sercem i umysłem pełnymi wspomnień o niej zapatrzyłem się na morze, aż ktoś za moimi plecami zawołał.

Po drugiej stronie drutów stał Joe St Martin. Odkrzyknąłem mu:

- Nie masz się czym martwić, przyjdź tutaj!

Zbliżał się z wahaniem, jakby stąpał wśród jajek, a potem powróciła mu pewność siebie i przyspieszył kroku. Był starszy ode mnie o pięć lat, czyli miał teraz trzydzieści jeden albo dwa, był wielki, silny jak wół i chełpliwy. Przez całe życie nie lubiłem go, on zaś ze swej strony zawsze żywił do mnie jakąś dziwną pogardę. Mały Owen, mały Owen Morgan, tak mnie nazywał, rozgarniając palcami moje włosy. A więc zatańcz nam, mała, czarna świnko. Jego walijskie pochodzenie ujawniane słowami słynnej, starej piosenki.

A później, gdy miałem czternaście lat, zaskoczyłem go na górnej łące; przewalał się w sianie z Simone, która robiła wszystko, co w jej mocy, by mu wydrapać oczy. Waliłem go, czym popadło, a moje trudy zostały nagrodzone złamanym nosem. Wystąpienie było niezbyt imponujące, ale gdy Joe sobie poszedł, Simone zapłakała nade mną i pocałowała mnie po raz pierwszy, a to wyrównało wszystko. Miała wówczas szesnaście lat, o dwa lata więcej niż ja, a w tym wieku taka różnica wydaje się zwykle przepaścią nie do pokonania. Ale od tej chwili dla nas obojga nikt inny nie istniał.

Joseph ubrany był w za duży o jeden numer niebieski garnitur z serży, biały sweter z golfem i wojskowe buty. Ta kombinacja powodowała, że wyglądał dość niezdarnie i nieokrzesanie. Marszcząc niepewnie brwi, zatrzymał się o pięć jardów ode mnie.

- Owen, czy to ty?

Nie odpowiedziałem ani słowem, a on potrząsnął głową w zdziwieniu.

- Mówili mi, że jesteś pułkownikiem.

- Zgadza się - odrzekłem.

Uśmiechnął się nagle tym samym starym i dobrze mi znanym, drwiącym uśmiechem.

- Mały Owen... mały Owen Morgan. Nigdy bym cię nie rozpoznał.

- Zatańcz nam, mała, czarna świnko.

Spowaźniał nagle i popatrzył na mnie tępym wzrokiem.

- Co takiego?

- Nieważne - odparłem. - Powiedziano mi, że byłeś na wyspie jeszcze trzy tygodnie temu. Opowiedz mi o tym.

- Nie ma wiele do gadania. - Wzruszył ramionami. - Zobaczyłem, że mam szansę ucieczki na łódce rybackiej, więc ją wykorzystałem. Wiedziałem, że większa część Bretanii jest już w rękach aliantów, kapujesz?

- Jak się dowiedziałeś?

- Ezra mi powiedział, Ezra Scully. Trzymał radio przez całą okupację. Regularnie słuchał BBC.

- O ile wiem, większość miejscowych została sześć miesięcy temu przewieziona na Guernsey?

- Zgadza się. Po ich wyjeździe wprowadzili się pletwonurkowie.

- Dlaczego ciebie zostawili?

Wzruszył ramionami.

- Potrzebowali paru pilotów w porcie i do przejazdów gdzie indziej. Wiesz, jaki potrafi być Le Coursier. Stale tracili statki, kapujesz.

- Więc zatrzymali ciebie i Ezrę?

- Tak to było.

- Kogo jeszcze?

- Jethro Hughes ciągle jest na swej farmie z synem Justynem. Szkopy, jak każdy, potrzebują mleka. I stary doktor Riley; zatrzymali go, bo nie mają tylu lekarzy wojskowych, ilu im trzeba.

- A Seigneur!

- Zabity przy ostrzale zeszłego roku, ale ona jeszcze tam jest... Simone. Teraz ona jest Seigneur.

- I dlatego pozwolili jej zostać? Bo jest Seigneur!

- Może, ja tam nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Kurwa to dla niej lepsza nazwa; ona i jej kochaś, Steiner.

Seigneur? Szkopski materac raczej.

Mój własny głos, gdy się do niego odezwałem, wydał się należeć do kogoś innego, kto stał i mówił obok mnie.

- O czym ty mówisz?

- Simone... Simone i ten jej kochaś, Steiner. Zwykły starszy sierżant, a traktują go, jakby był samym Fiihrerem.

- Kłamiesz - powiedziałem.

- Kłamię, co? Kupę razy ich widziałem, to ci powiem, i ją pozującą dla niego, całkiem gołą, a było na co patrzeć, możesz wierzyć. - W tym momencie przypomniał sobie, i powoli chytry uśmiech wykrzywił mu twarz. - Zapomniałem, no nie? Bujaleś się w niej. Biedny Owen... biedny, mały Owen Morgan. Sam byś chciał ją dorwać, hę? I nie dziwię ci się, chłopczyku. Na Boga, ja też mógłbym zrobić jej dobrą pamiątkę. - Zaczął się śmiać i dał mi pogardliwego szturchańca w ramię, szturchańca tak dobrze zapamiętanego z młodości.

Spoliczkowałem go z całej siły, a głos, gdy go z siebie wydobyłem, był znów mój własny.

- Ludzie tak naprawdę się nie zmieniają, Joe, czyż nie?

Zawsze miałeś brudny pysk.

Dotknął swej twarzy w zdumieniu, jak gdyby się zdziwił, i nagle wybuchła w nim nienawiść niczym wrząca lawa przebijająca się na powierzchnię. Rzucił się wściekły do przodu, chcąc sprawić mi takie lanie, jak niegdyś.

Ale czasy się zmieniły i, jeśli on się nie zmienił, to Owen Morgan był już zupełnie inny. Nie dałem mu nawet najmniejszej szansy. Moja prawa stopa trafiła go w krocze z siłą, która uczyniłaby z niego dożywotniego kalekę, gdybym nie miał na nogach plażowych sandałów ze sznurkowymi podeszwami. Z wrzaskiem zgiął się wpół, a moje kolano, wycelowane w jego twarz, wyprostowało go znowu.

Leżał na plecach z podkurczonymi kolanami, wijąc się w bólu. Przysiadłem obok niego.

- Nie sprawdzaj teraz, Joe, ale wygląda, że złamałem ci nos.

Wlepił we mnie płonący wzrok, nie przestając mimo bólu nienawidzić. Wstałem i ujrzałem starszego sierżanta Granta, stojącego po drugiej stronie drutów. Gdy się zbliżyłem, ostro poderwał się na baczność.

- Pułkowniku, przysłała mnie pani. Mówi, że jeśli chce pan jeść, to byłoby wskazane, aby pan przyszedł teraz.

- W porządku. - Kiwnąłem głową w stronę St Martina, siedzącego na piasku z obu dłońmi w kroku. - Pozostań z naszym przyjacielem do chwili, gdy będzie w stanie chodzić, a wtedy go przyprowadź. Mamy jeszcze do pogadania.

Poderwał rękę, salutując wspaniale, bez żadnego wyrazu na swej nieruchomej twarzy. Zrobił zwrot, przeszedł przez druty, ja zaś poprzestałem na tym i zacząłem wchodzić ścieżką pod górę.

Zatrzymałem się w połowie drogi z bijącym sercem, bynajmniej nie ze zmęczenia. Czy to była

prawda? Czy mogła być? Nie, nie mogłem w to uwierzyć... nigdy. Poczulem rosnącą w gardle jak gorzka żółć nienawiść do Joego St Martina. Myślę, że gdybym wówczas zawrócił na plażę, mógłbym go zabić, bo czarna, celtycka wściekłość, dziedzictwo po walijskich przodkach, ogarnęła mnie tak, jak to bywało dawniej podczas wielkich stresów. Dalsze wspinanie się po ścieżce w stronę domu wymagało ode mnie wielkiego fizycznego wysiłku.

Człowiek nazwiskiem Steiner

Sądzę, że najoczywistsza różnica między mną i Fitzgeraldem wynikała z faktu, że mój ojciec urodził się w dwupokojowym domku i zarabiał na życie, przynajmniej początkowo, jako przybrzeżny rybak. Natomiast Fitzgerald był synem jednego z najbogatszych bankierów amerykańskich i pewnego dnia miał zostać jego następcą. Fory dla każdego, cóż dopiero, gdy dodać do tego całą tę tradycję Nowej Anglii. Oceniając to z perspektywy lat, zrozumieć, że powinienem być dla niego uprzejmiejszy; ale człowiek jest, kim jest, ukształtowany przez wszystko, co go spotkało, a zmienić się trudno. Fitzgerald był przeznaczony w sposób dostępny tylko bardzo bogatym, więc nawet jego wykształcenie na Uniwersytecie Pnncton było mu, prawdę mówiąc, niepotrzebne. Ja zaś byłem małym, czarnym walijsko-bretońskim wieśniakiem pomimo pieniędzy mego ojca oraz studiów w Oksfordzie, do tego aż nazbyt zręcznie posługującym się nożem, jak na dżentelmena, który uważa, że wypada stać na nogach jak mężczyzna, pozwalając sobie zbić twarz na miazgę przez kogoś, kto lepiej boksował.

Wobec tego wyciągnąłem nóż, zwolniłem sprężynowy zatrask i cisnąłem zniecka jednym szybkim, płynnym ruchem. Zadrżał lekko w drewnianym słupku na drugim końcu werandy, pięć stóp nad ziemią.

Wyszczrzyłem zęby do Henry'ego i poszedłem po nóż.

- Mogę założyć się, że jestem jedynym podpułkownikiem armii brytyjskiej, który to potrafi.

Fitzgerald siedział na poręczu werandy, pijąc kawę. Odchrząknął.

- O wiele trudniej zrobić to w ciemności, sir, a to przecież są okoliczności, w których bardziej potrzebny jest trik, taki jak ten. Zna pan te sprawy: nocne lądowanie i wartownik na klifie. Trenowaliśmy z zawiązanymi oczami w Ośrodku Szkolenia Komandosów w Achnacarry. Pamiętasz, sierżancie Grant?

Grant stał na spocznij przy drzwiach, udając ordynansa.

- Nie pamiętam, sir, by ktokolwiek był w tym lepszy od pana - odparł, jak tego po nim oczekiwano.

Wyglądało to na wyzwanie, które przyjąłem z własnych, mrocznych powodów. Wiedziałem, że potrafi to zrobić, nim jeszcze spróbował, bo nie należał do gatunku ludzi, którzy godzą się na publiczną odmianę porażki w czymkolwiek.

Przez chwilę ważył nóż w dłoni, a potem zamknął oczy i cisnął go, trzymając za ostrze, z taką siłą, że klinga wbiła się na dwa cale w drewno.

Otworzył oczy i uśmiechnął się blado.

- O, dobrze.

Zabrałem nóż, złożyłem i potrząsnąłem głową.

- Jak mawiał jeden z moich przyjaciół: nigdy nie graj przeciw człowiekowi, który ma dobrą passę. - W jego oczach ujrzałem coś bliskiego niepewności. A potem jakby lekceważenie. - Ale z całą pewnością zarobił pan na bardzo dużą szkocką, majorze - dodałem. - Jeśli zechce pan wejść do środka, w salonie znajdzie pan wszystko.

Zmarszczył się i rzucił okiem na Henry'ego.

- Czy mogę spytać, kiedy możemy liczyć na zajęcie się tematem dnia, profesorze Brandon?

- Kiedy będę gotów, majorze Fitzgerald - wtrąciłem pogodnym tonem - będzie pan pierwszym, który się o tym dowie.

Myślałem, że zaraz wybuchnie, ale on po prostu zawrócił na pięcie i odszedł sztywnym krokiem. Grant ruszył jego śladem.

Henry nie odezwał się ani słowem, wobec tego poszedłem na sam koniec werandy, zamknąłem oczy, wyciągnąłem nóż, odwróciłem się tyłem i rzuciłem. Nóż trafił w słup nie dalej niż o cal od pierwszego śladu.

- Zadowolony? - zapytałem.

Profesor westchnął i ruszył po nóż.

- Cyrkowe triki, Owenie. Zabawy sztubaków.

- Trzy miesiące, Henry, trzy miesiące mego życia, spędzone na tej nauce, na farmie w Bretanii, z lewą nogą w łubkach. Jesień czterdziestego roku. Pamiętam nader żywo, spadochronów nie pakowano w owe dni tak, jak by należało oczekiwać.

- W co ty grasz, Owenie? Czemu tak tyranizujesz Fitzgeralda?

- Bo mi to sprawia przyjemność... bo mam na to ochotę.

Jeśli tego nie pochwalasz, zawsze możesz sobie znaleźć kogoś innego.

Uśmiech znikł z jego twarzy, nawet ów odwieczny, z lekka sardoniczny grymas był nieobecny po raz pierwszy od czasów naszej znajomości.

- O co chodzi, Owenie? Co ci jest?

Uniosłem nóż w górę.

- Zabawy sztubaków, Henry? Może dla ciebie, gdy siedzisz za swym biurkiem, knując i

planując, zawsze po uszy w papierach. Ja tym drobiażdżkiem pięć razy zabiłem. Czasem pomyśl sobie o tym podczas przerwy na herbatkę. - Zatrzasnąłem nóż i wsunąłem do tylnej kieszeni. - Teraz porozmawiam z St Martinem i chcę, abyś był przy tym.

Zbladł jak ściana i wyszedł, ja zaś otworzyłem szafkę pod ławą do siedzenia i znalazłem tam pół butelki szkockiej oraz emaliowany kubek, bynajmniej nie pierwszej czystości. Ale w życiu pijałem z dziwniejszych naczyń. Poczulem, jak whisky przejmuję mnie ogniem do szpiku kości. Wypiłem następną.

Gdy Henry wszedł, prowadząc St Martina, siedziałem na poręczy werandy, paląc papierosa. Joe był blady, wyglądał na chorego, wydawał się dobre dziesięć lat starszy niż przed chwilą. Patrzył z nienawiścią. Przypuszczam, że gdybym zwrócił na to uwagę, sprawy potoczyłyby się inaczej. Nie można jednak być w życiu niczego pewnym.

Nalałem trochę whisky do kubka i podałem mu. Wziął bez słowa. Poprosiłem Henry'ego, by przyniósł mapy. Była to mapa Admiralicji akwenu zatoki St-Malo oraz przedwojenna mapa sztabowa St-Pierre. Tuszem naniesiono na nią stanowiska artylerii, umocnienia i tym podobne, zapewne według informacji uzyskanych od St Martina. Przysunąłem do stołu wiklinowe krzesło i gestem poleciłem mu usiąść.

- Zadam ci teraz trochę pytań i chcę mieć na nie jasne i dokładne odpowiedzi. Zrozumiano?

Kiwnął głową i zabraliśmy się do roboty. W większości wypadków tylko potwierdzał to, co Henry już wcześniej mi powiedział, ale omawialiśmy wszystko, krok po kroku, bo chciałem wiedzieć, w co się pakuję.

Powstał z tego nader ponury obraz. Wszystkie plaże zaminowano, czego zresztą należało oczekiwać, jakiegokolwiek więc lądowanie było niemożliwe, co i tak wynikało z informacji znajdujących się na mapie.

- Tylko jedno miejsce przychodzi mi na myśl. - Dziabnął palcem w wysunięty na morze półwysep na południowo - wschodnim skraju wyspy.

- Diabelskie Schody?

- Możesz dać im radę, jeśli przyływ będzie jak trzeba a powinien być.

- Ależ! W tym miejscu klif musi mieć trzysta stóp wysokości - wtrącił się Henry.

St Martin kiwnął twierdząco.

- Dlatego nie zrobili tu niczego dla obrony. Nie uważali by potrzebowali.

- I nie wiedzą o Diabelskich Schodach?

Pokręcił głową.

- Gdyby wiedzieli, ja też wiedziałbym na pewno.

Pośpiesznie wyjaśniłem sprawę Henry'emu.

- Podczas odpływu nie byłoby to możliwe, ale dwudziestopięciostopowy przyływ wynosi człowieka na wysokość jamy w klifie, skąd biegnie szczelina przez całą skałę.

- Muszę jednak powiedzieć, że to mi wygląda na niemały wyczyn - zauważył.

- Chodziłem już tamtędy.

- We dnie, jak przypuszczam?

Zbyłem go wzruszeniem ramion i przeszedłem do omawiania dokładnego miejsca pobytu każdego z cywilów pozostałych na wyspie. Doktor Riley mieszkał w mieście, a Ezra Scully ciągle rezydował w swym starym domku koło stacji łodzi ratunkowych w Granville, w południowej części wyspy.

- Nie wiem, jak on to wytrzymuje - powiedział St Martin. - Taki całkiem samiuteńki. Inne chaty w Granville stoją puste od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

- Jethro Hughes i syn są w dalszym ciągu na Manor Farm? - Skinął głową, a ja kontynuowałem: - A panna de Beaumarchais?

- W Seigneurie... w rezydencji, jak zwykle.

To mnie zdziwiło, ale znajdowałem się tu na śliskim gruncie i sędzę, że on o tym wiedział. Zadowolilem się pytaniem, czy kogokolwiek u niej zakwaterowano.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, jej ojciec się nie zgodził. Powołał się na swe prawa Seigneura, a szkopy bardzo poszły mu na rękę.

Niemcy nie chcieli żadnych kłopotów, kapujesz? Potem, jak starszy pan został zabity, zaproponowali jej willę w mieście, ale odmówiła.

Dałem temu spokój.

- A co na temat płetwonurków?

- Sprowadzili się jakieś pięć miesięcy temu, gdy już większość mieszkańców przeniesiono na Guemsey. Kiedy przybyli, było ich trzydziestu.

- Kto był ich dowódcą?

- Miał nim być młody porucznik nazwiskiem Braun, ale utopił się w drugim tygodniu pobytu,

zresztą mało się liczył. Od początku wszystkim kręcił Steiner... starszy sierżant Steiner!

Poczułem zionącą zimnem pustkę w żołądku. Nalałem sobie następnego drinka.

- Opowiedz mi o nim.

- A co chcesz wiedzieć? - Myślę, że w tym momencie zrozumiałem, że on mocno nie lubi Steinera, co przemawiało na korzyść Niemca. - Bez kija nie podchodź. Nawet gubernator, stary generał, obchodził się z nim w białych rękawiczkach, choć sam był z SS.

- Co w nim tak szczególnego?

- Nie wiem. Ma wszystkich w nosie. Połowę czasu spędza na szkicowaniu i malowaniu po całej wyspie, a po angielsku mówi lepiej niż ty. Jeden kapral z saperów raz mi powiedział, że on był w wyższej szkole w Londynie, a jego ojciec... nie, jego ojczym, o właśnie... jest u nich w kraju wielkim człowiekiem.

Zwróciłem się do Henry'ego, który już otwierał aktówkę.

- Sprawdziliśmy wszystkie londyńskie wyższe szkoły sztuk pięknych. Był niejaki Manfred Steiner u Slade'a w latach od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego do tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Bez większych trudności dotarliśmy do paru jego nauczycieli. - Wyciągnął arkusz papieru. - Chcesz przeczytać?

Pokręciłem głową.

- Opowiedz mi.

- Urodził się w roku tysiąc dziewięćset szesnastym, a jego ojciec został zabity w ostatnim roku tamtej wojny.

Rodzina pruska, z tych, które zwykle służą w wojsku. Gdy miał dziesięć lat, jego matka ponownie wyszła za mąż. Za człowieka nazwiskiem Otto Furst.

- Przemysłowiec Furst? Fabrykant broni?

- Ten sam.

- Czy przypuszczasz, że Steiner przed wojną mógł amatorsko zajmować się szpiegostwem? - zapytałem. - Mnóstwo tych tak zwanych studentów to robiło.

- Nie wiem. - Potrząsnął głową. - Intryguje mnie ogromnie jego stopień starszego sierżanta.

I miał słuszość. Biorąc pod uwagę pochodzenie Steinera, coś tu się absolutnie nie zgadzało. Ale z dalszej dyskusji niewiele mogło wynikać, więc przeszedłem do innych spraw.

Gubernator, stary generał Muller, zginął w jakimś wypadku mniej więcej na tydzień przed

ucieczką St Martina, dzięki temu jego pierwszy zastępca, pułkownik SS nazwiskiem Radl, zaczął pełnić obowiązki gubernatora. St Martin miał o nim mnóstwo do opowiadania, a w jego opisach stale powtarzało się słowo „świnia”, co nasuwało mi myśl, że jest to twardy człowiek.

Zrobiłem na mapie kilka notatek, spojrzałem na nią z namysłem i wreszcie skinąłem głową.

- W porządku, to mi wystarczy, Henry. Pozbądź się go.

Joe St Martin wstał i z obłądnym spojrzeniem oparł się ciężko na stole.

- Mam nadzieję, że cię złapią, Owenie Morgan. Mam nadzieję, że zostawią cię wiszącego na drucie, by mewy dokończyły dzieła.

- To z pewnością jest jakiś pomysł - powiedziałem i wszedłem do domu, zabierając mapy.

Zbliżywszy się do salonu, usłyszałem głosy, bo drzwi były uchylone. Grant mówił takim tonem, jaki starsi podoficerowie w Brygadzie Gwardii rezerwują na te rzadkie okazje, gdy znajdują się w stosunkach towarzyskich z jednym ze swych starszych oficerów. Prawdziwa, ze szczerego serca płynąca rozmowa mężczyzny z mężczyzną, ze ściśle stosownym odcieniem szacunku ze strony człowieka znajdującego swoje miejsce.

- Zabawny układ, sir - mówił. - Pułkownik Morgan. - W tym momencie pozwolił sobie na lekki śmieszek, pięknie odmierzony. - Cóż, sir, to nie tak, jak w dawnych czasach, gdy byłem w Gwardii Szkockiej, to mogę panu powiedzieć. Zupełnie by do tego nie pasował.

Popęłnił paskudny błąd. Głos Fitzgeralda był lodowaty:

- Grant, jeśli kiedykolwiek w mojej obecności w taki sposób wyrazisz się o pułkowniku Morganie albo innym oficerze, złamię cię, zrozumiałeś? A teraz wynoś się i czekaj na mnie w samochodzie.

- Sir! - Głos Granta odbił się echem od ścian, a ja mogłem sobie wyobrazić, z jakim rozmachem zasalutował, gdy usłyszałem trzask jego obcasów. Pojawił się w drzwiach, zszedł na bok i zasalutował mi, przechodząc obok. Wszystko to było bardzo nieamerykańskie.

Fitzgerald stał w oknie i odwrócił się do mnie, gdy wszedłem.

- Czy szkocka panu smakowała? - spytałem, rozkładając mapy na stole.

- Zaiste, sir. - Zbliżył się z rękami założonymi za plecy i trzcinką [13] pod pachą.

Podszedłem do kredensu i otworzyłem butelkę.

- Ma pan ochotę na jeszcze?

- Nie, dziękuję.

- Jak pan sobie życzy. W jaki sposób szkocki góral znalazł się w armii amerykańskiej?

- Grant? - Wzruszył ramionami. - Przez pewien czas był zawodowym żołnierzem waszej armii, w Gwardii Szkockiej.

Wykupił się ze służby i został zawodowym bokserem.

Otrzymał obywatelstwo amerykańskie tuż przed wojną.

- Czy on się do czegoś nadaje?

Fitzgerald zareagował, jakbym zrobił nieprzyzwoitą propozycję.

- Pierwszorzędny w boju - odrzekł z odcieniem oburzenia w głosie.

- W porządku, nie ma co się aż tak przejmować. - Gdy pojawił się Henry, nalałem pół szklaneczki i postawiłem na stole. - Dobra, bierzmy się do tego! Chcę zobaczyć pańskie rozkazy, majorze.

Wyciągnął je, nie mrugnawszy okiem, ja zaś szybko je przejrzałem. Były bardzo podobne do moich i mocno podkreślały sprawy naprawdę istotne: że moja misja jest ważniejsza niż jego, że pod żadnym pozorem nie wolno mu lądować ani szukać zbędnych kłopotów, w każdej zaś ekstremalnej sytuacji po rozkazy ma się zwracać do mnie.

- Przeczytał pan to dokładnie i zrozumiał?

Skinął głową.

- Najdokładniej.

Wrzuciłem papier do kominka i powróciłem do mapy morskiej i sztabowej.

- Majorze, znam te wody jak własne pięć palców, co jest bardzo ważne, bo stanowią śmiertelną pułapkę, i wiem, że ścisłe wykonanie rozkazów z dużym prawdopodobieństwem oznaczałoby śmierć pana i pańskich ludzi.

Henry gapił się na mnie zdumiony, ale Fitzgerald przyjął te słowa całkiem dobrze i cierpliwie czekał, co powiem dalej.

- Założono tu, że po zakończeniu misji opuści pan port, powiosłuje jedną milę wprost na wschód i zasygnalizuje, by was podjęto.

- Tak jest.

Potrząsnąłem głową.

- Jeśli pan tak zrobi, będą czekali całą noc i nigdy już pana nie ujrzą. - Przesunąłem palcem po

obszarze wody wzdłuż północnego skraju wyspy. - Proszę tu popatrzeć, majorze: Le Coursier, zwany po angielsku The Mill-Race [14].

Piekielne miejsce przy najpiękniejszej pogodzie, a podczas odpływu ma pan tu prąd o szybkości dziesięciu węzłów, prąd, który chwyci pańskie lekkie kanoë w szpony i nie wypuści, aż rozwali was na miazgę o klif na wschodnim wybrzeżu!

- Rozumiem. - Skinął głową z powagą. - Jaką możliwość pan proponuje?

- Gdy wydostaniecie się z portu, skręćcie na południe, opływając Fort Windsor, a następnie trzymajcie się linii brzegowej, aż dopłyniecie tutaj - puknąłem palcem w punkt na mapie. - To miejsce, z którego ja mam zostać odebrany.

Fitzgerald przez chwilę przyglądał się mapie.

- Powiedziałbym, że to oznacza usprawnienie. Ponadto znacznie zyskujemy na czasie.

- Więc postanowione. - Złożyłem mapy i podałem Henry'emu. - W twoje ręce, Henry. Kiedy chcesz, abym przybył do miasta?

- Nie ma potrzeby, Owen. W Falmouth jutro wieczorem. Przyślę samochód. Odpłyniesz następnego dnia w południe.

- Odpowiada mi. Teraz, gdy wiem, co robimy, im wcześniej tym lepiej.

- Dobrze, myślę, że to już wszystko. - Henry włożył mapy do aktówki. - Ruszamy. Już się pożegnałem z panią Barton.

Wyszedł z domu, Fitzgerald ruszył za nim, a potem zawahał się, dziwnie skrępowany.

- Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe, ale chciałem zapytać o ten obraz nad kominkiem. Jest naprawdę niezwykły, ale nie mogłem zrozumieć podpisu.

- I nie mógłby pan - odparłem. - To po walijsku.

Afektacja ze strony malarza.

- Rozumiem. Jest znakomity, absolutnie znakomity. Gdyby istniała kiedykolwiek ewentualność, że pomyślałby pan o sprzedaży...

Spojrzałem w spokojne, szare oczy kobiety na obrazie i jak zawsze wydało mi się, że chce do mnie przemówić. Potrząsnąłem głową.

- Nie przypuszczam. Ale cieszę się, że się panu podoba.

To portret mojej matki, namalowany na miesiąc przed tym, jak mój ojciec został zabity. Najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek namalował, a to wiele mówi, majorze Fitzgerald.

Nastąpiło milczenie, które z jakichś powodów podziało mi na nerwy. Przyszło mi na myśl, że major chciał w ten sposób zrobić jakiś gest. Teraz wiem, że bardzo źle go osądzałem.

- Jeszcze jedno, zanim pan odjedzie - powiedziałem. - Żadnych skautowskich wyczynów tym razem, żadnego fantazyjnego bohaterstwa. Ma pan wszystkie ordery, jakich potrzeba, by zrobić wrażenie w kraju.

Na chwilę zbladł jak ściana, a w jego oczach pojawiło się coś, jakby ból. Zaczerpnął głęboko powietrza, poprawił czapkę wojskową i przepisowo zasalutował.

- Pułkowniku, proszę o pozwolenie odejścia.

- Och, idź pan do diabła, wynoś się stąd! - powiedziałem z goryczą, on zaś znów zasalutował z poważną twarzą i wyszedł.

Teraz już mogę sobie wyobrazić, jak Burgoyne musiał się poczuć w Saratodze [15].

Po tym wszystkim nie miałem ochoty na spotkanie z Mary, więc po cichu wyszedłem z domu przez ogród. Popołudnie spędziłem, chodząc całkiem bezcelowo wzdłuż klifów i rozmyślając. Do domu wróciłem dopiero wczesnym wieczorem.

Nie było jej, poszedłem więc na werandę. Niebo płonęło wszelkimi odcieniami ognia, oranżu i szkarłatu, słońce szybko zapadało poza skraj świata, a gdy nadszedł zmrok, wszystko poczerniało, ostro rysując się na tle płomienia.

Kruki, siedem kruków siedzących na dachu starego domku letniego. Z pewnością znak, wróżba, ale co oznaczała, nie byłem pewien. Teraz przemówił przeze mnie literat, ta moja część, która żądała, aby wszystko działo się z jakiegoś powodu, miało swe następstwa, swoją treść.

Coś się poruszyło w ciemności i Mary poprosiła:

- Czy możesz mi o tym opowiedzieć?

- Wracam do zaprzęgu. St-Pierre, pojutrze.

Była naprawdę wstrząśnięta.

- Ależ to nonsens... absolutny nonsens. Wojna praktycz nie jest skończona. Czemu Henry miałby oczekiwać, że w tym momencie włożysz głowę w stryczek? Zrobiłeś dosyć. Więcej niż dosyć.

- Są poważne powody - odrzekłem i opowiedziałem jej pokrótce o kilku szczegółach, tyle, ile mogła wiedzieć. - Jesteś jedyną osobą na świecie, której o tym mówię i to tylko dlatego, że jestem ci winien wyjaśnienie.

- Niczego nie jesteś mi winien. - Poglaskała mnie po twarzy. - Ja ci pomogłam, ale i ty mi pomogłeś, Owenie.

Potrafię teraz zachowywać się w taki sposób, w jaki nie mogłam poprzednio. Żadnych kłamstw, żadnych zobowiązań, dokładnie tak, jak uzgodniliśmy.

- W porządku. - Po poprzednim poczuciu winy doznałam prawie fizycznej ulgi. - A co tam z kolacją?

- Dobrze. - Podeszła do drzwi i zatrzymała się. - Owenie, wiem, że robisz to na rozkaz, ale prawda jest taka, że chcesz tam pojechać, czyż nie tak?

- Z ręką na sercu, nie jestem pewien.

Potrząsnęła głową.

- Biedny Owenie, co będziesz robił, gdy to wszystko się skończy? Co będziesz robił, gdy się skończy zabijanie?

Przynajmniej zakładała, że przeżyję, a to już było coś.

Szybki statek i nocna wyprawa

Po pierwszej nieudanej misji na St-Pierre, w lipcu 1940 roku, Henry zapisał mnie na szkolenie spadochronowe, jeśli tak to należy określić. Nasza grupa trzęsa się w zimnym porannym powietrzu na nader niegościnnym i chłostanym wichrem lotnisku Yorkshire, przyglądając się, jak z dwusilnikowego whitleya na spadochronach zrucane są worki z piaskiem. Jakikolwiek mogliśmy żywić zaufanie do ludzkiej zdolności przewycięzania sił natury, to szybko się ono rozwiało w obliczu faktu, że przynajmniej połowa spadochronów nie rozwijała się.

W dwa tygodnie i o pięć skoków później dałem nura przez otwór specjalnie w tym celu zrobiony w podłodze whitleya i stwierdziłem, że opadam w ciemność nad wiejską okolicą Bretanii z szybkością, która wydała mi się przerażająca.

Wstrząs przy lądowaniu - tak przynajmniej poinformowali mnie specjaliści - jest bardzo podobny do gwałtownego szarpnięcia podczas skoku z czternastostopowego muru. Jeśli o mnie chodzi, niespodzianie zetknąłem się z dachem stodoły i zламаłem nogę. Doprowadziło to do nader długiej rekonwalescencji w towarzystwie starego, bretońskiego kapitana żeglugi wielkiej, który stał się farmerem, mnie zaś pokazał parę interesujących trików z nożem. Ale to już całkiem inna historia.

Przy następnych okazjach unikałem jakichkolwiek powtórzeń tego scenariusza, wybierając inne metody przemieszczania się. Można było przylecieć samolotami Lysander albo Hudson i robiłem to przy wielu okazjach. A podczas końcowej operacji w Wogezach nadleciałem na DC-3 z czterema tonami amunicji i zaopatrzenia, a poza tym zawsze jeszcze była Hiszpania i drapanie się przez Pireneje.

Ale mając we krwi pewną ilość słonej wody, wolałem szybki statek i nocne wyprawy, a robiłem je tyle razy, że sposób ten stał się moją drugą naturą.

Zwykle klientów przywożono z Londynu do hotelu w Torquay, gdzie czekali na łaskawą decyzję marynarki, bo jej dowódca w Plymouth miał ostatnie słowo, jeśli chodzi o termin wyjazdu. Dla bezpieczeństwa zawsze noszono mundur.

Zwyczaj był taki, że wchodziło się na pokład okrętu-bazy w Falmouth około południa wielkiego dnia, a pięć minut przed odpłynięciem następowało przeniesienie na kanonierkę bojową i natychmiast schodziło się pod pokład.

Dziwnie się czułem, znów włożywszy mundur, ale przynajmniej dzięki temu na czas podróży miałem do dyspozycji kapitańską kajutę oraz zetknąłem się z takimi oznakami szacunku dla stopnia, jakie spotyka się tylko w marynarce wojennej i nigdzie indziej.

Dowódcą okrętu był porucznik mniej więcej w moim wieku, nazwiskiem Dobson. Miał chudą, ogromnie zuchowatą twarz, a czapkę nosił w stylu Mountbattena [16]. Sądząc z jego miny, sposób, w jaki on prowadził tę wojnę, bardzo mu odpowiadał, nie wiedział więc co, do diabła, z sobą począć,

gdy się to wszystko skończy.

- Miło mi widzieć pana na pokładzie, sir. Jeśli pan pozwoli, porozmawiamy później. Teraz musimy ruszać.

Zniknął, a w parę minut później potężne diesle zagrzmiały, budząc się do życia, i zaczęliśmy wolno płynąć. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Fitzgerald. Widziałem go przelotnie poprzedniego wieczoru w domu nad brzegiem rzeki Helford, tuż na zachód od Falmouth, gdzie zawieziono mnie samochodem przysłanym przez Henry'ego.

Był tam już Henry i parę osób z londyńskiej części naszej firmy oraz Fitzgerald z oddziałem. Jego ludzie wyglądali dokładnie tak, jak oczekiwałem: twardzi, wytrzymali młodzieńcy we wspaniałej formie, jaką ja z pewnością nie mogłem się pochwalić, i zaskakująco zdyscyplinowani. Sprawdzali wyposażenie i kanoe w garażu, gdzie; mnie zaprowadzono, by nas poznać. Fitzgerald bez wątpienia znał się na swojej robocie.

Pokazał mi wszystko z wykwinną grzecnością, co było nieskończenie gorsze, niż jakiegokolwiek objawy wrogości. Zdałem sobie sprawę, że ludzie wyczuwają, co wisi w powietrzu, jakieś krążące między nami ładunki elektryczne. A to wcale nie było dobre.

Co mnie tak drażniło? Jego głos, jego maniery? Czy też i jego wspaniały battledress, szyty na miarę, ze wstążeczkami nad lewą kieszenią kurtki? Ludzie mojej specjalności nie dostają orderów. Za moje pięć i pół roku, za te czarne, brutalne lata, nie miałem niczego do pokazania prócz mej twarzy i owej królewskiej emerytury, którą Henry dla mnie uzyskał. Może była to dziwna zazdrość albo głęboki kompleks niższości, jaki mają wszyscy osobnicy niskiego wzrostu.

Nie było na to odpowiedzi i zapewne nigdy nie będzie. Wobec tego zostawiłem oddział przy jego robocie i odszedłem z Henrym, by spędzić wieczór w wiejskim pubie pod Falmouth, udając oficera z Londynu na urlopie.

Do rzeczywistości przywrócił mnie nagle głos Fitzgeralda:

- Odprawa o godzinie dwudziestej pierwszej. Czy to panu odpowiada, sir?

- Tak to sobie wyobrażałem.

Zawahał się, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale się wycofał. Miałem inne rzeczy do przemyślenia i położyłem się na koi z rękami pod głową, gapiąc się na grodz.

Prognoza pogody dla akwenu Kanału była niezła. Wiatr trzy do czterech ze szkwałami, ale słabnący pod wieczór. Księżyc nie świecił, a podczas przyływu na całym wybrzeżu atlantyckim nie było niebezpieczniejszego miejsca niż wody wokół St-Pierre.

Przy barze Pancernika, najstarszego pubu w Charlottestown, koło Przystani Południowej, wisiała najznakomitsza kolekcja fotografii wraków okrętowych, jaką kiedykolwiek widziałem; niektóre ze zdjęć były z epoki wiktoriańskiej.

Zapadłem w sen, a gdy znów się obudziłem, była siódma trzydzieści wieczorem. Wstałem, otworzyłem torbę podróżną, wyciągnąłem drelichowe spodnie, mój stary sweter z Guernsey, płócienne pantofle ze sznurkową podeszwą, krótki płaszcz, który mój ojciec miał na sobie, opływając pod żaglem przylądek Horn, i starą czapkę bosmańską ze złamanym daszkiem.

Przebrałem się szybko i przejrzałem w lustrze. Mogłem wylądować w mundurze, jak Fitzgerald i jego oddział, bo jasne było, że wobec tak małej liczby cywili pozostałych na wyspie nie wchodziło w grę to, bym przy kontroli mógł uchodzić za jednego z nich. Ale byłem przesądny - odezwała się we mnie czarna, celtycka krew - i w jakiś dziwny sposób wierzyłem, że mundur przynosi mi pecha, przynajmniej noszony podczas akcji.!

Miałem go na sobie podczas klęski pod Dunkierką i już; nigdy później, aż do półwojskowej operacji w Wogezach, gdy po raz drugi poczułem smak porażki. Zresztą to doświadczenie mało mnie obeszło. Dotknąłem przelotnie łaty na oku i przypomniałem sobie o kolczyku. Zdjąłem go na skutek nalegania Mary, jako swego rodzaju oznakę szacunku dla munduru mego króla. Teraz włożyłem go na miejsce w skromnym geście wyzwania rzuconego pomniejszym bogom.

Nie lubiłem kabury noszonej pod pachą, gdyż nie można się jej szybko pozbyć w obliczu rewizji osobistej. Wyciągnąłem z torby pistolet - był to mauzer z cebulastym tłumikiem, broń ulubiona przez gestapo i pochodząca od jednego z jego członków. Doskonała do wykonywania w miarę cichych egzekucji, choć żaden z istniejących pistoletów nie może być całkowicie wytłumiony.

Wsadziłem go do wewnętrznej kieszeni płaszcza, nóż do prawej, gumową latarkę elektryczną do lewej i wyszedłem z kajuty.

Na zejściówce natknąłem się na idącego do mnie bosmana-szefa. Czuł się do szpiku kości podoficerem marynarki wojennej, więc nawet nie mrugnął na mój widok. Zasalutował energicznie.

- Ukłony od kapitana, sir. Poczytywałyby sobie za zaszczyt, gdyby przyłączył się pan do niego na mostku.

Na szczycie zejściówki przytrzymał otwarte drzwi, a gdy wyszedłem w ciemność, piana uderzyła mnie w twarz.

Nie było księżyca, ale po obu naszych stronach grzywacze słabo świeciły, a kilwater fosforyzował.

Gdy wszedłem na mostek, Dobson odwrócił się, by mnie powitać.

Jego głowa w świetle płynącym od stolika nawigacyjnego wyglądała niczym pozbawiona ciała.

- Dziękuję za przybycie, sir. Pomyślałem sobie, że wspólnie popatrzymy na mapy. Major Fitzgerald już tu jest.

Fitzgerald wynurzył się z cienia. Był ubrany bojowo w nieprzemakalną kurtkę i spodnie, a twarz miał ciemną od smaru kamuflażowego. Nie odezwał się, ale przyjął papierosa, którym go

poczęstowałem.

- O ile mi wiadomo, sir, ma pan poważne doświadczenie w tego rodzaju rejsach? - spytał Dobson.

Skinąłem głową.

- Aż do zeszłego roku. Czy komandor porucznik Ferguson jest w dalszym ciągu w służbie czynnej?

- Dziewięć miesięcy temu przeniesiono go do Aleksandrii. Kiedy ostatni raz o nim słyszałem, działał na Morzu Egejskim, mając takie samo zajęcie na motorowych felukach.

- To jednak różnica.

Uśmiechnął się.

- Sam tego chciał. Ja wolałbym się nie rozstawać z tym drobiazgiem.

Trudno było mieć mu to za złe. MGB to całkiem dobry okręciak, sto siedemnaście stóp długości, z uzbrojeniem od sześciofuntówki [17], przez wszystko, co się komu zamarzy, aż do pary karabinów maszynowych kaliber 303. Wyposażony w trzy diesle, każdy o mocy tysiąca koni mechanicznych, bez trudu pływał z szybkością dwudziestu węzłów, wyciągając w razie potrzeby aż do dwudziestu pięciu.

- Jaka sytuacja z E-boatami? - spytałem.

- Och, ciągle bardzo aktywne. Głównie w akwenie zatoki St-Malo, ale spotyka się je na całym Kanale.

W zeszłym roku Amerykanie oczyścili Brest, lecz większość pozostałych portów Bretanii jest ciągle w rękach nieprzyjaciela, choć są obleżone od strony lądu.

- Z jakiej bazy operują w okolicy Wysp Normandzkich? - zapytał Fitzgerald.

- Głównie z Guernsey. Z portu St-Peter, ale jak już powiedziałem, można się na nie natknąć gdziekolwiek na Kanale. Cały kłopot z tym, że w miejscach najmniej oczekiwanych.

- Tak są dobre?

- Cholernie dobre - odparł Dobson ze szczerym uczuciem. - Przede wszystkim mogą rozwijać wielką szybkość.

Ściśle mówiąc, trzydzieści pięć węzłów, czyli o dziesięć więcej niż my, a faceci, którzy nimi dowodzą, znają się na robocie. - Uśmiechnął się radośnie. - Znam przyjemniejsze sposoby spędzania ciemnych nocy.

Przedyskutowaliśmy manewr zbliżenia, główną zmianę planów, dotyczącą podjęcia nas, a ja

podałem mu parę pożytecznych informacji o warunkach na tym akwenie. Popukał palcami w mapę, gdzie zaznaczono Wieżyczki leżące o pół mili na północny zachód od wejścia do portu.

- Wyglądają jak coś, co trzeba omijać z daleka.

- Najgorsza rafa na całym północnoatlantyckim wybrzeżu. Dwadzieścia siedem dużych katastrof w ciągu ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat. Śmiertelna pułapka.

- Paskudztwo. - Skrzywił się. - Szczególnie gdy leci ten Mill-Race, o którym mi pan opowiadał. Będziemy musieli być cholernie ostrożni, gdy pływ się odwróci; to dobrze rozumiałem.

Przeprosił i opuścił nas na chwilę. Oczywiście był na mostku sternik oraz aspirant marynarki, chyba na stałe przyklejony do nocnej lornety. Wyszedłem na zewnątrz i stanąłem przy relingu, wpatrując się w ciemność, myśląc o Simone i tym, co mnie czekało, ale głównie o Simone.

Fitzgerald oparł się o reling obok mnie.

- Wygląda, że mamy całe morze do dyspozycji.

- Całkiem prawdopodobne. Marynarka zawsze odwołuje swe nocne polowania na E-boaty podczas takich operacji jak ta. Myślałem, że pan o tym wie.

To było zupełnie niepotrzebne. Teraz myślę, że on wyłaził ze skóry, by dojść ze mną do jakiegoś porozumienia. Zmienił podejście na bardziej bezpośrednie.

- Nie lubi pan Amerykanów, prawda?

- To dla mnie coś nowego. Oczywiście wam się nie śpieszyło z przyłączeniem do wojny, ale uważam, że to było rozsądne.

- No dobrze - odrzekł, z trudem panując nad sobą. - Mnie pan nie lubi?

- Wniosek nadzwyczaj sensowny.

- Ale dlaczego?

- Bo ma pan niebieskie oczy - powiedziałem. - Nigdy nie znosiłem niebieskich oczu. - Ale teraz drażniłem się z nim i nagle mnie to zmęczyło. - Do czego to potrzebne, abym pana lubił?

Przypuszczam, że uważał to za oczywiste u siebie w kraju, w owym złotym świecie bogatego chłopca z Nowej Anglii. Podkopywałem mu fundamenty, strukturę, na której zbudował swe życie; bo należał, jak to miałem później odkryć, do ludzi tego typu, którzy wierzą w pozory rzeczy, a nigdy w ich istotę.

Odwrócił się, by odejść, ale schwyciłem go za ramię.

- Na litość boską, czemu pan się od czasu do czasu nie próbuje roześmiać? Zapaliłbym

amerykańskiego papierosa, jeśli ma pan przy sobie.

Miał i poczęstował mnie. Zapaliłem go pod osłoną płaszcza i trzymałem w złożonych dłoniach, by ukryć żarzący się koniec.

- Ujmijmy to w taki sposób, majorze. Nikogo specjalnie nie lubię. Spędziłem po tamtej stronie pięć i pół roku, żyjąc na własną rękę, tocząc taki rodzaj wojny, jakim raczej nie zdobywałem sobie miłości bliźnich.

- Ma pan na myśli hitlerowców?

- Mam na myśli wszystkich. Pozwoli pan, że coś opowiem o wojnie. O tej jej stronie, której uwielbia pan nienawidzić, a która następnym razem przytrafi się pańskiej drużynie. Współpracowałem we francuskim podziemiu z trzema różnymi i niezależnymi organizacjami, które tyleż czasu poświęcały wzajemnemu wyniszczaniu się, co walce z Niemcami. To gra, tym właśnie jest wojna. Niebezpieczną, podniecającą grą, w którą większość mężczyzn uwielbia się bawić.

- Jeśli to gra, to jest to gra dla bohaterów - powiedział. - Nie mogę jej zaakceptować w żaden inny sposób.

- To brzmi jak marna kwestia dialogu z filmu, wytwórni Twentieth Century Fox, w którym żołnierze piechoty morskiej zajmują się umieraniem za Demokrację, powiewając odpiętym rzemykiem hełmu.

Gdy się odezwał, wyglądał na autentycznie zdumionego.

- Nic z tego nie rozumiem. Profesor wszystko mi o panu opowiedział. O tym, czego pan tam dokonał.

Powiedział, że jest pan najlepszy ze wszystkich.

- Najlepszy z jakich? - zapytałem. - Reszta jest albo w obozach koncentracyjnych, albo martwa. Głównie mar twa.

- Ale pan nie, o to mi właśnie idzie. Był pan tam dłużej od nich i więcej przeżył.

- I sądzi pan, że jest to dowód wartości? - Zaśmiałem się. - Opowiem panu, w jaki sposób przeżyłem. Nauczywszy się refleksu, skutecznego i oszczędnego zabijania bez cienia wahania. Trzymanie się tej zasady ocaliło mnie w wielu sytuacjach.

- To mi się wydaje w porządku.

78ij - Poza tym - dodałem - dwukrotnie przez omyłkę zabiłem ludzi, którzy byli po naszej stronie. - Patrzył na mnie przez ciemność, słabe światło ze sterówki matowo odbijało się w jego oczach. - Nie mogłem sobie pozwolić na ryzyko, rozumie pan?

MGB podskoczył na długiej fali, zmoczyła nas piana, a Fitzgerald powiedział sztywno:

- Przypuszczam, że robił pan to, co musiał.

- Ma pan cholerną rację, tak było. Bez trąbek, bez sztandarów wspaniale powiewających w bitewnym dymie. - Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. - Przepraszam, mam złą skłonność do używania tego rodzaju wyrażen. Kiedyś zależało mi na tym, aby być poetą.

Wydawało się, że mnie nie usłyszał.

- Profesor powiedział mi, że przyjął pan bitwę przeciw trzem tysiącom ludzi oddziału szturmowego Waffen SS w Wogezach, mając tylko paruset partyzantów, i po wstrzymał ich przez osiem dni.

- To prawda - przyznałem. - Czy pamiętał, by powiedzieć panu, że w górach mieliśmy także ze sobą kobiety?

Na koniec tej zabawy przycupnąłem w jamie w ziemi i trzymałem usta zamknięte, podczas gdy jedenastu esesmanów trzymało jedną z nich i kolejno gwałciło. Gdy odeszli, jeszcze żyła.

- I co pan zrobił?

- Zastrzeliłem ją, majorze Fitzgerald. Zrobiłem to, co bym zrobił z każdym nierozumnym zwierzęciem w męczarniach, zniszczonym bez żadnej nadziei na wyzdrowienie.

Odwrócił się i odszedł, potykając się, co nie było zaskakujące. Dla niego wojna była rycerską przygodą. Rajdy na małą skalę przez Kanał, nocne akcje. Czasami walka wręcz, strzał w ciemnościach, terkot thompsona. Jak odkryłem znacznie później, na jego korzyść należało zapisać, że on i jego ludzie przenikali w swych kanoe pod osłoną ciemności do portów, pozostających w rękach nieprzyjaciela, zakładali tam miny podwodne i wycofywali się, nie zwracając niczyjej uwagi.

Wkład Fitzgeralda w lądowanie w Normandii był kluczowy, skrajnie niebezpieczny, lecz dokonany bez wielkiej ostentacji. Na trzy doby przed dniem „D” jego oddział oczyścił z min plażę „Omaha”. Prawdę powiedziawszy, Fitzgerald nigdy nie brał udziału w walce na wielką skalę, nigdy nie widział kraju zniszczonego przez armie toczące tam bitwy, nigdy nie widział kobiet i dzieci narażonych na niebezpieczeństwo. A przecież był odważnym człowiekiem. Odważnym, ale, jak wówczas orzekłem, nieco głupawym. Wycofałem się do sterówki, pojawił się Dobson.

- Teraz włączamy tłumiki, sir.

Oznaczało to, że jesteśmy, w przybliżeniu, trzydzieści mil od celu, bo taka była standardowa procedura w tego rodzaju sytuacjach. W odległości piętnastu mil główne silniki zostaną całkowicie wyłączone, my zaś w ciszy będziemy się posuwać na pomocniczych. O pół mili od brzegu przesiądę się na łódkę, którą przewiozą mnie podczas przyboju.

Dobson popatrzył na zegarek.

- Odprawa końcowa za chwilę, sir. Uzgodniłem z ma jorem Fitzgeraldem, że odbędzie się w mesie. Czy możemy zejść?

- Operacja Grande Pierre dzieli się na dwie wyraźne części - powiedziałem. - Zadanie numer jeden należy do mnie: wyładować i uzyskać wszelkie informacje, jakie zdołam. Zadanie numer dwa jest wasze. Przeniknąć do portu w Charlottestown i zaminować wszelkie jednostki pływające, które tam napotkacie.

Słoczyli się przy stole, nad mapą. Twarze mieli, podobnie jak Fitzgerald, poczernione smarem kamuflażowym; nie było więc możliwości odkrycia ani odrobiny z tego, co się działo w ich głowach. A zresztą to nie miało znaczenia. Tego rodzaju odprawy prowadziłem w ubiegłym pięcioleciu tak często, że ich skutków nie brałem pod uwagę w mych rachunkach. Fakt, że niektórzy z tych ludzi, albo nawet wszyscy, mogli nie żyć, nim nastanie ranek, był tylko kolejnym, twardym faktem wojennym.

Dokładnie wiedzieli, jakie są zamiary, znali całą operację do najdrobniejszego szczegółu. Był to dostateczny powód, by raz jeszcze przypomnieć im wszystko. I to właśnie robiłem.

Gdy uporałem się z detalami technicznymi, dodałem jeszcze parę uwag, żeby wyrównać rachunek.

- Trzy punkty na zakończenie, abyśmy wszyscy dokładnie wiedzieli, na czym stoimy. Po pierwsze i przede wszystkim: moje zadanie jest ważniejsze niż wasze i musi - powtarzam! - musi w każdym momencie mieć pierwszeństwo.

Na te słowa oczy Granta zabłysły złowrogo, a ja kontynuowałem:

- Po drugie poza wszelką kwestią są jakiegokolwiek próby niszczenia instalacji nadbrzeżnych oraz wszelkie działania, które mogłyby poinformować nieprzyjaciela o waszej obecności.

Fitzgerald był całkowicie usprawiedliwiony, poirytowany sposobem, w jaki to podałem. Ale jego złość zdradziło tylko wyraźne napięcie mięśni twarzy.

- I na koniec - powiedziałem - jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, jeśli plany będą musiały ulec zmianie, ja jestem dowódcą.

To sprowokowało pewne poruszenie, ale Fitzgerald szybko wkroczył, by stłumić je w zarodku.

- W porządku, teraz z powrotem na pokład do końcowej kontroli wyposażenia. - Odwrócił się do mnie i spokojnie powiedział: - Pułkowniku, czy chce pan odbyć inspekcję? Skinąłem głową.

- Przyjdę za dziesięć minut.

Zasalutował i oddalił się. Wyszczrzyłem zęby do Dobsona, który stał z lekko zmarszczonymi brwiami.

- Głębokie wody, hej, Dobson? Nie przejmuj się. Byłbym wdzięczny za bardzo dużą whisky, a potem rzucę sobie okiem na tych chłopców.

Dziwna rzecz, a jednak potrafiłem mówić tak, jak przystało na pułkownika, gdy miałem na to ochotę.

Wszystko odbyło się bardzo regulaminowo. Stali na baczność przy swych kanoe, obciążeni sprzętem, dokładnie tak, jak będą wyruszać o godzinie zero. Twardzi, wytrwali, kompetentni wojownicy. Popatrzawszy teraz na nich, musiałem przyznać, że trudno wymagać więcej.

Każdy miał na sobie nieprzemakalną kamuflażową kurtkę i takie same spodnie, czapkę komandoską z dzianiny, i trzymał pistolet maszynowy Thompson, miał granaty, nóż komandoski i jeszcze inny, różnorodny sprzęt, włącznie z zestawem naprawczym na wypadek uszkodzenia kanoe, co dowodziło, że w wydziale zajmującym się działaniami ziemno-wodnymi ktoś odznaczał się makabrycznym poczuciem humoru. Podwodne miny dywersyjne nosili w starannie poprzegradzanych płóciennych workach, po jednym na kanoe.

- Cieszę się, że oni są po mojej stronie, majorze - powiedziałem do Fitzgeralda.

Zrobiło mu to przyjemność, której starał się nie okazać.

- Dziękuję, sir.

- Czy znane im są postanowienia KommandobefehP.

- Doskonale.

- W porządku. - Zwróciłem się do ludzi. - A więc zdajecie sobie sprawę z szans na kulkę w potylicę, jeśli położą na was rękę.

Wyszedłem, poprzedzając Dobsona.

- Paczka twardzieli - oświadczył. - Przed dniem „D” przewoziłem grupę rangersów, którzy mieli oczyszczać podejścia do plaż. W życiu nie widziałem nikogo o tak cholernie mocnych nerwach.

- Tacy ludzie mają tylko jedną wadę - zauważyłem, gdy wchodziliśmy na górny pokład. - Nigdy nie wiedzą, kiedy należy zrezygnować, co oznacza, że zwykle posuwają się za daleko. To niekiedy może okazać się katastrofalne.

Dziwne, że musiałem to powiedzieć. Dzięki jakiejś dziwacznej prekognicji, jak przypuszczam. Coś z rzeczy, o których naukowcy twierdzą, że są niemożliwe. A jednak w głębi serca byłem przekonany, że coś pójdzie nie tak. Znowu Celt w mojej skórze. Stojąc na mostku i wpatrując się w ciemność, wiedziałem o tym z taką pewnością, jak by się już wydarzyło.

W chwilę później dołączyli do mnie Dobson i Fitzgerald.

- Herbaty, sir? - Dobson podał mi emaliowany kubek. - Dobrze przyprawiona tym co zwykle.

Boże, błogosław marynarkę. Rum wybuchnął we mnie ciepłą, cudowną łuną. Deszcz padał teraz gęściej, a Dobson odetchnął głęboko.

- To lubię. To właśnie wszystko, czego trzeba.

- Co pan robił przed wojną?

- Pracowałem w biurze księgowości.

Poczułem do niego nagłą sympatię.

- Wróci pan?

- Cholerę w bok! - oświadczył z naciskiem. - Zaciągnę się pod banderę panamską jako zwykły marynarz. - Za śmiał się lekko. - Zresztą jeszcze nie przeżyłem wojny, Prawda, sir?

- Nie wydaje się, aby w tej fazie były co do tego większe wątpliwości - powiedział Fitzgerald.

- Zwykle mężczyźni umierają na wojnie, gdy nic na to nie mogą poradzić i zostają pokonani przez niekorzystną sytuację - zacytowałem. Fitzgerald odwrócił się, by na mnie popatrzeć. Jego twarz była tylko plamą w ciemności.

Dodałem dla wyjaśnienia: - Sztuka wojny chińskiego żołnierza nazwiskiem Wu Ch'i, majorze. Polecam ją panu. Powiedział na ten temat wszystko, co tylko można powiedzieć, już w roku czterechsetnym przed naszą erą.

- Przykro mi, ale nie mogę się z tym zgodzić - odrzekł uprzejmie. - Żołnierz nie ginie wyłącznie z powodu okoliczności, lecz także z własnej niezdolności do stawienia czoła danej sytuacji.

Takie zdanie być może dobrze wyglądało na szkolnej tablicy w akademii West Point, czy gdziekolwiek tam odbył swe szkolenie oficerskie. Mogłem mu jeszcze coś zacytować z Wu Ch'i, ale nie miałyby to sensu.

Gdy zastopowaliśmy, z samej wyspy nic nie było widać, tak zresztą być miało. Kiedy spuszczone na wodę łódkę przybrzeżną, dzięki ostatniemu kubkowi herbaty i przygotowanej przez Dobsona hojnej dolewce marynarskiego rumu czułem się zaskakująco wesoło.

Odwozili mnie: aspirant zwany Varley oraz stary, twardy marynarz nazwiskiem Dawson. Przeszli przez burtę i czekali. Dobson spojrział na zegarek.

- Zgadza się, sir, startuje pan i najlepsze z brytyjskich...

Uścisnął mi dłoń, zsalutował regulaminowo, z ciemności zaś wynurzył się Fitzgerald.

- Powodzenia, pułkowniku.

Powiedział to dość sztywno, ale uścisk jego dłoni był mocny. Ja natomiast nie czułem się bynajmniej uszczęśliwiony. Coś się fatalnie nie zgadzało i było to związane z tym właśnie człowiekiem, a mówiąc uczciwiej: z nami oboma. Nasze stosunki od początku okazały się złe. On zaczął w niewłaściwy sposób, ja zareagowałem odpowiednio, no i tak to się stało. Ale teraz już nic nie można było na to poradzić, więc przeszedłem nad burtą i opuściłem się do łodzi.

Nocne lądowanie na nieprzyjacielskim brzegu zawsze jest problemem. Wygodne plaże zwykle bywają zaminowane. Inne zaś, z bardziej oczywistych powodów, są zazwyczaj niebezpieczne. Łódki do lądowania tak skonstruowano, aby zminimalizować ryzyko, a w rękach wyszkolonej załogi były w większości sytuacji godne zaufania. Ponadto malowano je specjalną farbą, która zapewniała im prawie całkowitą niewykrywalność, nawet z bardzo bliskiej odległości.

Nim dostrzegłem wyspę, usłyszałem w ciemnościach przybój, fale bijące o klify. A potem, jakby podniosła się zasłona, ujrzałem fosforescencję i świecące w ciemnościach chmury białej piany.

Ponownie popatrzyłem na kompas i popukałem Varleya w ramię.

- Prosto przed siebie, a potem zobaczymy, co jeszcze pamiętam.

Teraz chwycił nas prąd; fale klaskały o kadłub łodzi, a z pobielającej wody wystawały poszarpane skały. Prześliznęliśmy się między nimi jak widmo i zaczęliśmy dryfować nie dalej niż o parę jardów od czoła klifu.

Odtąd musiałem działać na nosa. Było to dawno temu, cholernie dawno, a przecież są rzeczy, których nigdy się nie zapomina, rzeczy, które stają się częścią człowieka tak mu bliską, jak samo życie.

Usłyszałem dziwne, głuchoe pojękiwanie; charakterystyczny głos jamy leżącej u podnóża Diabelskich Schodów.' Znów postukałem Varleya w ramię, wskazując mu kierunek.

Było dość miejsca na to, abyśmy wpłynęli do jamy, ale tylko schylając głowy. Varley i Dawson unieruchomili łódkę, ja zaś zapaliłem latarkę i wstałem z miejsca. Słona woda, morskie wodorosty i szlam - powietrze było przesycone ich zapachem i odorem starych ptasich odchodów. Półka skalna, której szukałem, znajdowała się o parę stóp nad moją głową. Varley potrzywał mi latarkę i podciągnąłem się do góry.

Wręczył mi latarkę i jednoosobowy, nadmuchiwany ponton, ściśle upakowany. Miało to być coś w rodzaju zabezpieczenia na wypadek, gdyby z łódką do lądowania coś poszło nie tak.

Uśmiechnął się.

- Najlepsze życzenia, sir. Będziemy dokładnie o czasie, to pewne jak śmierć.

Cichy chrobot, pluśnięcie wiosłami i już ich nie było. Zostałem sam jeden, a przecież nie czułem się sam. Po pięciu długich latach znów w domu.

Na niebezpiecznym gruncie

Wysoko ponad linią wody znalazłem stosowną szczelinę, wepchnąłem do środka ponton, a następnie zastanowiłem się nad sytuacją. Nade mną poszarpany komin całkowicie niknął w ciemności, pochylając się w prawo. O jakieś pięćdziesiąt stóp nad moją głową zmieniał kierunek, skłaniając się ostro na lewo. I tak było dalej, zygzakami, trzysta stóp w górę aż do wyjścia przez otwór w skale, tuż pod szczytem klifu.

Po raz pierwszy wspiąłem się tędy jako czternastoletni chłopak, było to częścią wyspiarskiego rytuału, który sprawdzał, czy miało się charakter, czy nie. Pamiętne doświadczenie. Podążałem tą samą drogą jeszcze dwukrotnie. Raz, by zrobić wrażenie na Simone - dostateczna przyczyna jakże wielu rzeczy zdarzających się w owe dni - i wreszcie, po raz ostatni, aby samemu sobie coś udowodnić.

W tej chwili różnica polegała na tym, że przez znaczną część czasu będę musiał wspinać się w ciemności, ale innej możliwości nie było. Poświeciłem latarką w górę, próbując zapamiętać, co mam przed sobą, a potem wsadziłem ją do kieszeni i rozpocząłem wspinaczkę.

Szczerze mówiąc, wędrówka jakby mnie rozczarowała. W kominie było mnóstwo uchwytów dla rąk i oparc dla nóg; może też wszechobecna ciemność, niepozwalająca mi ujrzeć, co mam pod sobą, raczej pomagała, niż przeszkadzała.

Przez dziesięć, może piętnaście minut wspinałem się bezustannie, bez odpoczynków, aż głuchy łoskot morza ucichnął. Teraz już nic mi nie towarzyszyło. Większa część drogi zdawała się tak łatwa, że prawie nie mogłem w to uwierzyć, wspominając owego chłopca z sercem w gardle. Przypuszczam, że istniały dwa możliwe wytłumaczenia. Albo nie było to tak całkiem trudne, jak zapamiętałem, albo teraz byłem w takich sprawach cholernie sprawniejszy niż wówczas.

Ostatnie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stóp okazało się znacznie gorsze, bo komin stawał się pionowy i w niektórych miejscach, aby się posuwać, można było tylko zapierać się o ściany, i to jedną stopą.

Znów poczułem zapach zimnego powietrza, deszcz przedostawał się tutaj w postaci drobniutkiej mżawki, a kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem wśród ciemności jaśniejszy skrawek i błyszczącą na nim gwiazdę. Zatrzymałem się, by zaczerpnąć tchu, a potem ostatnie piętnaście czy dwadzieścia stóp przepełzłem bez zatrzymania. W chwilę później moje dłonie natrafiły na otwór wyjściowy, podciągnąłem się i już byłem na zewnątrz.

Przycupnąłem na wąskiej półeczce i kilka razy zaczerpnąłem dobrego, chłodnego powietrza. Wydawało mi się, jakby tam w ciemnościach otaczała mnie ogromna przestrzeń, pustka, w którą można by wpaść głową do przodu i lecieć przez wieczność. Trzysta stóp pode mną przybój był tylko smugą bieli, a w górze gwiazdy błyszczały w prześwitach pokrywy chmur.

Teraz, gdy znalazłem się na niebezpiecznym gruncie, gdzie wszystko mogło się przydarzyć, wyciągnąłem mauzera z kieszeni i zaczepiłem o zatrzask z tyłu na pasku, a potem po łagodnym skłonie szczeliny w skale zacząłem wspinać się na szczyt klifu. Zatrzymałem się na skraju, wbijając dłonie w mokrą murawę; jej zapach wypełnił mi nozdrza, sprawiając dziwną, nostalgiczną przyjemność. Bo przecież nic nie przywołuje wspomnień tak skutecznie, jak zapachy.

Wstałem, usiłując przeniknąć ciemności, zrobiłem pierwszy krok do przodu i przewróciłem się na całą długość swego ciała, potknąwszy się o drut kolczasty, a po obu moich stronach zaczęły warczeć sygnalizatory alarmu.

Pierwszą świadomą reakcją była myśl, że Joe St Martin mnie zdradził. Albo tak było, albo system obronny drutów kolczastych założono tu później niż trzy tygodnie temu, co jednak nie wydało mi się prawdopodobne. Gdy przypominałem sobie jego słowa pożegnalne, stało się dla mnie bardzo oczywiste, że z premedytacją posłał mnie na śmierć.

Mój ciężki dwurzędowy płaszcz marynarski uchronił mnie przed poszarpaniem przez druty, ale w tej chwili byłem absolutnie unieruchomiony. Gdy się zacząłem po troszku uwalniać z więzów, trzasnęły otwierane drzwi, na chwilę błysnęło światło, a potem znów się zamknęły.

Rozległy się głosy, mówiące po niemiecku. Tego mi tylko brakowało.

- Kto idzie? Stój i przedstaw się.

Uwolniłem się z drutu, chyłkiem cofnąłem w stronę klifu, przy akompaniamencie nowego grzechotu sygnalizatorów, ale było już za późno. Promień latarki wyłuskał mnie z ciemności, ja zaś podniosłem ręce do góry jak najszybciej, aby za światłem nie nadleciała seria z pistoletu maszynowego.

- Nie, na litość boską, nie strzelajcie! Jestem tylko rybakiem! Zwykłym rybakiem i to wszystko!

Udało mi się nadać głosowi należyty odcień przerażenia, co nie było aż tak trudne. Przemawiałem po francusku z mocnym akcentem bretońskim.

Światło latarki nie opuszczało ani na moment mojej twarzy, ale odpowiedziano mi słowami, a nie pociskami. W łamanej francuszczyźnie zażądano, abym się wytłumaczył. Powiedziałem, że jestem rybakiem z Prente du Chateaux na wybrzeżu Bretanii. W mojej łodzi zepsuł się silnik, przez sześć godzin dryfowałem bezskutecznie i w końcu rozbiłem się na skałach u stóp klifów.

Musiało to wyglądać bardzo przekonywająco, a ja z pewnością byłem odpowiednio ubrany do takiej roli. Przedyskutowali między sobą po niemiecku powstałą sytuację, a sądząc z rozmowy, byli to zwykli żołnierze na warcie. Najbardziej zaintrygowało ich to, że jakimś sposobem udało mi się wspiąć po klifie, co przecież musiałem zrobić, jeśli się znalazłem po tamtej stronie drutów, czyż nie tak?

Zacząłem opuszczać ręce, ale przypomniano mi ostro, bym je trzymał w górze. Światło latarki ani na moment nie opuszczało mej twarzy, ja zaś usłyszałem metaliczny chrzęst odsuwanej do tyłu

odcinka zapory, ciężkie przekleństwo albo i dwa, wypowiedziane w dobrej, saskiej niemczyźnie przez kogoś, kto się ukłął. W chwilę później był przy mnie.

Mogłem go załatwić tu i teraz na wszelkie sposoby, ale w takim razie zostawał jeszcze człowiek po drugiej stronie drutów. Wobec tego cierpliwie poddałem się niezdarnej i niefachowej rewizji.

Niemiec nie znalazł nic, bo mój nóż ukryty był w prawej dłoni, którą wraz z lewą posłusznie unosiłem nad głową, a nawet ekspert mógł nie zauważyć mego mauzera, zawieszzonego w krzyżach na plecach. Zresztą rewidujący nie spodziewał się znaleźć niczego, to znaczy niczego istotnego. Wyciągnął latarkę, nacisnął guzik i wskazał mi gestem przejście przez zaporę. Ruszyłem posłusznie. Idąc, nie widziałem dokładnie czekającego tam jego towarzysza. Byłem jeszcze częściowo oślepiony światłem latarki, ale odniosłem wrażenie, że to tamten był dowódcą.

- Nie, Karl, później postawisz drut na miejsce. Najpierw obejrzymy go sobie w środku.

Przeszliśmy nie więcej niż dziesięć jardów i zesliśmy po stopniach do betonowego posterunku obserwacyjnego, takiego jakich tysiące można było znaleźć wzdłuż wybrzeża atlantyckiego. To było rozstrzygające. St Martin musiał wiedzieć. Nie mógł nie wiedzieć. Oczywiście było, że ten budynek wzniesiono kilka lat temu.

- Otwórz drzwi! - usłyszałem wypowiedziany łamaną francuszczyzną rozkaz.

Zrobiłem, co mi polecono, i po trzech stopniach zszedłem do oświetlonego wnętrza bunkra. Nie było tam nikogo więcej, nie mogło zresztą być, bo bunkier nie miał innych drzwi. Odwróciłem się twarzą do moich prześladowców.

Stojący bliżej był w średnim wieku, szpakowaty i nosił okulary w stalowej oprawce. Sądząc z munduru - artylerzysta. Ten z tyłu wyglądał na człowieka całkiem innego kalibru: miał twarde, pełne goryczy oczy i na policzku starą bliznę po pocisku. Powiesił pistolet maszynowy na kołku przy drzwiach i wyciągnął papierosa, przyglądając mi się ciekawie.

Człowiek w okularach w jednej ręce trzymał moją latarkę, w drugiej karabin. Szturchnął mnie lufą i wyszczerzył zęby.

- Ręce wysoko. No, dalej, podnieś je wyżej!

Znaczna część kursu dla agentów SOE [18] i podobnych organizacji poświęcona była bezgłósnemu zabijaniu; główny instruktor był przerażająco sprawny w tej profesji. Po ukończeniu szkolenia, najmniejszy nawet lęk, jaki kiedykolwiek mogłem odczuwać przed walką wręcz - co zazwyczaj było tylko strachem przed pobiciem czy zranieniem - opuścił mnie tak ostatecznie, że nigdy już nie doznawałem ani cienia obawy przed bezpośrednim starciem mimo mego mniejszego niż średni wzrostu. Prawdę powiedziawszy, po ukończeniu kursu największy lęk odczuwało się przed możliwością wplątania się w bójkę, w której odruchowo można było zabić przeciwnika.

Z tego powodu wychodziłem z wielu barów w Londynie, gdy sytuacja robiła się paskudna,

niejeden raz wysłuchiwałem pijackie obelgi w londyńskiej kolejce podziemnej; chociaż, dziwna rzecz, poczucie dysponowania pełnią siły i zaufaniem do siebie sprawiało, że wycofywanie się było raczej łatwą decyzją.

Tak czy inaczej w moim umyśle ani na chwilę nie nasunęła się wątpliwość, czy zabiję tej nocy obu wartowników na szczycie klifu. Musiałem ich zabić.

Człowiek w okularach uśmiechnął się i znowu mnie szturchnął. Zacząłem podnosić ręce, nacisnąłem sprężynę mego noża do oprawiania zwierzyny, co było starym, komandoskim trikiem, i wbilem mu ostrze pod brodę, przebijając podniebienie aż do mózgu i zabijając na miejscu. Zatoczył się na bok, wrywając mi nóż z ręki, a drugi żołnierz z przekleństwem sięgnął po pistolet maszynowy. Już miałem w lewej dłoni mauzera z cebulastym esesmańskim tłumikiem i przestrzeliłem mu serce.

W jakieś dziesięć sekund później zadzwonił telefon polowy. Zostawienie go bez odpowiedzi mogło mieć fatalne skutki, a w każdym razie tak to wówczas oceniłem. Ale ja przebywałem już w innym świecie. Moim osobistym świecie, w którym działanie następuje w ułamek sekundy po decyzji, myślenie wydaje się jaśniejsze, a zmysły ostrzejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Podniosłem słuchawkę, przysłoniłem lekko mikrofon dłonią i po niemiecku odezwałem się:

- Halo.

Po kiepsko działającej linii dobiegł słaby, skrzypiący głos:

- Muller, to ty? Tu Weber. Wszystko w porządku?

- Wszystko w najlepszym - odpowiedziałem.

- Dobrze. Zobaczymy się rano.

Odłożyłem słuchawkę i wziąłem się do roboty. Wyciągnąłem mój nóż, otarłem go i schowałem wraz z latarką, następnie przyjrzałem się ciałom leżącym na podłodze. Żadne z nich mocno nie krwawiło. Wziąłem najpierw tego w okularach ze stalową oprawką, zarzuciłem sobie na ramiona, wyszedłem na zewnątrz i cisnąłem go z klifu. Następnie wróciłem po jego kolegę.

Postawiłem druty na miejsce, maskując przebytą drogę, zawróciłem do bunkra i obejrzałem podłogę. Było tam niewiele krwi. Z ubikacji przyniosłem mokrą ścierkę i wytarłem. Z rozmowy telefonicznej można było wnosić, że istniała ogromna szansa na to, iż posterunek nie będzie sprawdzany aż do rana, ale w tym życiu niczego nie należy być pewnym. Jeśli ktoś nieoczekiwanie zadzwoni, może pomyśleć, że wartownicy wyszli na patrol. Ale gdyby zauważono krew, cała wyspa zawrzałaaby w ciągu kwadransa.

W przedsionku znajdował się rower, który nasunął mi pewien pomysł. Najważniejszą sprawą był czas, a na dłuższą metę każda zaoszczędzona minuta mogła się liczyć. Płaszcze wojskowe wartowników wisiały za drzwiami.

Wziąłem jeden, moją czapkę bosmańską wetknąłem do kieszeni i przymierzyłem stalowy hełm, który leżał na stole. Był dla mnie o kilka numerów za duży, i tym lepiej. Wyszedłem z bunkra, chwyciłem rower i popedałowałem wzdłuż ścieżki.

Mój umysł pracował teraz szybciej niż kiedykolwiek, rozważając, co robić. Ścieżka, którą jechałem, miała mnie zaprowadzić, o ćwierć mili dalej, do drogi ziemnej, zbudowanej niegdyś w epoce wiktoriańskiej, aby zaopatrywać Fort Marie Louise. Droga zaś wiodła do Charlottestown oraz Granville, a Seigneurie znajdowała się w okolicy Granville. Rozumowałem logicznie, że niemiecki żołnierz na rowerze dostanie się tam diabelnie szybciej od Owena Morgana pieszo, brnącego na przełaj przez pola, które mogły kryć więcej niespodzianek, niż wskazał Joe St Martin.

W kilka chwil później poczułem zmianę nawierzchni, a gdy włączyłem osłoniętą od góry lampę roweru, odkryłem przyczynę. Została pokryta smołowanym tłucznem. Rzeczywiście, jak później stwierdzono, Niemcy w okresie budowy swych głównych umocnień utwardzili większość starych dróg gruntowych i ścieżek na wyspie, aby usprawnić komunikację.

Z pewnością ułatwiało mi to wiele, więc wsiałem na rower i pojechałem.

Do Seigneurie było nieco ponad milę. Przez większość tej drogi nie napotkałem żywej duszy. Zbliżając się do pasa startowego i przygotowując do skrętu w lewo na szlak do Granville, ujrzałem zbliżające się przyciemnione światła. Było za późno, by zniknąć, zwolniłem więc, opuściwszy nisko głowę, i ustąpiłem z drogi. Koło mnie ciężarówka skręciła w stronę Granville. Miałem wrażenie, że kierowca pomachał mi ręką, a potem znikł wśród nocy.

Zjeżdżałem z pagórka, czując pustkę w żołądku. Paręset jardów, tyle tylko zostało, paręset jardów do Simone. Co ona mi powie? Jak zareaguje? Czy mnie w ogóle rozpozna? Nie, to było całkiem nieprawdopodobne.

Skręciłem za róg i w dolince ujrzałem Seigneurie w otoczeniu buków; paliły się też światła na dziedzińcu, oczywiście przytłumione, ale dające dość iluminacji, bym dostrzegł, że coś tu było bardzo nie w porządku. Stały tam przynajmniej trzy samochody terenowe i limuzyna, a na końcu schodów, wiodących do wejścia z portykiem, stał wartownik, nad nim zaś zwisała z masztu flaga hitlerowska.

Znowu Joe St Martin. Przyjdzie czas na rozrachunek. Z całą pewnością. Przejechałem przed bramą wejściową, którą właśnie wjeżdżała napotkana wcześniej ciężarówka, i pojechałem dalej.

Pode mną w ciemności leżała Granville, wioska licząca niewiele więcej niż dwanaście, może piętnaście domków, skupionych wokół starego stanowiska łodzi ratunkowej. Granville, gdzie wedle Joego St Martina wciąż mieszkał samotnie Ezra Scully. Czy to także było kłamstwem? Zjechałem w ciemności aż do pierwszych domów, zsiadłem i postawiłem rower za żywoplotem.

Wszędzie panowała jakaś niezdrowa cisza. Wioska umarłych. Nic tu nie żyło i tylko z dala ryczało morze.

Posuwałem się ostrożnie. Domek Ezry znajdował się za hangarem łodzi ratunkowej. Nie

sądziłem, by Ezra miał jakikolwiek powód do przeprowadzki, chyba że pod przymusem. A potem zatrzymałem się, ujrawszy smugę światła w jednym z jego okien i usłyszawszy śmiechy.

Przykucnąłem przy oknie koło wejścia do domku i zajrzałem przez szparę w zasłonie. Ezra siedział w koszuli na drugim końcu stołu, w takiej pozycji, że widziałem wprost Przed sobą jego twarz. Mało się zmienił. Ta sama kamienna, zniszczona twarz, ta sama wielka czerwona broda i łysina na ciemieniu, błyszcząca w świetle wiszącej u sufitu gołej żarówki. Elektryczność w Granville? Zapewne kolejna innowacja Niemców.

Był w towarzystwie trzech niemieckich żołnierzy, także siedzących bez kurtek. Na podłodze stała skrzynka piwa, a jeśli znam mego Ezrę, grali w wista. Wstałem i odsunąłem się. Mogłem załatwić wszystkich trzech tam siedzących, ale to nie był stosowny sposób, gdy w środku był Ezra. W chwilę później rozległ się ryk śmiechu, zaszurało krzesło i ktoś otworzył drzwi.

Był to jeden z Niemców. Cofnąłem się w cień i znalazłem pod tylną ścianą hangaru na łódź. Za plecami miałem drzwi. Gdy poruszyłem rygiel, odsunął się za pierwszym dotknięciem. Po cichu wsunąłem się do ciemnego wnętrza i zamknąłem drzwi za sobą. Zatrzasnęły się też drzwi domku, przerywając dźwięk głosów. Odczekałem chwilę i wyjąłem latarkę.

A gdy ją zapaliłem, nie wierzyłem własnym oczom. W ciemnościach przysunąłem się bliżej i pogłaskałem dłonią jej kosz rufowy, a ona do mnie przemówiła każdym swym, tak dobrze znajomym calem. Była czterdziestojednostopową motorową łodzią ratunkową typu Watson. Dwuśrubowa, ważyła piętnaście ton i poruszała się za pomocą dwóch silników benzynowych, każdy o mocy trzydziestu pięciu koni mechanicznych. Wymagała ośmioosobowej załogi, a przy burzliwej pogodzie mogła wziąć na pokład pięćdziesiąt osób.

Na chwilę lata cofnęły się i ujrzałem ogromne, dwudziestostopowe kurtyny zielonej wody, toczące się, by nas zmiażdżyć; poczułem, że lecę i spadłem do tylnego kokpitu, i dźwigałem się, trzymając się nóg człowieka stojącego przy sterze. Wrzasnął, ale jego głos zagłuszył ryk wiatru. Stał z oczami pałającymi pod żółtą zydwestką, a słona woda spływała mu po brodzie. Ezra Scully, sternik łodzi ratunkowej z St-Pierre, jedno z największych nazwisk w historii ratownictwa morskiego.

Kopnął mnie w żebra, podrywając w ten sposób na nogi. Chwyciłem linkę bezpieczeństwa. Miałem dziewiętnaście lat, przyjechałem do domu na wakacje po moim pierwszym roku na uniwersytecie i nie chciałem się znajdować nigdzie na świecie, jak na tej łodzi, i to dokładnie w tym momencie.

Gdy podniosłem się na nogi, znajdowaliśmy się na grzbiecie potwornie wielkiej fali, a za nią, przez ścianę deszczu, ujrzałem statek towarowy, którego szukaliśmy, przewalający się bezsilnie z boku na bok.

Przesunąłem dłonią po oczach, by otrzeć morską wodę, i znów znalazłem się w milczącej ciemności, sam z czterdziestojednostopową motorową łodzią ratunkową typu Watson, noszącą imię Owen Morgan.

A ziemia się poruszyła

Nie wszyscy członkowie załóg łodzi ratunkowych są rybakami. W Northumberlandii można znaleźć wśród nich górników. W Walii farmerów. Postąpiłbym nieostrożnie, twierdząc, że mój ojciec był jedynym artystą plastykiem, pełniącym służbę drugiego sternika; ale było to przecież prawdopodobne. Poza tym wychował się na morzu i przez wiele lat żył z niego, więc takie rozróżnienie mogło być dla niego ubliżające.

Łódź, która go zabiła, nazywała się Ceciley Jackson i miała trzydzieści pięć stóp długości. Niewielka, jak na łódź ratunkową, ale zbudowano ją tak, by mogła być spuszczana na wodę wprost z plaży, więc musiała być lekka. Główny port na St-Pierre nie nadawał się na stację łodzi ratunkowych, ponieważ bardzo często pływy i wiatry uniemożliwiały wyjście z portu.

Ceciley Jackson należała do łodzi niezatapialnych i w razie wywrotki miała sama stanąć na kilu, nawet z dziurawym dnem, choć tej ostatniej ewentualności nie można było zagwarantować.

Gdy to wydarzyło się wiosną 1932 roku, miałem lat czternaście. Norweski kabotażowiec nadział się u schyłku nocy na Wieżyczki i Ceciley Jackson spuszczone na wodę tuż przed świtem.

Tego ranka kto żyw na wyspie stał na wałach Fortu Edward. Wieżyczki leżały ledwie o pół mili od brzegu, stanowiły największe niebezpieczeństwo dla żeglugi w tej okolicy, a pogoda psuła się z minuty na minutę. Do dziś pamiętam osobliwie rzeczowe sformułowania o wydarzeniu w raporcie Królewskiego Instytutu Łodzi Ratunkowych, bo w tych aktach - bohaterów na pęczki.

...We wczesnych godzinach 2 kwietnia 1932 roku norweski parowiec Viking osiadł na Wieżyczkach trzy mile na północny zachód od portu Charlottestown na St-Pierre wśród Wysp Normandzkich. Radiostacja statku nie działała, a rakiety alarmowe zaobserwowano na brzegu o godz. 5.00. Z powodu burzliwej pogody upłynęła godzina, nim łódź ratunkowa Ceciley Jackson, trzydziestopięciostopowa, niezatapialna, mogła zostać spuszczone na wodę z pomocą wszystkich mężczyzn zdolnych do pracy. Prędkość wiatru odnotowana w tym czasie przez kapitana portu wynosiła dziewięćdziesiąt węzłów, a fale zostały określone przez obserwatorów jako olbrzymie. O godz. 7.30 sternik Ezra Scully wziął...

Sześć stronic maszynopisu bez interlinii. Mógłbym cytować dalej, bo każde słowo miałem wypalone w mózgu, ale można to opowiedzieć prościej. Viking mielony był na śmierć na najniebezpieczniejszej rafie Wysp Normandzkich, w warunkach pogodowych bliskich huraganowi, i tylko cudotwórca mógł mieć nadzieję, że zbliży się do statku dość blisko, by osiemnaście osób na jego pokładzie miało szansę zeskoczyć. W tym miejscu, pełnym krzyżujących się prądów i wirów, nie było możliwości wystrzelenia na pokład liny ratunkowej, gdyż zerwałaby się w ciągu sekund.

Ale Viking miał swego ducha opiekuńczego, Ezrę Scully'ego, który nagle podpłynął łodzią nie dalej niż na stopę, przez pięć decydujących sekund manewrował silnikami tak, by utrzymać się na miejscu jak przykuty, a w tym czasie dwóch ludzi skoczyło, ratując się. Znow powtórzył ten wyczyn, i

jeszcze raz, w pewnym momencie paskudnie wgniatając dziób, gdy pochwycił go prąd skrzyżowany.

I wreszcie pozostał już tylko jeden człowiek - jedna przerażona istota ludzka - kurczowo trzymający się drabinki w połowie jej długości. Przy ostatnim podejściu mój ojciec sięgnął po niego, lecz nieszczęśnik nie chciał się puścić. Ale mój ojciec nie rezygnował, bo takim właśnie był człowiekiem, i gdy Ceciley Jackson została odepchnięta, stoczył się za burtę, wciąż trzymając owego marynarza, i obaj wpadli do morza. Już zaczął się pływ, przerażający Le Coursier, Mill-Race brzegu St-Pierre. Pochwycił łódź ratunkową i rzucił ją na Vikinga, raz, dwa, trzy razy, miażdżąc na śmierć Owena Morgana.

A w drodze powrotnej do Charlottestown nastąpiła kolejna tragedia. Dziób Ceciley Jackson był poważnie uszkodzony i już trzy jej wodoszczelne przedziały nabierały wody. Przedostała się jednak do portu, ale wtedy z rykiem nadbiegła z Kanału straszliwa fala, przewróciła łódź, znów ją wyprostowała i roztrzaskała o granitową ścianę falochronu postawionego przez Admiralicję.

Owego zimnego poranka zginęło jeszcze ośmiu, ale resztę, wraz z Ezrą Scullym, wyciągnięto z kipiących wód oraz przyboju łańcuchem ludzkich rąk, biegnącym poprzez skały.

Tak zginął mój ojciec i moja matka wraz z nim, choć chodziła po ziemi jeszcze przez siedem lat.

Ezra otrzymał po raz drugi złoty medal od Narodowego Instytutu Łodzi Ratunkowych, a ze zbiórki publicznej uzyskano fundusze na zbudowanie hangaru i betonowego slipu u stóp wzgórza w Graiwille, i na nową łódź ratunkową. Miała czterdzieści jeden stóp, była typu Watson i nosiła imię Owen Morgan.

Wspomnienia owego fatalnego poranka były tak intensywne, że na chwilę wyparły wszelkie myśli o mojej obecnej sytuacji. Do rzeczywistości powróciłem, gdy rozległ się trzask rygla.

Tak zagłębiłem się w przeszłości, że nie usłyszałem zbliżających się kroków, a tymczasem drzwi już się otwierały. Na ucieczkę nie było czasu, ale gdy się zamknęły i włączono światło, trzymałem mauzera w pogotowiu w prawej ręce. Ezra gapił się na mnie głupim wzrokiem, półpijany, z kołyszącą się w jednej ręce skrzynką pustych butelek po piwie.

Zauważyłem, że od czasu naszego ostatniego spotkania nabył wprawy w posługiwaniu się niemiecką.

- Kim jesteś? - zapytał. - Co tu robisz?

Zdjąłem stalowy hełm.

- Cześć, wujku Ezro - powiedziałem cicho. W ten sposób zwracałem się do niego jako chłopiec, choć nasze pokrewieństwo było dalekie, był zaledwie kuzynem drugie go stopnia mojej matki.

Ale po śmierci ojca on stał się moim drugim ojcem, kochał mnie prawie tak, jak kochał moją matkę, ona, jak sądzę, była jedyną wielką namiętnością jego życia.

Zniżył głos do szeptu i postawił skrzynkę na podłodze.

- Owen? - zapytał. - Czy to ty, chłopcze?

- Przez całe życie, Ezro.

Podszedł blisko, wyciągnął rękę i łagodnie dotknął mej twarzy, co z jego strony zakrawało na cud.

- Na Boga, chłopcze, co oni ci zrobili?

- To wojna, Ezro, wojna.

Z wolna skinął głową, zakłopotany schwycił mnie na chwilę w objęcia, a potem odepchnął gwałtownie, wpatrując się we mnie mokrymi oczyma.

- Więc o co chodzi? Co to za cholerna gra? Inna od tej, gdy byłeś tu ostatni raz w czterdziestym roku?

- Wiesz o tym?

- Od następnego dnia... Simone mi powiedziała. - Po kręcił głową. - Syn Owena Morgana żołnierzem armii lądowej... co za wstyd. Co ci się nie podobało w marynarce?

- Zbieg okoliczności, Ezro. Kiedyś ci o tym opowiem.

Gdzie jest Simone?

- Teraz mieszka samotnie w domu w La Falaise. Szkopy używają Seigneurie jako szpitala polowego. Kieruje nim na ich polecenie stary Riley.

Ostatni gwóźdź do trumny Joego St Martina. Ale w tej chwili nie miałem czasu, by o nim myśleć.

- Teraz posłuchaj uważnie, Ezro - powiedziałem. - Muszę się śpieszyć. Co wiesz o instalacji „Czarnuch”?

- Więc dlatego tu jesteś? Skąd się o tym dowiedziałeś?

Opowiedziałem mu o St Martinie.

- Szkoda - zauważył, napełniając fajkę ze starego, skórzanego kapciucha. - Miałem nadzieję, że skurwysyn jest już przynętą na śledzie. Tracisz czas, Owienie. Nic tu po tobie. Cały Plan Czarnuch padł na pysk. Brak torped, rozumiesz? Na dodatek większość ich chłopców została zabita. Bretońskie bazy U-bootów są wciąż w niemieckich rękach, dokładnie zablokowane. Statkom zaopatrzeniowym trudno się przedostać.

- Wyglądasz na wyjątkowo dobrze poinformowanego.

- Co noc słuchamy BBC - odrzekł. - Jeden z sierżantów kwaterujących u mnie ma radio. - Zawahał się. - Jeśli o mnie idzie, nie mam z nimi żadnych kłopotów. Dobrzy chłopcy co do jednego. Moi dobrzy przyjaciele. Głównie saperzy.

- W porządku - powiedziałem. - Do chwili póki na siebie nie wpadniemy. - Więc ich nie nienawidzisz?

- Niemców? - Pokręciłem głową. - Napotkałem paru parszywych osobników w ciągu ostatnich pięciu lat, ale nie poświęciłem im zbyt wiele czasu. Francuzów, Niemców, Anglików. Ludzie to zawsze ludzie, dobrzy, źli, obojętni.

Skinął powoli głową.

- A więc się rozumiemy. Bardzo by mi było przykro, Owenie, gdyby któregoś z tych chłopców spotkało z twojej ręki coś złego. - Znów potrząsnął głową. - Nie wiem, przez co przeszedłeś, chłopcze, ale wyglądasz na zdolnego do prawie wszystkiego. Co oni z ciebie zrobili?

- Trudno to wyrazić słowami, Ezro - odparłem. - Jestem teraz pułkownikiem, jeśli to ci się może do czegokolwiek przydać.

Otworzył szeroko oczy.

- Młody, jak na ten stopień, co? Mam tylko dwa możliwe wytłumaczenia. Albo oni są tam w wielkiej potrzebie, co obecnie nie wydaje się prawdopodobne, albo byłeś cholernie dobry w swojej robocie. Co teraz zrobisz?

- Chciałbym się zobaczyć z Simone, jeśli to będzie możliwe, a potem odjeżdżam. Wojna stoi już na ostatnich nogach. - Popukałem w kadłub Owena Morgana. - Do znałem największego szoku w życiu, znalazłszy tu tę ślicznotkę. Nie opowiadaj mi, że jest zdatna do użytku.

Zachichotał.

- Nie wyszła z hangaru od lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, gdy przybyły szkopy, ale jest we wzorowym porządku. Silniki rozkosznie sprawne. Robię przegląd co tydzień. We dnie zobaczyłbyś miejsce, gdzie podczas ataku na slip padła zbłąkana bomba. Od tej pory nigdy jej nie wyprowadzono. Pięć lat temu zjawił się oficer niemieckiej marynarki wojennej z zamiarem zabrania jej, ale zdecydował, że większy byłby z tym kłopot, niż jest warta. Nawet gdyby udało się ją przeciągnąć, to i tak plaża jest zaminowana, więc ją tu zostawili.

- Jeszcze jedno, Ezro - powiedziałem powoli. - Czy znasz Steinera?

- Manfreda Steinera? - Pokiwał głową. - Oczywiście.

Wszyscy znają Manfreda. - Zmarszczył czoło. - Chwileczkę. Jakim ty sposobem...

- Joe St Martin - odrzekłem. - Powiedział mi, że Steiner jest tutaj ważnym człowiekiem od urzędnika „Czarnuch”.

Jaki on jest?

- Nooo... - Ezra ściągnął brwi. - Trudno na to od powiedzieć. Prawdę mówiąc, chłopcze, nie spotkałem jeszcze człowieka do niego podobnego. Jest Brandenburczykiem, a jeśli się nie mylę, to specjalny gatunek człowieka.

Ma wszystkie ordery, o jakich można zamaryć, a maluje niczym anioł. Prawie tak dobry jak twój ojciec. Czy można powiedzieć więcej?

- St Martin miał jakoby wrażenie, że jest on zaprzyjaźniony z Simone.

Wiedział, co chcę przez to powiedzieć, i nie próbował zaprzeczać. Minę miał poważną.

- Powiedziałbym, Owenie, że są przyjaciółmi i więcej niż przyjaciółmi. To była długa wojna, chłopcze, a ona jest młodą kobietą w rozkwicie. Czyżbyś się spodziewał, że zwiędnie na gałęzi?

Miał rację, jak zwykle, a to mnie w jakiś sposób pocieszyło.

- W porządku, Ezro, przyjęto do wiadomości.

Drzwi domku otworzyły się z trzaskiem.

- Ezra? Gdzie się podziewasz? Gdzie to piwo?

- Lepiej już pójde. - Spod starego stołu warsztatowego wyciągnął kolejną skrzynkę. - Nie mogę dopuścić, by tu weszli. Nie ufam ci, Owenie. Zmieniłeś się, chłopcze.

- Jeszcze jedno, Ezro - dodałem pośpiesznie. - Nie wsiadaj rano na nic, co pływa w porcie. To już niedługo.

Poszarzał na twarzy i odezwał się z pewną goryczą:

- Więc tak to jest, Owen? Mam pozwolić moim przyjaciołom, by zginęli, tak?

Zgasił światło i wyszedł, zatraskując drzwi za sobą, pozostawiwszy mnie samego w ciemnościach, świadomego, że niekiedy mam naprawdę dość całej tej parszywej roboty.

Zabrałem rower i powróciłem tą samą drogą, którą przybyłem. Nazwa La Falaise odnosiła się do małej dolinki o ćwierć mili od klifów na południowo-zachodnim krańcu wyspy, niezbyt daleko od miejsca mojego lądowania. Przed wojną wynajął ją emerytowany oficer armii indyjskiej, ale został ewakuowany wraz z tymi wyspiarzami, którzy tego sobie życzyli, tuż przed tym, nim nastąpiła niemiecka okupacja. Spotkałem go zupełnie przypadkowo w parku St-James latem 1943 roku i podążyliśmy do najbliższego baru, by uczcić to jak gdyby rodzinne spotkanie.

Dolinka leżała na południe od miejsca, gdzie droga skręcała do Fortu Marie Louise, i było w niej jedyne zamieszkane miejsce, tuż obok resztek wsi z epoki brązu. Prowadząca tam droga nigdy nie była niczym innym niż koleinami wozów, i tym pozostała.

Willa była znacznie okazańsza, niżby to wynikało z jej nazwy. Wybudowana w epoce georgiańskiej, została rozbudowana w połowie dziewiętnastego wieku, w okresie gdy ludność wyspy była najliczniejsza, a forty w budowie.

Pamiętałem ją głównie z powodu wspaniałego widoku, jaki rozpościerał się z niej przez morze w stronę wybrzeża Bretanii.

Wepchnąłem rower za najbliższy żywopłot, zrzuciłem płaszcz i hełm, ukryłem je w zaroślach i ostrożnie ruszyłem przed siebie.

Dotarłem do wejścia na dziedziniec na tyłach willi i zatrzymałem się. Był tam zaparkowany samochód. Zbliżywszy się, stwierdziłem, że jest to terenowy Volkswagen.

O pięć, może sześć pól dalej zaszczekał głucho pies, sądząc z głosu, owczarek alzacki. Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, a potem poszedłem w stronę frontu willi.

W pierwszym oknie, u dołu zasłony, lekko przesączało się światło, ale nie można było zajrzeć do środka. Minąłem frontowy ganek i spróbowałem zobaczyć coś przez drugie okno. Ujrzenie go tak blisko mnie było swego rodzaju szokiem. Mam na myśli Steinera, bo to musiał być on. Siedział po drugiej stronie pokoju przy sztalugach i malował akwarelami, ulubionym medium mego ojca. Był w koszuli, mundurowych spodniach i butach i mimo głębokiego skupienia miał na ustach lekki, łagodny uśmiezek - sardoniczną minę człowieka, który widział to, co w życiu najgorsze, ale nie chce brać tego na serio.

Miał ciemne, kręjące się włosy, przedwcześnie pobielające na skroniach - jak później odkryłem, jeszcze jedną maleńką pamiątkę z kampanii w Rosji - i mocną, kościstą, pełną charakteru twarz. Żołnierz, uczony - mógł być jednym lub drugim. To, kim jest taki człowiek jak on, zależy od tego, co postanowią okoliczności. Już o tym zadecydowały. Nie widziałem, co malował, nie mogłem zajrzeć na lewo od siebie, gdzie od czasu do czasu zerkał. Przeniosłem się więc do okna po drugiej stronie willi, by spróbować, czy będę miał więcej szczęścia. Szpara w zasłonie była tam najszersza, ciemności przecinała wstęga żółtego światła. Przyklęknąłem na jedno kolano i zajrzałem do środka. Dłonie zacisnęły mi się na listwie okiennej.

W drugim końcu pokoju pozowała Simone de Beaumarchais, owinięta w pasie niebieskim jedwabiem, z lekko arogancką miną, nagimi piersiami i dłonią na biodrze. Wydawało się, jakby patrzyła w moją stronę, ale to przecież było niemożliwe. To na Steinera patrzyła, do Steinera się uśmiechała w taki sposób, że serce mi się ścisnęło. Czy ona kiedykolwiek się uśmiechała tak do mnie? Czy kiedykolwiek...? I nagle poczułem na ustach smak soli, smak soli na jej ciele, słońce grzało mi plecy i ziemia się poruszała.

Wielkim ryzykiem, zawsze grożącym w pobliżu St-Pierre, nawet przy dobrej pogodzie, była pojawiająca się znikąd gęsta, morska mgła, ograniczająca widoczność do kilku jardów, co czyniło

żeglugę na małych łódkach bardzo niebezpieczną. W roku 1935, nazajutrz po dziewiętnastych urodzinach Simone, w pełni lata, wyruszyliśmy na morze w nowej, dziesięciostopowej dinghy żaglowej - prezencie od jej ojca.

Dzień był upalny, niebo bezchmurne, a wyspa wyglądała jak malowana tylna kulisa. Powinienem był zachować się mądrzej, ale ona była jak dziecko, które dostało nową zabawkę, i chciała pożeglować do Wieżyczek. Dla mnie zaś wszystko, co ona robiła, nie mogło nie być słuszne; ani wówczas, ani nigdy.

Trzy mile od brzegu Simone zaplątała się w linkę, wpadła na żagiel i w panice, która potem nastąpiła, przewróciliśmy się. Nie było nadziei, że dinghy da się postawić. Próbowałem, nie udało mi się i wreszcie wepchnąłem Simone na miejsce w poprzek kilu, a sam zawisłem obok niej, będąc dobrej myśli, ale przede wszystkim mając nadzieję, że dinghy nie przestanie płynąć, choć oboje mieliśmy na sobie kamizelki ratunkowe. A wtedy wyspa znikła, w jakieś pół godziny później napłynęła mgła, a dinghy postanowiła pójść na dno niczym kamień.

Do tego momentu udawało nam się udawać, że to jest zabawne, bo w tym upalnym letnim popołudniu woda była całkiem ciepła, przynajmniej chwilowo. Ale zaczął zmieniać się pływ, La Coursier, Mill-Race, marszcząc wodę wokół nas, mknąc jak wezbrana rzeka, dziesięciowęzłowy prąd, niosący nas w swym bezwzględny uścisku.

I właśnie Mill-Race nas ocalił, to było najdziwniejsze - ten prąd i kamizelki ratunkowe. Byliśmy o trzy mile od Charlottestown, blisko Wieżyczek, prąd zaś okrążył północny brzeg i zakręcił, ocierając się o południowo-wschodni skraj St-Pierre, nim podążył dalej ku Bretanii.

Odpiąłem pasek i szepiłem nas. Półtorej godziny unosiliśmy się na wodzie, nieubłaganie niesieni przez kurtynę szarości, aż wreszcie, z nagłym zaskoczeniem, usłyszeliśmy grzmot przyboju, białej wody bijącej o wielkie, czarne skały.

Na lewo ode mnie z tej szarości wyrzwał klif, pobielony ptasimi odchodami. Mewy krzyczały do siebie chrapliwie, nad wodą nadleciał petrel, a za nim jeszcze pół tuzina petreli i wówczas fale cisnęły nas oboje do wielkiego, grzmiącego wiru białej wody i złożyły na spadzistym piasku La Grande Bay.

Pamiętam, że otoczyłem ją ramieniem i potykając się, poszedłem przed siebie. Następna fala uderzyła z łoskotem i wreszcie byliśmy bezpieczni, a ona leżała twarzą w dół, próbując wykaszleć wodę.

Pozbyłem się kamizelki ratunkowej i mokrej koszuli i odwróciłem Simone. Była najwyżej trzecia po południu i słońce grzało przez mgłę jak palenisko, ale ona drżała gwałtownie, bo była w morzu zbyt długo.

Odwiązałem jej kamizelkę ratunkową. Miała na sobie szorty i stary sweter z Guernsey swego ojca, przynajmniej o trzy numery za duży i ciężki od wody. Ściągnąłem jej go przez głowę; kończyny miała bezwładne, poddające się bez cienia oporu.

Najlepiej jak umiałem, ściągnąłem całą resztę tego, co miała na sobie i zacząłem rozcierać jej zimne ciało. Ciągle się trzęsała, a ja po chwili wziąłem ją w ramiona i przytuliłem. Pamiętam, jak całowałem jej czoło, jak jej nagie piersi ugniatały moje, jak powtarzałem jej w kółko, że już wszystko w porządku. Że się skończyło.

To, co dalej nastąpiło, było, jak sądzę, raczej oczywiste i zupełnie naturalne. Pamiętam, jak zaczęła mnie całować, przytrzymując dłonią moją głowę; pamiętam słony smak jej ust, jej skóry, ciepło słońca na moich plecach.

- Kochaj mnie, Owenie, kochaj mnie.

Kochałem ją wówczas, kochałem przez cały czas do tej chwili, kochać będę zawsze. Ciało mego ciała? Nie, więcej. Część mnie samego i jedyne coś, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

Naciągnęła stary szlafrok, Steiner zapinał guziki munduru. Odznaczenia to moje hobby, stanowią część moich osobistych zbiorów. Wiele mówią mi o ludziach. Skąd się wzięli - co jest zawsze interesujące - jakich czynów dokonali lub udawali, iż dokonali.

Niemcy nosili na piersi swe odznaki za odniesione rany, jak gwiazdy orderowe. Steiner miał srebrną, co oznaczało, że był ranny trzy lub cztery razy. Nie zdziwiło mnie to, szczególnie gdy zobaczyłem jego wstążeczkę za kampanię 1941-1942 na froncie wschodnim. Prócz Żelaznego Krzyża II klasy i różnych innych, częstszych drobiazgów, miał Żelazny Krzyż I klasy, którego nie rozdawano na prawo i lewo. On i Fitzgerald mieli dużo wspólnych cech. Na szyi nosił niedbale zawiązany szalik. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, że skrywał Krzyż Rycerski, który, jak później ustaliłem, otrzymał za swe wyczyny w Grupie Dunajskiej.

Podeszli do drzwi, a ja stałem w cieniu i czekałem. Drzwi otwały się, padło światło, usłyszałem wesoły śmiech.

- Jutro, o miłym poranku. Przejedziemy się, dobrze?

Mówił doskonałą angielszczyzną, ale ja czekałem na jej głos. Gdy przemówiła, był zupełnie taki sam, jak dawniej. Dziwne, że pewnych rzeczy nigdy się w życiu nie zapomina.

- Więc jutro, cieszę się z góry.

Zajrzałem za róg, on się pochylił, by ją ucałować. Nie odczułem żadnej emocji. Ani zazdrości, ani gniewu, co nie miało żadnego sensu; ale w ustach mi wyschło i serce dziko zabiło.

Przeszła z nim parę jardów, on zaś pocałował ją jeszcze raz i już samotnie poszedł na dziedziniec za domem, śpiewając dziwną, melancholijną piosenkę marszową, dobrze znaną każdemu, kto służył na froncie rosyjskim owej straszliwej zimy 1942 roku. Co my tu robimy? O co tu w ogóle chodzi?

Alles ist verriickt.

To wszystko jest szaleństwem. Wszystko poszło w diabły.

Wślizgnąłem się do willi za plecami Simone. Drzwi do kuchni stały otworem, wszedłem tam szybko i czekałem. Silnik volkswagena ożył z rykiem, dźwięk zaczął oddalać się wzdłuż drogi, cichnąc wśród nocy. Usłyszałem kroki i trzask zamka. Zaczerpnąłem głęboko powietrza i wszedłem do pokoju.

Stała przy kominku, czesząc włosy, i w lustrze nad nim zobaczyła mnie. A wtedy nastąpiło coś najbardziej zdumiewającego.

- Owen? - powiedziała. - Owen?

Rozpoznała mnie natychmiast pomimo czarnej łaty, blizny na twarzy, pięciu lat, które źle się ze mną obeszły, i tak dalej. Odwróciła się i padła mi prosto w ramiona.

Alles ist verruckt Nakarmiła mnie w kuchni. Jadłem coś w rodzaju chleba, gdyż mąki bardzo brakowało, wędzony domowym sposobem boczek, a do popicia dostałem piwo. Łyknąłem odrobinę i wyszczerzyłem zęby.

- Więc Ezra w wolnych chwilach ciągle je warzy?

- Niewielki mamy wybór. Rozpoznałeś je?

- Raz wypijesz, zawsze pamiętasz.

Siedziała po drugiej stronie wyszorowanego stołu kuchennego. Wyciągnęła rękę, przykrywając dłonią moją prawą dłoń.

- Tak długo, Owenie. Tak bardzo długo.

- Dla mnie także.

Podniosłem jej dłoń do ust, pocałowałem łagodnie, a potem na chwilę przytrzymałem na moim policzku. Miała łzy w oczach.

- Och, Owenie, twoja biedna twarz. Co oni ci zrobili?

- Pierwsze pytanie, jakie zadał Ezra.

- Widziałeś go?

- Przez chwilę. Szukałem cię w Seignurie. - Opowie działałem jej o Joem St Martinie, a gdy

skończyłem, jej twarz była twarda i zła.

- Zawsze był czymś obrzydliwym. Mogę ci o tym wiele opowiedzieć, Owenie. O tym, co robił podczas okupacji.

- Na przykład?

- Donosił na ludzi, którzy złamali przepisy. Na przykład, na początku okupacji Niemcy zażądali, aby oddać wszystkie radia. Wielu je zachowało, by móc słuchać BBC. Ezra miał przez całą wojnę. Ale każdemu z nich groziła bardzo surowa kara. Długoletnie więzienie w którymś z obozów pracy na kontynencie. Przynajmniej pół tuzina wyspiarzy zarobiło tę karę przez Joego St Martina.

- Był informatorem?

Skinęła głową.

- I jeszcze gorzej, choć trudno będzie udowodnić mu coś więcej.

Wstaliśmy i przeszliśmy do bawialni, a Simone włożyła następne polano do ognia. Wyjąłem papierosy i poczęstowałem ją.

Wciągnęła głęboko dym i westchnęła.

- Zupełnie zapomniałam, jak smakują playersy.

- Po drugiej stronie Kanału też są prawie nie do dostania. - Zapaliłem także dla siebie. - Jak źle tu było?

Wzruszyła ramionami.

- Przez większość czasu prawie tak jak zawsze. Ostatni rok nie był zbyt dobry. Brak żywności, i tak dalej. Cały miesiąc nie było tu statku zaopatrzeniowego.

- A jak byłaś traktowana?

- Ogólnie rzecz biorąc, bardzo przyzwoicie. Ale znów w ostatnim roku już nie tak dobrze. Tuż przed śmiercią mego ojca dostaliśmy nowego gubernatora, generała Mullera. Nigdy go nie lubiłam. Był z SS i cały sztab, który przywiózł ze sobą, składał się z esesmanów. Nigdy nie polubiłam żadnego z nich.

- Mimo wszystko ten Muller pozwolił ci zostać, gdy trzy miesiące temu wywieziono prawie wszystkich?

- Ale, Owenie, ja jestem teraz Seigneur. A oni muszą mieć kogoś, by utrzymywać z nim legalne stosunki. Są zaskakująco formalistyczni w takich sprawach. A poza tym, widzisz, jestem użyteczna. Pamiętasz trzy lata, które spędziłam w szkole medycznej? Pomagam Paddy'emu w szpitalu. Oni naprawdę nas potrzebują.

- A więc niezbyt ich nienawidzisz?

- Marynarka Królewska zabiła mego ojca podczas zeszłorocznego bombardowania. Czy mam z tego powodu nienawidzić Brytyjczyków? Ale co z tobą, Owenie? Straciłeś oko. W akcji, jak przypuszczam?

- Coś w tym rodzaju.

- Czy ich nienawidzisz? Czy to dostateczny powód?

- Tej nocy po raz drugi mnie o to zapytano. - Potrząsnąłem głową. - Nie, nie czuję do nich nienawiści.

W tej chwili stanowią drugą stronę w grze, którą prowadzimy. Co oznacza, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by usuwać się wzajemnie, jeśli okoliczności na to pozwalają. Dziś w nocy miałem kłopoty z parą wartowników na klifach nad Diabelskimi Schodami, gdzie wylądowałem.

Zmarszczyła się lekko.

- Co się wydarzyło?

- Próbowali wziąć mnie do niewoli. Jak sądzisz, co się stało?

- Zabiłeś? Zabiłeś ich obu?

Minę miała autentycznie przerażoną. Dopiero później byłem w stanie zrozumieć jej postawę. Dla niej byli to ludzie, których spotykała co dzień, przez całe lata. Całkiem możliwe, że dwaj wartownicy, których zabiłem w bunkrze, byli jej osobistymi znajomymi. W jakiś dziwny sposób ja stałem się intruzem. Ostatecznie pięć lat to długo. Pięć lat, podczas których świat zewnętrzny w znacznym stopniu przestał istnieć.

- To tylko dwa kolejne nazwiska z listy, Simone - odrzekłem. - Ja prowadzę taki rodzaj wojny.

Wpatrzyła się we mnie z pobielającą twarzą, ogromnym napięciem w oczach, i wiedziałem, iż chce powiedzieć, że się zmieniłem. Ten Owen Morgan, którego znała i kochała wiek, może dwa wieki temu, był martwy, padł jako jedna z ofiar wojny. Ale nic takiego nie powiedziała. Zamiast tego zrobiła wielki wysiłek, uśmiechnęła się i wzięła moją szklanę.

- Należę ci jeszcze piwa.

Na ścianach wisiały trzy akwarele mego ojca, te, które ofiarował staremu Seigneurowi w owych latach. Najważniejszy był pejzaż La Grande Bay, widzianej letnim popołudniem ze szczytu klifu.

Sztalugi Steinera były odsunięte na drugi koniec pokoju. Podszedłem do nich. Dziwne, że żadne z nas nie wspomniało o nim nawet aluzyjnie przez ostatnie pół godziny. Ale ja odczuwałem jego

obecność prawie fizycznie, jakby stał między dwojgiem nas.

Obraz był prawie ukończony i tak dobry, że dech mi zapało. Nawet w tym stanie zostałyby wszędzie uznany za skończone dzieło sztuki. To nie była sprawa samej techniki, lecz stylu, pewności pędzla, poczucia formy i piękna.

Koło mnie pojawiła się Simone, trzymając oburącz szklankę piwa, a ja odezwałem się spokojnie:

- Ojciec powiedział mi kiedyś, że każdy głupiec potrafi malować olejno, ale by wykonać akwarelę, potrzeba prawdziwego malarza. Ten człowiek jest tak dobry, jak ojciec za najlepszych czasów.

- Gdyby mógł to usłyszeć, byłaby to z twoich ust najwyższa dla niego pochwała.

- Czy go kochasz?

Patrzyła na mnie oczami niczym czarne jamy w białej twarzy, a ja podszedłem do drzwi sypialni, otworzyłem je i zapaliłem światło. Łóżko było zasłane, ale znalazłem tam dość, by się dowiedzieć, czego chciałem. Para oprawionych w srebro wojskowych szczotek z wygrawerowanym godłem Dywizji Brandenburskiej, brzytwa, pędzel do golenia i mydło koło umywalki.

Odwróciłem się, a ona się odezwała, stojąc w drzwiach:

- Pięć lat, Owienie, pięć lat, a on jest wspaniałym człowiekiem. Najlepszym, jakiego w życiu poznałam.

- Czy go kochasz? - powiedziałem bezbarwnym głosem.

- Mężczyźni - odrzekła z odcieniem rozpaczony w głosie. - Mówię o samotności, o poszukiwaniu jakiejś pociechy, a ty? Dla ciebie wszystko musi być tak proste, tak dobrze uporządkowane.

- Czy go kochasz? - powtórzyłem.

- Jakżebyś mogła? - powiedziała. - Jest ktoś, kto już wcześniej miał do mnie prawo, czyżbyś zapomniał? Gdy po raz pierwszy zakochałam się w tobie, miałam czternaście lat, jak pamiętam, w dniu twoich dwunastych urodzin.

- Zawsze byłaś dla mnie za stara.

Pogłaskała mnie po twarzy.

- To już lepiej, to mój prawdziwy Owen. Uśmiech cię zdradził. Mały Owen Morgan... mój mały Owen.

Otoczyłem ją ramionami w talii i przyciągnąłem do siebie.

- Pamiętaj o dobrych manierach, dziewczyno, dla ciebie jestem pułkownik Morgan i proszę o tym nie zapominać.

Podniosła wysoko brwi.

- Długą drogę przebyłeś od New Street numer pięć naście.

- Tamto było wtedy, a to jest teraz - odrzekłem. - A pięć lat, gdy się nad tym zastanowić, to piekielnie długi okres.

Nie mógłbym twierdzić, że przez ostatnich parę miesięcy moje potrzeby cielesne nie były zaspokajane, ale prawda była taka, że pragnąłem jej w sposób, o którego istnieniu zapomniałem. Upadliśmy na łóżko, z jej ustami przylepionymi do moich, i w tym momencie w dali rozległa się seria z broni małokalibrowej.

Przebiegłem przez bawialnię, otworzyłem drzwi i wydostałem się na zewnątrz. W chwili gdy to zrobiłem, rozpętała się jeszcze gęściej szarżująca strzelanina z kierunku Charlottestown i słychać było grzechot karabinu maszynowego. I zaraz po tym ryknęły, budząc się do życia, ciężkie diesle.

Koło mnie pojawiła się Simone, a ja szybko zapytałem:

- Co teraz znajduje się w porcie?

- Prawie nic - odparła. - Głównie pozostawione przez wyspiarzy łodzie rybackie. Och, zapomniałam o E-boacie, który wczoraj przyplynał. Chwileczkę, mam tu gdzieś w willi szkła.

E-boat? Ze wszystkiego, co możliwe. Teraz już bardzo wyraźnie słychać było silniki. Jeszcze gęściejsza strzelanina, a potem pojawiła się Simone z lornetą w skórzanym pokrowcu.

Była to najlepsza na świecie nocna lorneta Zeissa, a ja nie zadałem sobie trudu, by pytać, skąd się tu wzięła. Należała do Steinera, jak przypuszczam. Z La Falaise nie było widać Starego Portu, ale mogłem dostrzec łuk falochronu Admiralicji i wejście do tego, co wyspiarze od stu lat nazywali Nowym Portem.

Nastawiłem nocną lornetę na ostrość akurat na czas, by zauważyć, że E-boat wychodzi w morze. Simone pociągnęła mnie za rękaw.

- Co to jest, Owenie? Co to znaczy?

- To znaczy, że wszystko diabli wzięli - powiedziałem jej. - Dokładnie tak, jak w piosence Steinera.

Dopiero znacznie później miałem możliwość rozmowy z zainteresowanymi i powiązania w całość tego, co wydarzyło się owej nocy.

Winny był Fitzgerald, bo w najbardziej zdecydowany sposób postąpił wbrew rozkazowi. Cały kłopot polegał na tym, że on i jego ludzie znaleźli niewiele zajęcia w Nowym Porcie, poza

przyczepieniem paru min do łodzi rybackich.

Dziwne zaś było to, że nie przeniknęli do Starego Portu, gdzie znaleźliby przycumowany na noc do nabrzeża E-boat, cel, który z pewnością uczyniłby ich nocną wycieczkę wartą zachodu.

Przysunąwszy się bliżej brzegu, Fitzgerald przypadkiem zauważył wartownika przy starym magazynie i zdecydował, że to może mieć coś wspólnego z Planem Czarnuch. Wylądował w towarzystwie Granta i zbliżył się do budynku, by przeprowadzić rozpoznanie. Został natychmiast zwietrzony przez dwa owczarki alzackie, których obecności nie zauważył. Wartownik otworzył ogień i wszystko potoczyło się dalej.

Dowódca E-boata z pewnością zaczął działać bez cienia wahania. Musiało być dla niego oczywiste, od chwili gdy rozległ się przeraźliwy okrzyk bojowy komandosów, że najeźdźcy wylądowali się w bezpośrednim sąsiedztwie, i na pewno dobrze znał typ okrętów używanych przez marynarkę do tego rodzaju operacji.

I tak polowanie ruszyło nie na żarty, ja zaś zupełnie zapomniałem o sobie i wbijałem spojrzenie w ciemność za falochronem, myśląc o Dobsonie i jego załodze oraz o niemiłym fakcie, że E-boat był od nich szybszy o dziesięć czy piętnaście węzłów. I wtedy, daleko w głębi ciemności, wielkim łukiem uniosła się rakietą, wybuchnął pocisk oświetlający i zrobiło się prawdziwe piekło.

Przestawiłem ostrość i w pole widzenia lornety wskoczył MGB. W błyskach armat widziałem wszystko doskonale, do ostatniego człowieka na mostku. Wtem pocisk trafił w rufę, rozległa się straszliwa eksplozja i okręt zaczął płonąć.

Simone przywarła do mnie, objąwszy ręką w pasie, ja zaś przesunąłem lornetę i zobaczyłem, jak E-boat robi ciasny skręt, teraz mając już zdobycz w paszczy, bijąc do przeciwnika ze wszystkiego, co stanowiło jego uzbrojenie.

MGB wyglądał straszliwie z płomieniami na rufie unoszącymi się w niebo; większość nadbudówek była zdruzgotana, a broń niezdatna do strzelania. Ale wciąż miał całkiem przyzwoitą szybkość i tym właśnie posłużył się jego dowódca - ktokolwiek nim był w tej chwili, choć wolałem myśleć, że to Dobson.

E-boat znowu zawrócił, zbliżając się, by dobić przeciwnika, i strzelał z całej swej broni, ale tym razem dowódca skierował go odrobinę za blisko. MGB skręcił w jego stronę tak szybko, że przechylił się maksymalnie. W chwilę później oba okręty zderzyły się, rozległ się straszliwy trzask, a potem eksplozja rozdarła noc i gdy rozleciały się zbiorniki paliwa, wielki grzyb ognia i dymu wzbił się w ciemność.

Zobaczyłem ludzi skaczących do morza, które zmieniło się w jezioro ognia, i opuściłem lornetę. Simone płakała z twarzą wtuloną w moje ramię. Objąłem ją i łagodnie wprowadziłem do wnętrza domu.

Miałem przed sobą wszystko, z wyjątkiem świetlanej przyszłości. Pewne było, że wyspa zostanie przewrócona do góry nogami, bo Niemcy będą się chcieli upewnić, że schwytali wszystkich

intruzów, a na tak niewielkim obszarze możliwość tego, że zdołam im się wymknąć na jakikolwiek czas, była mało prawdopodobna.

Druga możliwość też nie przedstawiała się zachęcająco: spuścić na morze nadmuchiwany ponton, który pozostawiłem u stóp Diabelskich Schodów, i żywić nadzieję, że uda mi się przedostać na francuski brzeg. Naprawdę nie miałem wyboru i próbowałem to wyjaśnić Simone, która widziała tę sprawę zupełnie inaczej. Zaczęła się między nami sprzeczka z gatunku tych, które bez końca kręcą się w kółko, a Simone reagowała tak gorąco, że niemal przeoczyłem zbliżający się na zewnątrz samochód.

Sądząc z dźwięku silnika, był to terenowy Volkswagen, a to oznaczało Steinera i ta myśl miała sens; przyjechał, by wytłumaczyć jej przyczyny zamieszania. Może nawet zaproponować, że zostanie na noc.

Już podchodził do ganku, zgrzytając butami po żwirze. Simone ruszyła do drzwi, rzuciła mi przez ramię rozpaczliwe spojrzenie, a ja machnąłem w jej stronę uspokajająco i przeszedłem do kuchni. Czekałem w cichej ciemności, ona zaś otworzyła drzwi wejściowe i pozdrowiła go. Dobrze grała swą rolę.

- Co to było, Manfredzie?

- Komandosi przeniknęli do portu. Zostali zdaje się już złapani, ale mogą być jeszcze inni. Myślę, że na noc powinnaś pojechać do Charlottestown.

- Z pewnością to niepotrzebne. - Udało jej się wydobyć krótki śmiech. - Nie sądzę, by mogli mi wyrządzić krzywdę.

Co zdarzyło się tam na morzu?

- Niedobra rzecz. E-boat wyszedł na poszukiwanie okrętu, który ich przywiózł.

- I znalazł go?

- Znaleźli się, że tak powiem, wzajemnie. Oba poszły na dno.

- Co z rozbitkami?

- Radl zakazał wszystkim statkom opuszczania portu, jeśli to masz na myśli. - Zaśmiał się gorzko. - Wiesz, jak on skrupulatnie przestrzega prawa; do ostatniej literki i ani trochę dalej. Działania na morzu należą do marynarki wojennej, a E-boat był ostatnią jednostką wojenną w Charlottestown. Armia nie ma ani jurysdykcji, ani obowiązków poza falochronem.

- Ale tam giną ludzie, których jeszcze można uratować - powiedziała.

- Najdokładniej, ale dla Herr Pułkownika Ottona Radla przepisy to przepisy, a regulaminy to regulaminy. - Na stąpiła chwila przerwy, aż on spytał zdziwionym głosem: - Co to takiego?

Dokładnie w tym momencie zdałem sobie sprawę, że nie mam na sobie czapki, a gdy wyjrzałem przez szparę w drzwiach, zobaczyłem go stojącego koło kominka i trzymającego ją w rękach. Ubrany był dokładnie jak przedtem, z tą tylko różnicą, że w skórzanej kaburze przy pasie miał parabellum.

Nie czułem wrogości wobec tego człowieka, i to właśnie było dziwne. Sądzę, że dlatego, iż teraz tak wiele już o nim wiedziałem. To zaś, co wiedziałem, lubiłem i podziwiałem. Ponadto obserwowałem go, gdy był z Simone, która nie mogła aż tak beznadziejnie pomylić się w jego ocenie. Ani, jeśli już o to idzie, Ezra Scully. I umiał malować jak anioł.

- Kto tu był, Simone? Musisz mi powiedzieć.

Jego ton stał się bardziej nagły i, jak przypuszczam, nagle zaświtało mu prawdopodobne wytłumaczenie. Zaczął się odwracać, a ja wyszedłem przez drzwi z mauzerem w lewej dłoni.

- To wynalazek gestapo do cichego zabijania i rzeczywiście działa tak, jak ci powiedziałem. Odbierz mu broń, Simone.

Była blada jak widmo, a jej spojrzenie przepelniał ból. On zaś stał niczym wykuty w kamieniu, patrząc, jak dziewczyna zbliża się do niego. Zamknęła oczy, zadrżała i cofnęła się.

- Nie... nie, Owenie. Nie stanę po niczyjej stronie.

Zaskoczyło mnie to całkowicie. Spojrzałem na nią, a Steiner odbił się prawą nogą i cisnął mi czapkę w twarz. W tej samej chwili chwycił mnie za lewy nadgarstek, wykręcił mi mauzera z dłoni, padł na jedno kolano i rzucił mną z taką siłą, że pokoziołkowałem po dywanie na środek pokoju.

Cofnąłem ramię, zerwałem się na nogi, a podczas obrotu już miałem nóż w prawej dłoni i zamachnąłem się do rzutu. Steiner miał fantastyczny refleks. Jakimś magicznym sposobem, którego nie mogłem zrozumieć, parabellum znalazło się w jego ręce i obaj patrzyliśmy śmierci w oczy w tym krótkim, króciutkim momencie. Simone rzuciła się między nas, trzymając niezdarnie mego mauzera.

- Dosyć! - wrzasnęła. - Dość tego głupiego, bezsensownego zabijania! - Czekałem gotów do skoku, a Steiner trwał, przyklękawszy na kolanie, z parabellum gotowym do strzału. - To jest Owen Morgan, Manfredzie! - zawołała. - Czy nie rozumiesz? To jest Owen Morgan!

Spojrzał na nią ostro, później na mnie, a w jego oczach zarysowało się coś na kształt podziwu.

- Czy to prawda? Jesteś Owen Morgan?

- Zgadza się.

Nagle, zupełnie niespodziewanie uśmiechnął się, a uśmiech miał pełen zadziwiającego uroku, wstał i wepchnął parabellum do kabury.

- Wszystko dobrze, Simone. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Spróbował wyjąć jej mauzera z ręki, ale Simone się cofnęła.

- Nie, zachowam go przez chwilę. Utrzymuję między wami równowagę, czy to jasne? Nie chcę, aby któremukolwiek z was stało się coś złego. Nie dopuszczę do tego.

Spojrzała na nas dzikim wzrokiem, odwróciła się i wbiegła do sypialni. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a Steiner potrząsnął głową i westchnął.

- Biedna Simone. Wojna jest wystarczająco trudna w swych najlepszych momentach, ale jeśli nie chce się stanąć po niczyjej stronie... - Wyciągnął dłoń. - Manfred Steiner.

Już od dawna chciałem cię poznać. Słynny Owenie Morganie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem taki słynny.

- Z ust Simone od rana do wieczora słyhać: Owen Morgan. Każda skała na tym wybrzeżu jest, jak mi się zdaje, pomnikiem na cześć czegoś, co robiliście razem, jakiegoś bajecznego wyczynu podczas niekończącego się lata.

Poczęstowałem go papierosem, a on przyjrzał mi się z namysłem.

- Przybyłeś z komandosami?

Nie widziałem powodu, by zaprzeczać.

- Dowodziłem całą operacją.

- Ale nie w mundurze.

Wzruszyłem ramionami. W mundurze czy bez, co to ma za znaczenie, jeśli Kommandobefehl jest w dalszym ciągu w mocy.

- Zachowuje swą moc także tutaj, ostrzegam cię - powiedział. - Pełniący obowiązki gubernatora pułkownik Radl jest twardym człowiekiem. Z gatunku tych, którzy wiernie wykonują rozkazy, jakkolwiek niemiłe, a obowiązujące polecenia wciąż stanowią, że żołnierze wszelkich oddziałów specjalnych, jeśli trafią do niewoli, muszą być likwidowani tak szybko, jak tylko się da, i komendant każdego obszaru osobiście odpowiada za to, by rozkaz ten był wykonywany w całej rozciągłości.

- To byłoby z pewnością ze strony Radla głupie posunięcie - odparłem. - Wojna potrwa co najwyżej jeszcze miesiąc. Wiadomo, że wojska brytyjskie za chwilę prze kroczą Łabę, a Rosjanie dobijają się do bram Berlina.

- Wiem o tym - powiedział. - Słucham BBC zapewne częściej niż ty, ale Radl należy do specjalnego gatunku ludzi. Był z Hitlerem jako młody człowiek jeszcze w latach dwudziestych, nim partia doszła do władzy. On tę przynależność traktuje jak religię. Wierzy w nią święcie, całkowicie. Spojrzy śmiało w oczy plutonowi egzekucyjnemu, umrze za swą wiarę tak spokojnie, jak pierwszy

chrześcijanin na rzymskiej arenie skazany na męczeństwo za Chrystusa. Nic go nie przekona, by zmienił swój sposób myślenia.

- Ilu ludzi z oddziału wypadowego przeżyło?

- Nie wiem. Z pewnością wzięto jeńców. Przynajmniej dwóch. Tyle powiedział mi kapral saperów, który był w drodze do Platzkommandantur z meldunkiem. - Potrząsnął głową. - Czy to miało sens?

- Prawdę powiedziawszy, szło nam o ciebie i twoją instalację „Czarnuch”. - Przysiadłem na brzegu stołu. - Gdzieś u góry doszli do wniosku, że możesz stanowić zagrożenie, jeśli ty i twoi ludzie zdecydujecie się walczyć na Wyspach Normandzkich, zamiast się poddać.

- Instalacja „Czarnuch”? - Był autentycznie zdumiony, a potem ryknął śmiechem na całe gardło. - Instalacja „Czarnuch” zagrożeniem? To najzabawniejsza rzecz, jaką od lat usłyszałem. Nie istnieje żadna instalacja „Czarnuch”.

Tak jest w przybliżeniu od dwóch miesięcy, kiedy wykorzystaliśmy nasze ostatnie torpedy. - Znow się roześmiał i potrząsnął głową. - Dla nas wojna się skończyła, a raczej była skończona aż do chwili tej małej imprezy z dzisiejszej nocy. Gdy wojna skończy się w Niemczech, skończy się i tu, to ci mogę obiecać.

- Co jednak nie rozwiązuje nam sprawy pułkownika Radla, jego spadochroniarzy z SS oraz istniejącej tu sytuacji. - Simone stanęła w drzwiach sypialni. - Co się stanie, jeśli on złapie Owena?

Wszyscy znaleźliśmy odpowiedź na to pytanie.

- Sytuacja stała się nader niezręczna, bo nie mogą cię zabrać z wyspy - rzekł Steiner. - Czy masz jakiś inny pomysł?

- Mam nadmuchiwany ponton, schowany w miejscu, gdzie wylądowałem. Mogę spróbować przedostać się do Francji.

- Trudne przedsięwzięcie.

- Lepsze od pozostania tutaj. Czy mogę założyć, że nie będziesz mi w tym przeszkadzał?

- W tej sprawie raczej nie mam wyboru, prawda? - Kiwnął głową w stronę Simone. - Jeśli idzie o mnie, to w ogóle cię tu nie było. Czy możesz sobie wyobrazić, jak by ją potraktowali ci z SS, gdyby podejrzewano, że mieliście jakikolwiek kontakt?

- Z pewnością mogę - odrzekłem. - Może nawet bar dziej niż ty, ale to już całkiem inna historia.

Popatrzyłem na zegarek. Jama wyjściowa Diabelskich Schodów będzie jeszcze cztery czy pięć stóp pod wodą, ale w ciągu mniej więcej godziny poziom morza szybko spadnie. Pozostawanie tutaj nie miało sensu.

Wziąłem czapkę, nałożyłem ją i zbliżyłem się do sztalugi.

- Podoba mi się twoja robota. Nie ma nic lepszego niż dobra akwarela.

- To jedyna technika, jaką stosuję.

- Widzę, że robisz to jak mój ojciec. Taki sam sposób przechodzenia jednego koloru w drugi w uzyskiwaniu tła.

Nie zauważyłem tego u żadnego artysty poza moim ojcem.

- Ach, ale ty mówisz o prawdziwym malarzu - zauważył. - Geniuszu. Gdy byłem u Slade'a, on był otoczony legendą. Rybak z wyspy, który oficjalnie nigdy nie zdobył wykształcenia. Czy wiesz, że całkiem niewielkie jego prace przechodziły z rąk do rąk za cenę pięciuset gwinei [19], a mówię o roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym? I sposób, w jaki zginął. Niezwykłe. O niewielu ludziach tworzy się mity w tak krótkim czasie.

Nastąpiło niezręczne milczenie. Staliśmy naprzeciw siebie, on w mundurze ze wszystkimi odznaczeniami, a ja ubrany jak bosman z fińskiego żaglowca: darzyłem go sympatią, jakiej nie czułem do nikogo od śmierci mego ojca. Polubiłem go instynktownie, bez żadnego szczególnego powodu, który potrafiłbym wskazać.

Podeszła Simone i wcisnęła mi mauzera w rękę.

- Idź. Wynoś się stąd! Idź spotkać śmierć, jeśli tego właśnie chcesz. Popatrz na siebie, popatrz na was dwóch, stojących tu bez słowa, bo nie macie niczego do powiedzenia. To wszystko jest tak głupie, że nie da się wyrazić słowami. Niewiarygodnie.

Wybuchnęła płaczem i rzuciła się na kanapę. Steiner wyciągnął dłoń.

- Do widzenia, Owene Morgan. Chciałbym móc poznać cię bliżej, ale wojna, jak zawsze, wtrąca się tam, gdzie nie powinna.

Skinąłem krótko głową.

- Opiekuj się nią, dobrze?

On także skinął, a ja odwróciłem się i wyszedłem na dwór.

Nie upłynęło nawet pół godziny, jak wydostałem się na drogę wiodącą do bunkra nad Diabelskimi Schodami. Gdy byłem o jakieś sto jardów stamtąd, usłyszałem głosy i skoczyłem do rowu, a z ciemności wyłonił się z rykiem półgąsienicowy transporter, jadący od strony Fortu Marie Louise.

W okolicy bunkra panował ożywiony ruch i po chwili nadszedł następny pojazd, ja zaś usłyszałem gniewne warczenie psów. To zadecydowało. Wycofałem się szybko i skierowałem w stronę Granville. Posuwałem się wolno, bo po wielekroć zaplątywałem się w zapory z drutu

kolczastego, a świadomość, że mogą im towarzyszyć miny, powodowała, że cierpły mi zęby.

Nad tym wszystkim wisiała jakaś nieuchronność. Nie szło tylko o to, że ja popadłem w kłopoty. Szło o coś znacznie ważniejszego. Zostałem schwytyany w sieć wydarzeń, w których miałem jeszcze odegrać jakąś rolę. Wiedziałem o tym z całkowitą, bezwzględną pewnością.

Nie było szans na dotarcie do Granville przed świtem, a nawet gdyby mi się udało, dokąd miałem pójść? Nie. Potrzebowałem miejsca wolnego od jakichkolwiek podejrzeń i przypomniałem sobie klify nad Podkową, gdzie jako chłopiec bawiłem się z Simone: tajemną kryjówkę, pół drogi w dół, w otoczeniu na pozór niedostępnym.

Odnalezienie jej w ciemnościach sprawiło mi pewną trudność, ale wreszcie dotarłem tam w jednym kawałku, choć podrapany i posiniaczony, i skuliłem się pod nawisem skalnym na małej półeczce, otoczonej krzakami janowca. Jeśli zdołam się tam ukrywać przez dzienną połowę doby, istniała szansa, maleńka szansa, że uznają, iż załatwili się już ze wszystkimi, i odwołają poszukiwania.

Przycupnąłem tam i czekałem, a światło z wolna nasycalo ciemności na horyzoncie. W zatoce na dole zaczęły pojawiać się ciała, nadpływające z wodami przyływu zaraz po świcie, splątane, wyskakujące nad przybój o sto stóp poniżej mej kryjówki.

Kraj Stojących Trupów

Dopiero później tegoż ranka stało się oczywiste, że Radl źle ocenił istotę naszej operacji. Otworzyły się drzwi starego magazynu amunicji i pojawiło się kilku spadochroniarzy SS. Miny mieli niezbyt zadowolone i nader zdecydowanie kazali nam wychodzić. Na dziedzińcu czekał półgąsienicowy transporter wojskowy. Bez ceremonii wepchnięto nas do niego i wyruszyliśmy do portu.

Wyglądało, że w jakiś sposób zgromadziła się tam cała masa ludzi. Trzydziestu czy czterdziestu niemieckich żołnierzy, samych saperów, do tego taka sama liczba robotników Todta w łachmanach, przytulonych do ściany i próbujących w ten sposób ukryć się przed zacinającym deszczem.

Port wyglądał dokładnie tak, jak go pamiętałem, jeśli nie liczyć wyraźnych blizn po starych bombardowaniach i zeszlorocznym ostrzale z morza. Pod osłoną falochronu przycumowane było ze dwadzieścia łodzi rybackich różnych typów i wymiarów, a dalej, w samym środku Nowego Portu, wystawał tuż nad wodą komin uzbrojonego niemieckiego trałowca. Został zatopiony osiemnaście miesięcy temu przez bomby, gdy stał na cumach. Jeszcze jedna rzecz, której nie wymienił Joe St Martin.

Wysiadłszy z transportera, zobaczyłem na dolnym nabrzeżu Steinera. Ubrany był w czarny gumowy skafander pletwonurka, a przy nim było czterech tak samo odzianych ludzi. Sami Brandenburczycy, ci, którym udało się przeżyć, wszyscy z początkowej grupy stanowiącej załogę operacji „Czarnuch”.

Na nabrzeżu mieli dwa kanoe typu Rob Roy, oczywiście uratowane z portu, ponieważ Fitzgerald i jego ludzie zastosowali się do procedury przyjętej w razie groźby wzięcia do niewoli i zatopili je wraz z całym wyposażeniem.

Pół tuzina min podwodnych leżało ułożonych w równym szeregu, a Brandenburczycy właśnie je rozbierali. Zachowywali się jak żołnierze oddziałów specjalnych wszystkich armii na świecie. Ta sama swobodna arogancja, która w rzeczywistości nie jest arogancją, lecz czymś całkowicie niemożliwym do określenia, wynikającym z wiary we własną samowystarczalność, płynącym z nieustannego niebezpieczeństwa, stanowiącego zasadę ich życia. W tych gumowych skafandrach mogli równie dobrze uchodzić za brytyjskich komandosów czy amerykańskich rangersów. Tylko przebijająca się przez szum deszczu rozmowa wskazywała na ich narodowość.

W czasie który nastąpił po tym pierwszym dniu, poznałem ich wszystkich dobrze. Lanza i Obermeyera, dwóch sierżantów, którzy przed wojną byli kolegami w szkole muzycznej w Berlinie. Kaprała Hilldorfa - nauczyciela w szkole wiejskiej koło Hamburga, oraz Schreiber, urzędnika wiedeńskiego banku, który pracował tam tylko dlatego, że nie mógł utrzymać się z pisarstwa.

Lanz przykucnął z papierosem zwisającym z warg i ostrożnie wyjmował z miny zapalnik.

Obermeyer powiedział coś, czego nie dosłyszałem w całości, ale jego uwaga wywołała salwę śmiechu. Steiner odwrócił się, zobaczył mnie i też coś powiedział. Lanz spojrział w górę z lekkim uśmiechem, po czym zajął się następną miną. Z oczywistych powodów wszyscy inni trzymali się z daleka: zauważyłem majora Brandta, który stał na skraju tłumu i przyglądał się. Po chwili odwrócił się niedbałym ruchem, zobaczył nas i podszedł.

Zasalutował bardzo oficjalnie.

- Dzień dobry, pułkowniku.

- Po co tu jesteście? - zapytałem.

- Rozkaz pułkownika Radla. Wkrótce tu przybędzie. - Skinął głową w stronę grupy na dolnym nabrzeżu akurat wtedy, gdy znów rozległ się ich przyciszony śmiech.

- Ci Brandenburczycy... zwariowali. - Popukał się w głowę. - Wystarczyłby jeden z nich do tej roboty, ale pozostali muszą mu dotrzymać towarzysztwa. Drobnym błędem i wszyscy razem zmieniają się w dym. Dlaczego?

- Gdybym miał to wytłumaczyć, i tak by pan nie zrozumiał.

Wyciągnąłem puszkę z papierosami. Zostało już tylko osiem. Zapaliłem jednego, odrzuciłem zapalniczkę i podszedłem do schodów wiodących na dolne nabrzeże, pobrzękując melodyjnie łańcuchem. Po co to zrobiłem? Naprawdę nie wiem. Jakiś gest, jak sądzę. Wyzwanie rzucone władzom albo może działanie pod wpływem chwilowego impulsu.

Rozległ się ostry, metaliczny trzask: jeden ze spadochroniarzy SS odbezpieczył pistolet maszynowy, a Brandt zawołał nagłaco:

- Proszę, pułkowniku Morgan! Proszę zostać na miejscu!

Zatrzymałem się o jard czy dwa od skraju nabrzeża i spojrzałem za siebie. Esesman wycelował pistolet maszynowy wprost we mnie i miał minę świadczącą o tym, że był całkiem gotów go użyć.

- Jeśli uważa pan, że mogę uciec, lepiej niech on strzela! - zawołałem do Brandta. - To ostatecznie na jedno wychodzi. Wątpię jednak, czy daleko bym się przedostał z paru stopami łańcucha między kostkami.

Ruszyłem do schodów, a Brandt powiedział ostro po niemiecku:

- Nie, daj mu iść.

Zszedłem ostrożnie, bo ciągle miałem skłonność do błędnego oceniania stopnia swobody, jaki dawał mi łańcuch. A potknięcie się w tym miejscu oznaczało złamanie karku. Byłem w połowie drogi, gdy nade mną pojawił się Fitzgerald.

Poczekaliśmy na dole, a gdy do mnie dotarł, powiedział spokojnie:

- Dołączę się, jeśli pan pozwoli, sir. Tamtym poleciłem pozostać na miejscu.

Popatrzywszy w górę, spostrzegłem, że u szczytu schodów pojawili się Grant i Hagen.

- Zawsze mówiłem, że wy, jankesi, nie wiecie, co to dyscyplina.

Na te słowa uśmiechnął się jakoś ciepło, co mu się zdarzyło po raz pierwszy od chwili, gdy go poznałem, a w jego oczach zabłysnęło dziwne światło.

- Nie boi się pan zupełnie, prawda? Ani cholерnej ociupiny.

- Jak wy, Amerykanie, powiedzielibyście, to nie daje żadnego dochodu - odrzekłem. - A teraz kolejny kawałek z Wu Ch'i, dla pana. Pole bitwy jest krajem stojących trupów. Zdecydowani, by umrzeć, będą żyli. Ci, co mają nadzieję, że ujdą z życiem, umrą.

Nie sądzę, by Fitzgerald to naprawdę zrozumiał, ale był gotów uznać te słowa za jeszcze jedno moje dziwactwo.

- Czy wobec tego dołączymy się? - zapytał.

Z trudnością opanowywał podniecenie, a ja, jak sądzę, po raz pierwszy zrozumiałem go w pełni, a przynajmniej w takim stopniu, w jakim można mieć nadzieję na zrozumienie kogokolwiek. Zszedłem na nabrzeże bez znanego komukolwiek rozsądnego powodu, bo żaden rozsądny człowiek tego by nie zrobił.

Fitzgerald natomiast widział w tym gest heroizmu. Wzniosły dramat. Dzielni ludzie, odważnie stojący twarzą w twarz ze śmiercią i niedbający o to. Zrozumiałem wówczas, a moje podejrzenia w pełni potwierdziły późniejsze wydarzenia, że dla niego wojna jest czymś męskim, heroicznym i wspaniałym. Powiedziałem Henry'emu, że wyglądał mi na takiego człowieka, który chce zginąć z szablą w ręku, przy dźwięku trąbek, słabo dolatującym z wiatrem. I niewiele się pomyliłem.

Steiner czekał na nas, podparłszy się pod boki. Jego ludzie zgromadzili się za nim; prócz Lanza, który trwał przykucnięty na miejscu, usiłując rozbroić minę.

- Dzień dobry - powiedziałem po niemiecku, gdy się zbliżyliśmy. - Dobrze się bawicie?

Steiner wyszczerzył zęby i przez ramię powiedział coś do swych ludzi.

- Zależy od punktu widzenia! - odkrzyknął. - Nowy model. Lanz uważa, że pokrywka wnęki na zapalnik jest trudna.

Lanzowi zgaś papieros zwisający z dolnej wargi. Twarz miał spokojną, ale ścięgną jego prawej dłoni wystąpiły wyraźnie na jej grzbiecie, gdy próbował obrócić pokrywkę. Dokładnie w tym momencie zbliżył się Grant i jeszcze trzech rangersów i wszyscy staliśmy, przyglądając się. A wszystko zaczął sierżant Hagen.

- Co on tu próbuje, na litość boską? Wysadzić nas wszystkich w powietrze czy co. - Przykucnął

koło Lanza i położył mu dłoń na ramieniu. - Nie tak, bracie.

Daj mi.

Fitzgerald nie próbował go powstrzymać, a Hagen ostrożnie obrócił i wyjął pokrywkę.

- Wszystko zależy od wyczucia sprężyny dokładnie we właściwym punkcie. Zdaje mi się, że z pierwszą miałeś szczęście.

Pokrywka odskoczyła, a Lanz, przytrzymując ją, ostrożnie wydobyl zapalnik. Niemiec wyszczerzył zęby i klepnął Amerykanina po ramieniu. Po czym wszyscy, wraz z Fitzgeraldem, wzięli się do roboty.

Stałem i patrzyłem na nich, przykucniętych na kamieniach, Brandenburczyków i rangersów, do mnie zaś podszedł Steiner.

- Dobrze znasz Alicję w Krainie Czarów?

- Znam - odrzekłem. - Ciekawsze i ciekawsze, powie działa Alicja. Na pewno daje to wiele do myślenia.

Odsunęliśmy się od nich na parę jardów.

- Czy nie ma wątpliwości, że Simone nie będzie przesłuchiwana? - spytałem przyciszonym głosem. - Jesteś pewien?

Pokręcił głową.

- Powiedziałem Radlowi, że była w moim towarzystwie.

To właśnie miał na myśli, mówiąc, że nie mogłeś skontaktować się z żadnym z wyspiarzy ubiegłej nocy, ponieważ w taki lub inny sposób wszyscy byli pod nadzorem.

Nagle rozległ się krzyk, odwróciliśmy się. Radl stał na szczycie schodów.

- Co tam się dzieje w dole, Steiner?! - zawołał. - Natychmiast wyprowadź więźniów na górę.

Odpowiedział mu Fitzgerald, i to w doskonałej niemczyźnie, co było niespodzianką, bo dotychczas nie uważał za stosowne pochwalić się tą umiejętnością.

- Może trochę później, pułkowniku, w tej chwili jesteś my nieco zajęci.

Następnie skupił całą swą uwagę na minie podwodnej, którą trzymał w rękach. Radl przez chwilę patrzył na nas z góry, a potem powoli zszedł schodami. Zapewne chciał udowodnić, albo sobie samemu, albo zgromadzonemu w górze tłumowi, że on też potrafi zrobić to, co my zrobiliśmy. Brandt niechętnie szedł jego śladem z pobladłą twarzą, co dowodziło, że ma dość zdrowego rozsądku, by się bać. Gdy do nas dotarli, Hagen usunął ostatni zapalnik i cała grupa, Niemcy i

Amerykanie równocześnie, wybuchnęła zgodnym, ochrypłym wiwatem. Radl patrzył na to, nie okazując jakichkolwiek uczuć, a następnie zwrócił się do mnie.

- Zeszłej nocy, pułkownik Morgan, popełniłem po ważny błąd, zakładając, że jedynym celem tego rajdu było zaatakowanie celów na lądzie. Zechce mi pan teraz powiedzieć, które statki w porcie zostały zaminowane.

Fitzgerald wystąpił o krok naprzód.

- Zwrócił się pan do nieodpowiedniej osoby, pułkownik. To ja dowodziłem operacją w porcie.

- Wobec tego pan udzieli mi informacji, której żądam.

Zapadło głębokie milczenie. Grant rozumiał nieco po niemiecku, ale pozostali rangersi zupełnie się nie orientowali, o co tu chodzi. Wszyscy Brandenburczycy mieli poważne miny, jak przypuszczam dlatego, że znali Radla i spodziewali się po nim najgorszego.

- No więc, pułkownik - odezwał się wreszcie Fitzgerald - doprawdy nie widzę powodu, by to zrobić.

Sytuacja była absolutnie farsowa. Fitzgerald i jego ludzie przymocowali miny do statków rybackich, z braku lepszych celów. Tych statków nawet nie używano. Posłanie ich na dno nie wyrządziłoby szkody nikomu prócz ich nieszczęsnych właścicieli, obecnie wygnanych na Guernsey. Ale dla takich ludzi jak Fitzgerald była to kwestia zasad, cokolwiek by to miało oznaczać, a fakt, że właśnie przez dziesięć minut pomagali rozbijać miny, wyłowione przez Brandenburczyków z dna portu, nie miał z tym nic wspólnego.

Również dla Radla była to kwestia zasad, co w tym wypadku sprowadzało się zapewne do decyzji, że nie może za nic stracić twarzy. Tymczasem w górze, przy murze portowym, zebrał się pokaźny tłum, Radl zaś, jeśli tylko temu podoła, nie może dopuścić, by ci ludzie ujrzeli, jak tuzin łodzi rybackich jedna po drugiej wylatuje w powietrze.

Zwrócił się do mnie.

- Pułkownik Morgan, jak oficer starszy stopniem od majora Fitzgeralda...

- W tym wypadku odwoływanie się do mnie pozostanie bezskuteczne - przerwałem. - Jak powiedział major Fitzgerald, to on dowodził w porcie.

- Doskonale. Nie pozostawił mi pan wyboru. - Zwrócił się do Brandta. - Jak oceniam, w porcie są dwadzieścia trzy łodzie. Proszę spędzić tylu robotników Todta, ilu znajdzie pan w okolicy. Wsadzimy dwóch lub trzech do każdej łodzi.

Zagrywka była nader prosta: ja w podobnej sytuacji postąpiłbym zapewne dokładnie tak samo. Potrzeba było natomiast kilku chwil, by jej sens dotarł do Fitzgeralda. Ale gdy się to stało, zbladł jak ściana.

- Czy on naprawdę mówi poważnie? - zapytał, chwyciwszy mnie za rękę.

- Tak to sobie wyobrażam.

Sądzę, że nieuczciwość tej gry najbardziej go zabolęła. Fakt, że Radl wygrywał brudnymi metodami. Oczekiwałem, że major zaraz wybuchnie jakimś nieśmiertelnym powiedzeniem w rodzaju: „Ależ! Wielki Boże, człowieku, tak się wojny nie prowadzi”.

Lecz zamiast tego miał minę bardzo zmęczonego człowieka.

- Okay, pułkowniku, wygrał pan. Przyczepiliśmy miny do pięciu łodzi w porcie. Zostały nastawione na godzinę dziesiątą. Mamy nie więcej niż pół godziny, więc lepiej weźmy się do nich, jeśli trzeba z tym coś zrobić.

Aby wydobyć miny, użyto dwóch kanoe Rob Roy. Do każdego wsiadł jeden Brandenburczyk i jeden rangers. Radl stał na skraju nabrzeża i przyglądał się.

- Pocieszająca maksyma dnia brzmi następująco: jeśli cokolwiek wybuchnie, załatwi nas wszystkich razem, z nim włącznie - odezwałem się do Steinera.

- Mamy takie powiedzenie, że w każdym nieszczęściu jest trochę dobrego - odpowiedział.

Radl wydobył papierośnicę, wyjął z niej długi, czarny papieros rosyjskiego typu, który w połowie składa się z kartonowej rurki. Jeden z jego ludzi, sierżant, zbliżył się i zręcznym ruchem podał mu ogień. Radl przyjął ten gest, nawet nie spojrzawszy na człowieka, i stał w miejscu, przyglądając się działaniom w porcie i poklepując rękawiczką po udzie.

- Żołnierz w każdym calu - skomentowałem po cichu.

- Albo w każdym calu taki, jaki, jego zdaniem, żołnierz powinien być - odrzekł Steiner. - W roku tysiąc dziewięćset osiemnastym był kapralem piechoty, a potem przez wiele lat drobnym urzędniczyną na kolei. Przywiązuje wielką wagę do hierarchii. Ważne są objawy zewnętrzne. Na przykład rosyjskie papierosy służą do tego, by pokazywać wszystkim, że był na froncie wschodnim; jest to poza właściwą przynajmniej niektórym naszym bardziej znanym generałom. Ale popełnia błędy. Dżentelmen podziękowałby sierżantowi, który podał mu ogień, a mundur noszony przez Radla jest zbyt perfekcyjny. Odpowiedni do opery, oczywiście na scenie, co określa go nader dobrze. Marny aktor w niewłaściwej roli. Źle obsadzony.

- Podejrzewam - odrzekłem - że to samo powiedziałbyś otobie, a to zapewne wyjaśnia, czemu cię nie lubi. Ty też nie zostałeś doskonale obsadzony. Być może musi się powstrzymywać, aby ci nie salutować.

- Czego nie rozumie, tego się boi - rzekł Steiner. - Dla takich jak on, partia jest wszystkim. To wszystko, co ma.

Wszystko, co kiedykolwiek miał.

- A co taki człowiek jak on będzie robił po wojnie? - spytałem. - Jaką ma przed sobą przyszłość?

Steiner odwrócił się wprost do mnie, robiąc poważną minę.

- Dla niego nie ma przyszłości, przyjacielu. Dobrze będzie, jeśli to sobie zapamiętasz.

Zrozumiałem, co ma na myśli.

- Ile jeszcze czasu do przybycia nowego gubernatora?

- Kapitana Olbrichta? Nie jestem pewien. Wiesz, to prawdziwy bohater. Wielki as U-bootów. W zeszłym roku został ciężko ranny, co było końcem jego czynnej służby na morzu. Oczekujemy, że uzbrojony kabotażowiec z amunicją i zaopatrzeniem spróbuje przełamać blokadę St-Denis.

Stara łajba, zwana Dumą Hamburga. Przypuszcza się, że na niej przybędzie.

- Jeszcze nie wypłynęła?

Potrząsnął głową.

- Na tych wodach coś, co zwie się Królewską Marynarką Wojenną, może okazać się nader kłopotliwe. Kapitanem Dumy Hamburga jest stary wilk morski, nazwiskiem Ritter.

Znam go dobrze. Zwykle czeka na parszywą pogodę i wykorzystuje ją jako osłonę.

- Miejmy nadzieję, że przez najbliższy tydzień, czy coś koło tego, będzie piękna.

- I ty ją miej, przyjacielu.

Odszedł, by przyłączyć się do Fitzgeralda i reszty żołnierzy w chwili, gdy pierwsze kanoe powróciło z minami. Patrzyłem na to przez chwilę, a potem zawróciłem i odszedłem, powłócząc nogami. Już nic się nie zdarzy. Nikt nie zostanie wysadzony w powietrze do Sądnego Dnia.

- Ma pan dość, pułkowniku Morgan?! - zawołał Radl.

- Coś w tym rodzaju. Pójdę na górę, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

- Ależ, oczywiście, nie mam.

Uśmiechał się z wielką pewnością siebie, że ja się w jakiś sposób złamałem, on zaś nie. Odwrócił się i pogwizdując radośnie, przyłączył się do grupy ludzi pracujących nad minami, i tam stanął, by ich nadzorować. Brandt podążył za mną po schodach, ostrym tonem rozkazując zgromadzonym tam żołnierzom, by się cofnęli. Usłuchali natychmiast.

- Owen? Owen Morgan? Czy to ty?

Lekarz naszej wyspy, Paddy Riley, przepchnął się przez tłum. Musiał mieć przynajmniej siedemdziesiąt lat - wysoki, białowłosy Irlandczyk z rozczochraną brodą. Nigdy nie pozbył się ojczyztego akcentu. Potrząsał moją dłoń, śmiejąc się od ucha do ucha, ale było coś w jego spojrzeniu, coś, co mówiło mi, że wie więcej, niż może powiedzieć.

Zrozumiałem, na czym gra polega, gdy się odwrócił i zawołał:

- Simone, znalazłem go!

Wynurzyła się z tłumy. Miała zawiązaną na głowie chustkę, na sobie stary prochowiec i podeszła do mnie z poważną miną. Z wahaniem wyciągnęła dłoń, a ja ją przyjąłem.

- Halo, Owen - powiedziała. - Przykro mi, że cię spotykam w takich okolicznościach.

- Dzień dobry, panno de Beaumarchais - rzekł przypatrujący się nam Radl i strzelił przepisowo obcasami.

- Simone i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi - zawiadomiłem go.

- Doprawdy?

Wyglądała tak, jakby w każdej chwili miała wybuchnąć płaczem. Riley chwycił ją za ramiona.

- Chodźmy, kochanie, odprowadzę cię do szpitala. Tutaj będziesz się tylko martwić.

Odwróciła się bez słowa i odeszła. Riley powiedział do mnie:

- Jeśli chciałbyś, abym cokolwiek zrobił, wystarczy, gdy mi szepniesz słówko. Jestem tu jedynym lekarzem, więc muszą być cholernie mili dla mnie. A na dobitkę jestem wciąż obywatelem Republiki Irlandzkiej i nie pozwalam, aby pewni ludzie o tym zapominali.

Popatrzył wilkiem na Radia i podążył za Simone. Niemiec uśmiechnął się.

- Irlandczycy to dziwny naród. Zawsze kipią ze złości z jakiegoś powodu.

Nie zadałem sobie trudu, by odpowiadać, a w tym samym momencie nadjechał motocyklista z jakimś meldunkiem dla niego. Odwróciłem się i zauważyłem, że przygląda mi się Ezra. Był z nim Niemiec w mundurze, wyraźnie wyglądającym na marynarski.

- Ezra - zawołałem. - Ezra Scully, ty stary diable! Jak się czujesz? To chyba już całe pięć lat.

Zagrał swoją rolę z zapalem, podszedł i uściśnął mi dłoń.

- Słyszałem, Owienie, że byłeś w tym oddziale - powie dział. - Wiem to od starszego sierżanta Steinera.

Kiwnąłem głową.

- Nie przypuszczałem, że cię tu jeszcze zastanę.

- Och, tak, potrzebowali pilota portowego, uważasz?

Ten tutaj to kapitan Warger, Wilhelm Warger, kapitan portu, choć teraz prawie nic mu nie zostało do roboty.

Skinałem głową Wargerowi, który uparł się, by uścisnąć mi dłoń.

- Miło mi pana poznać, pułkowniku Morgan - odezwał się precyzyjną, twardą angielszczyzną. - Widziałem pana nazwisko na tutejszej łodzi ratunkowej.

- Mego ojca - poprawiłem go i zwróciłem się do Ezry: - A więc ona wciąż tu jest?

Potwierdził poważnym ruchem głowy.

- W hangarze w Granville. Nie można jej wyprowadzić.

Lata temu ktoś zrzucił bombę na slip.

Nastąpiło niezręczne milczenie, aż u szczytu schodów ukazał się Fitzgerald. Miał minę zmęczoną, ale jak sądzę, z napięcia, a nie z wysiłku fizycznego. Gdy podszedł do mnie, przyłączył się Radl.

- Wszystko w porządku?

Fitzgerald, znużony, kiwnął bez słowa głową. Pozostali weszli z nabrzeża po schodach, za jego plecami, rangersi i Brandenburczycy razem, wszyscy prowadzeni przez Steinera.

Radl przyjrzał się im spokojnie, następnie powiedział do stojącego obok Brandta:

- Odwieziesz pułkownika Morgana i jego ludzi do fortu.

Nakarm ich, a następnie skieruj do roboty. Brygada drogowa będzie, jak sądzę, bardzo odpowiednia w tej chwili.

Było to dla nas wszystkich, ze Steinerem i jego Brandenburczykami włącznie, wskazówką. Zrozumieliśmy, na czym stoimy. Radl zaszutował mi sztywno, poszedł do swego mercedesa i odjechał.

Brygada drogowa

Pierwszy dzień pracy w brygadzie drogowej był ciężki dla wszystkich, a dla mnie najbardziej. Pobyt w szpitalu, miesiące lenistwa w Kornwalii kazały teraz za siebie płacić. Fizycznie nie byłem już w szczególnie dobrej formie, w przeciwieństwie do Fitzgeralda i jego rangersów, którzy świetnie sobie radzili z kilofem i łopatą przez dwanaście godzin dziennie.

Biorąc pod uwagę okoliczności, wszyscy oni czuli się wyjątkowo radośnie, a przyczyna była nader prosta. Żaden z nich, z Fitzgeraldem włącznie, nie wierzył ani przez chwilę, że egzekucje zapowiedziane przez Radla kiedykolwiek nastąpią. Wojna może się skończyć w każdej chwili i tylko szaleniec chciałby w tym stadium brać odpowiedzialność za czyn, który z całą pewnością oznaczałby wkrótce wyrok śmierci na niego samego.

Na podstawie tego, co wiedziałem o Radlu, to rozumowanie niezbyt mi przypadło do gustu. Uważałem, że наша największa szansa przeżycia wynika z faktu, iż było raczej nieprawdopodobne, aby nowy gubernator Olbricht kiedykolwiek przedostał się z Bretanii na St-Pierre poprzez blokadę, którą zastosowała obecnie marynarka wojenna.

Oczywiście zawsze istniała ewentualność ucieczki i przedyskutowano ją szczegółowo. Ale w tym momencie nie było większej nadziei na tę możliwość. Nie szło tylko o łańcuchy na nogach i nieustanną obecność zbrojnej straży. Wszystko wynikało z prostego faktu, że wyrwawszy się stąd, nie mieliśmy gdzie uciec. Na tak małej wyspie ukrywanie się było niemożliwe. O ile się orientowałem, całe to miejsce zostało przekształcone w niezdobytą fortecę, ze stanowiskami artylerii, karabinów maszynowych, z be tonowymi bunkrami różnych typów na każdym klifie i przyłądki. Od czasu naszego rajdu wszystkie posterunki podwojono.

Tak więc chwilowo pracowaliśmy, robiąc dobrą minę do złej gry, i czekaliśmy, aż coś się wydarzy. A w każdym razie ja czekałem, bo jakimś szóstym zmysłem wyczuwałem, że jesteśmy bliscy nowych zajęć, i żyłem nadzieją, węsząc w powietrzu, zerkając często na niebo, czując lekki, bolesny ucisk za oczami, byłem czujny jak każde zwierzę, wyczuwające pioruny za horyzontem. Ale nawet ja nie potrafiłem przewidzieć, w jak niezwykle sposób potoczą się wypadki.

Niezależnie od tego, co mówi kalendarz, nadejście wiosny nigdy nie zależy od daty. Dzień płynie za dniem, tak jak zawsze, świat czeka i nagle to następuje. Poranek, za który trzeba podziękować Bogu. Poranek błękitnego nieba, łagodnego powietrza, zapachów i dźwięków zapomnianych przez całą długą zimę.

Wiosną nie ma lepszego miejsca jak St-Pierre - z tarniną, obsypaną kwiatami niczym śniegiem w dolinkach, klifami porośniętymi białą firletką morską, zawciągiem i żarnowcem: gdy żółcienie, różowości i biele są tak jaskrawe, że na ich widok coś ściska za gardło.

Czwartego ranka, pracując na samym grzbiecie wyspy, z widokiem obejmującym większość jej powierzchni, cieszyłem się, że żyję i jestem sam na sam z tym pięknem - cieszyłem się w nowy i

niepokojący sposób. Być może spowodował to pobyt tutaj, w miejscu, które dla mnie pełne było wspomnień z dzieciństwa i wieku młodzieńczego; wspomnień, które kołysały mną jak wielkie morze, falujące w dole, i wnosiły na powierzchnię przelotne obrazy innego i różnego Owena Morgana, który żył tutaj tak dawno temu.

Zamachnąłem się nad głową dziesięciofuntowym młotem i opuściłem go z całej siły, rozbijając leżący przede mną kamień, a potem odpoczywałem przez chwilę, wierzchem dłoni ocierając pot z oczu.

Było nas tutaj trzydziestu. Resztę stanowili robotnicy Todta. Do tego pół tuzina saperów z pistoletami maszynowymi na naszą cześć; naszą, nie ich, bo zwykle robotników Todta nie pilnowano, w każdym razie nie na St-Pierre. Od wielu długich dni nie widziałem tak żalosnej gromady: odzież w strzępach, skóra na twarzy tak naciągnięta, że widać było dokładnie każdą kość.

Zresztą saperzy nie wyglądali także na szczególnie dobrze odżywionych, bo od czasu lądowania w Normandii żywności na Wyspach Normandzkich brakowało. Dowodził saperami sierżant nazwiskiem Braun, jeden z trzech, których widziałem, jak grali w karty z Ezrą w jego domku. Nie wiem, czy Ezra rozmawiał z nim o mnie, w każdym razie wychodził ze skóry, by być uprzejmym - on i jego ludzie traktowali nas z szacunkiem.

Droga miała biec trasą starego, wiejskiego traktu do punktu na wybrzeżu, poniżej Fortu Marie Louise. Zapewne istniały plany wybudowania tam nowego stanowiska ciężkiej artylerii. Trzeba było Niemcom przyznać, że pracowali do ostatka.

W południe nadjechał samochodem terenowym Steiner. Był w mundurze i miał na sobie płaszcz rosyjskiego oficera sztabowego, z futrzanym kołnierzem. Gdyby tu przybył pułkownik Radl, sierżant Braun nie mógł lepiej go przyjąć. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że w armii niemieckiej podoficerowie mieli znacznie wyższą pozycję niż w jakiegokolwiek znanej mi armii, nie było wątpliwości, że Steinera wszyscy traktowali z niezwykłym szacunkiem, włączając w to oficerów.

Wyciągnął kawałek papieru, który pokazał Braunowi. Ten natychmiast skinął głową, a Steiner podszedł do mego stanowiska pracy.

- Pułkowniku Morgan, pojedzie pan ze mną.

Fitzgerald odwrócił się nagle, oparł na łopacie, a pozostali rangersi, jak na komendę, zaprzestali pracy.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Fitzgerald.

W jego głosie był niepokój, i słusznie. Mógł przypuszczać, że zabierano mnie na przesłuchanie albo inne nieprzyjemności. Nic nie wiedział ani o moim spotkaniu z Simone, ani o szczególnych stosunkach ze Steinerem, a to z prostego powodu - wolałem mu o tym nie mówić. Jeśli nauczyłem się czegokolwiek na tej wojnie, to oczywistego faktu, że wszędzie i zawsze każdy człowiek ma granicę swej wytrzymałości. W Resistance mieliśmy jedną świętą zasadę, bardzo zwyczajną: nie możesz powiedzieć tego, czego nie wiesz. Jestem przekonany, że ocaliło to od zdrady mnóstwo istnień

ludzkich.

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedział Steiner.

Ja to wiedziałem. Kiwnąłem głową Fitzgeraldowi.

- Nie przejmuj się, majorze, wszystko będzie w porządku.

Na miejsce dla pasażera w volkswagenie wdrapałem się z trudnością z powodu moich łańcuchów. Steiner siadł za kierownicą i ruszył. Skierowaliśmy się na drogę do Diabelskich Schodów, którą przebyłem owej pierwszej nocy.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Simone chce się z tobą spotkać.

Zdałem sobie sprawę, że serce bije mi szybciej.

- Jak ci się to udało?

Wyciągnął papier z kieszeni i podał mi. Dowiedziałem się, że mam zostać oddany pod dozór starszego sierżanta Steinera, by pomóc mu kontrolować plażę, ze względu na moją znajomość terenu. Dokument był podpisany przez kapitana Heinza Schellenberga z Dwudziestego Pierwszego Pułku Saperów.

- Czy to autentyczne? - spytałem.

- Muszą mi wynajdywać codziennie coś do roboty.

Badam stan obronności wybrzeża, sprawdzam, gdzie wtargnęło morze. Czasami są zadania, które mogą wykonać tylko płetwonurkowie. W takich wypadkach wszelkie informacje na temat lokalnej sytuacji pływowej będą bezcenne, a ty możesz ich udzielić. Te wody są niezwykle niebezpieczne.

Powiedział to wszystko z absolutnie poważną miną, ja zaś spytałem:

- Schellenberg nabrał się na to?

- Pracował dla mego ojczyma - odrzekł spokojnie Steiner. - Wraz z połową, oceniając z grubsza, ludności Niemiec. Chciałby pracować dla niego znowu. Obawiam się, że pozwalam mu sądzić, iż mam jakieś możliwości w tym zakresie.

- A masz?

Uśmiechnął się.

- Tak długo, póki żyje moja matka. Jedyne przykłady dobrego smaku, jaki kiedykolwiek okazał,

polegał na tym, że się w niej zakochał i kocha ją w dalszym ciągu. Dla niej mnie znosi, wraz z takimi dziwactwami, jak odmówienie przyjęcia stopnia oficera. Natomiast mój Krzyż Rycerski wprowadził go w zachwyt, szczególnie gdy Hitler przysłał osobisty list z gratulacjami. Jemu, nie mnie.

- Wojna skończy się lada dzień - przypomniałem. - I twoja strona przegrała. Co mu teraz zostanie?

- To, co zawsze. Sporo milionów dolarów, złożonych w różnych bankach szwajcarskich, udziały za pośrednictwem kontrolowanych przedsiębiorstw w przemyśle większości krajów świata, w tym w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Cisi - dodał z niemałą ironią - posiadają Ziemię.

- Nie wyglądasz na bardzo wstrząśniętego.

- A powinienem? Kiedyś brałem to wszystko bardzo poważnie. Nie byłem nazistą - postaraj się nie śmiać - ale byłem Niemcem, a mój kraj toczył wojnę. Moi przyjaciele stawiali czoło większym niebezpieczeństwom, nieraz ginęli.

Ja załatwiłem sprawę kompromisowo, przyjmując rolę szeregowca.

- Zabijając bez ponoszenia odpowiedzialności? - skomentowałem. - To też sposób.

- Nie pochwalasz go? - Wzruszył ramionami. - To bez znaczenia. Zgłosiłem się na ochotnika do Dywizji Brandenburskiej, bo działanie w oddziałach specjalnych wydawało mi się jakimś rozwiązaniem. Ryzykuje się częściej, a to, czy się przeżyje, zależy i tak od przeznaczenia. Czy to ma sens?

- Myślę, że tak, ale sądząc z tego, co mówisz, masz takiego samego fioła, jak ja.

- Dokonałem odkrycia, które dla mnie było absolutnie zdumiewające - powiedział. - Ludzie umierają, zostają ranni lub dotknięci kalectwem na całe życie, a decydują o tym te same powody, które sprawiają, że deszcz leje codziennie, przez dwa tygodnie, akurat wtedy, gdy spędza wakacje jakieś biedaczysko. Człowiek oszczędzał przez cały rok pracy, ciesząc się z góry na myśl o tych wakacjach.

A sprawy dzieją się, bo się dzieją. Bez przyczyny. Bez żadnej przyczyny.

- Alles ist verriickt - zacytowałem cichym głosem. - Wszystko jest szaleństwem. Wszystko poszło w diabły.

Myślę, przyjacielu, że trochę tego ruskiego mrozu wlało ci do mózgowicy.

Jego twarz - jak powinienem ją opisać? - nagle stała się pusta.

- Więcej - odrzekł gorzko. - Ten mróz dotknął mego serca, Owenie Morgan, a to jest śmierć za życia. Czy widziałeś chodzące trupy? - Zadrżał. - Czy którykolwiek z nas, którzy tam byli, kiedykolwiek zapomni Rosję?

Staął między nami cień, którego przez jakiś czas nie dało się odpędzić. Kontynuowaliśmy jazdę w milczeniu.

Od tego dnia La Grandę Bay stała się dla mnie Zatoką Steinera i przez wszystkie następne lata nie potrafiłem inaczej o niej mówić.

Leżała pod trzystustopowymi klifami - podkowa białego piasku, ześlizgującego się do zielonobłękitnej wody. Za nią błyszczało w słońcu parę skalistych wysepek. Wodorosty u stóp klifów jeszcze były mokre, bo trwał odpływ.

Docierało się do niej wąską, odpowiednią tylko dla kóz, ścieżką, zygzakującą po licu klifów. Nie było to miejsce dla bojaźliwych. Zahamowaliśmy o stopę czy dwie od tablicy ostrzegającej przed minami...

- Dokąd idziemy? - zapytałem.

- Wsiadaj, pokażę ci.

Widok ze skraju klifu zapierał dech w piersiach. Po wodzie skakały iskierki słońca, a niżej, po drugiej stronie drutów kolczastych, biały piasek spływał do morza, z którym nawet Śródziemnemu trudno byłoby rywalizować.

W dole pływała Simone; w każdym razie zakładałem, że to jest Simone. Odwróciłem się i pokazałem palcem tablicę ostrzegawczą.

- A co z tym zrobimy?

Steiner uśmiechnął się.

- Oficer saperów, któremu w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku powierzono zaminowanie, tak zakochał się w tej plaży, że nie mógł znieść myśli o jej minowaniu. Aby zachować pozory, postawił tę tablicę i przeciągnął druty kolczaste. Zawsze tu przychodził na poranne pływanie, a pewnego wieczoru upił się i zdradził Eyrze Scully'emu swój wstydlivy sekret, on zaś, będąc w jakimś stopniu moim przyjacielem, powiedział mi o tym.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, a gdy zrobił zdziwioną minę, opowiedziałem mu. On także się uśmiechnął.

- No, to w jakiś sposób przywraca mi wiarę w naturę ludzką. Zejdziemy teraz?

Niezdarnie przełożyłem nogi na ziemię, on zaś obszedł samochód, wyciągnął klucz, przyklęknął i otworzył moje kajdany.

- Lepiej trzymaj je przy sobie - powiedział krótko.

Nie było nawet mowy, by prosił mnie o danie słowa.

Myślę, że taką sytuację uważałby za obraźliwą. Lubiłem go za to, ale wówczas zacząłem już go lubić za całą masę rzeczy.

Od czasów mojej młodości, gdy dla dobra turystów zbudowano w najbezpieczniejszych miejscach betonowe schodki, stan ścieżki bardzo się pogorszył. Teraz nawet beton skruszył się i całe odcinki przestały istnieć, więc iść trzeba było naprawdę ostrożnie.

Wysoko na niebie krzyczały mewy, wzlatując i opadając gromadnie z miejsc gniazdowania na półkach klifów, a niżej przybój wrzał jak biały dym. W pół drogi zatrzymałem się, by popatrzeć na Simone. Miała na sobie czarny kostium kąpielowy, a długie, czarne włosy skryła pod czepkiem; dlatego unosząc się na falach przyboju, mogła być jakąś legendarną bestią morską, pół foką i pół kobietą.

- Wspaniała dziewczyna, prawda? - powiedział za moimi plecami.

Odwrociłem się i zapytałem, jasno stawiając sprawę:

- Kochasz ją, prawda?

- Ależ oczywiście. Jakże mogłoby być inaczej?

- A ona?

- Sądzę, że zbyt mocno trzyma się dawnej lojalności. - Uśmiechnął się. - Ale ty znów mógłbyś powiedzieć, że jestem uprzedzony.

- Delikatnie mówiąc - zauważyłem i znów ruszyłem na dół.

Powinienem być złościć się lub przynajmniej trochę przerazić jego pewnością siebie, jeśli już nie z innych powodów. Cały kłopot z tym, że lubiłem tego człowieka, co stawiało mnie w trudnej sytuacji. A Simone? Czego chciała? Czego naprawdę chciała bardziej niż czegokolwiek innego na świecie?

Z ostatnich kilku stóp zeskoczyłem na miękki piasek i poszedłem plażą. Simone płynęła na kolejnej wielkiej fali z głową opuszczoną i rękami wyciągniętymi przed siebie. Znikła w kłębowisku piany, która cofając się, złożyła ją na brzegu.

Zerwała się ze śmiechem na nogi i, nim następna zdołała ją pochwycić, pobiegła plażą, ściągając czepkę kąpielowy. Gdy go zdjęła, czarne włosy opadły zasłoną po obu stronach jej twarzy.

Ujrzawszy mnie, zatrzymała się na chwilę, a potem uśmiechnęła i podeszła z wyciągniętą ręką.

- Och, Owenie, jak się cieszę, że się znów spotykamy.

Jej radość wyglądała na dosyć prawdziwą, ale kiedy pochyliłem się, by ją lekko pocałować w czoło, prawie niedostrzegalnie zeszytniała.

Na skale o parę jardów dalej leżał jej ręcznik wraz ze starym płaszczem plażowym. Naciągnęła go i zaczęła wycierać nogi.

- A więc Manfredowi udało się wreszcie?

- Wygląda, że on naprawdę ma tu jakieś wpływy - powiedziałem.

Kiwnęła głową.

- W większości wypadków tak, ale tym razem nie byłam zbyt pewna. Obawiałam się, że Radl będzie robił trudności.

- O ile mi wiadomo, nie ma on o tym zielonego pojęcia. - Odwróciłem się, szukając Steinera, i nie znalazłem go. - Gdzie on się podział?

- Wyciąga swe przybory do malowania z jednej z jaskiń.

Umieścił tam na stałe sztalugi.

- Więc tak dużo maluje?

Kiwnęła głową.

- Szczególnie w tym miejscu. Uwielbia je.

- Między innymi.

Zasepiła się i miała minę nie tylko niepewną, ale wprost nieszczęśliwą. Moje serce wyrywało się do niej. Wyciągnąłem mą starą, wierną, wodoszczelną puszkę na papierosy. Używałem ich bardzo oszczędnie i jeszcze trzy mi zostały.

- Zupełnie się mną nie przejmuj, to była długa wojna.

Poczęstuj się.

Podsunałem jej puszkę. Zajrzała do środka i potrząsnęła głową.

- Wypalę jednego na spótkę z tobą.

To było nader koleżeńskie z jej strony. Spomiędzy wielkich głazów, zalegających podstawę klifu, ukazał się Steiner niosący sztalugi i drewniane pudło. Patrzyłem, jak rozstawia swe rzeczy, i nagle, jakby z uczuciem nostalgii, przypomniała mi się Mary Barton i owa plaża koło Lizard Point. Kochana Mary. Zastanawiałem się, co też robi w tej chwili. Być może opłakuje biednego Owena Morgana, bo Henry, tego byłem pewien, już musiał ją do tej pory odwiedzić, przynosząc złe nowiny.

Simone sięgnęła po mego papierosa i głęboko wciągnęła dym. Oddała mi go z poważną twarzą.

- Czy to jest bardzo ciężkie, Owenie?

- Brygada drogowa? - Pokręciłem głową. - Strażnicy zachowują się całkiem przyzwoicie. Dziś dowodzi nimi sierżant saperów nazwiskiem Braun. Jego zmiennikiem jest sierżant Schmidt. Obaj są kumplami Ezry.

Uśmiechnęła się na chwilę.

- Tak, wiem, są tutaj już od czterech lat.

A potem zapadło między nami milczenie. Leżałem na plecach, patrzyłem w bezchmurne niebo i paliłem papierosa. Po chwili odezwała się z wahaniem:

- Wszystko dobrze się skończy, Owenie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Doprawdy?

- Oczywiście, że tak - odparła z entuzjazmem. - Manfred mówi, że Radl jest człowiekiem żyjącym wedle przepisów. Jeśli coś jest w regulaminie, on to robi, ale jeśli nie ma...

- Poczieszająca myśl.

Być może mój głos był pełen sceptycyzmu, bo opadła na piasek koło mnie i powiedziała z naciskiem:

- Ależ to prawda. W każdym sektorze tylko komendant ma prawo wykonać Kommandobefehl, a Radl pełni jedynie obowiązki gubernatora. Według BBC wojna może się skończyć w każdej chwili. Rosjanie walczą na przedmieściach Berlina. Olbricht nigdy tu nie dotrze.

- Przypuszczam, że to także powiedział ci Steiner?

Zaczęła marszczyć brwi, następnie opanowała się, w oczywisty sposób dokonując wielkiego wysiłku, by stawić czoło memu rozdrażnieniu.

- Nawet jeśli Olbricht się tu przedostanie, w tej fazie wojny nigdy nie zarządzi takiej egzekucji. To by było nie do pomyślenia.

- Znów Steiner? - zapytałem.

Zamierzyła się na mnie na ślepo, musiałem chwycić ją za nadgarstki, by się obronić.

- Do diabła z tobą, Owenie Morgan! - wściekła się, po raz pierwszy stając się znów dziewczyną, jaką znałem przed wojną. - Idź do diabła, do samego piekła! Dlaczego teraz tu wróciłeś? Czemu nie mogłeś poczekać?

- Czy nie chcesz przez to powiedzieć: po co w ogóle wróciłem? - Wstałem i siłą postawiłem ją na nogi. - Zakochałaś się w nim, prawda? Na litość boską, bądź uczciwa w tej sprawie.

Popatrzyła mi w oczy. Usłyszałem dolatujące skądś wołanie Steinera. Nagle zaśmiała się dziko.

- Dobrze, jeśli chcesz znać prawdę. Zakochałam się w Manfredzie, a ciebie się boję... Ciebie i twego przekłętą noża i tego, czym się stałeś. Myślę o tych dwóch nieszczęsnych wartownikach, których zabiłeś, i czuję, że cię nienawidzę, a potem wyrastasz ot tak, słyszę twój głos i przypominam sobie tyle rzeczy, a miłość przebija się przez cały lęk i nienawiść. - Teraz już płakała. - A więc wciąż cię kocham, Owenie, i to jedyne, od czego nie potrafię uciec.

Kocham ciebie i kocham Manfreda. A teraz co zaproponujesz, abym z tym zrobiła?

Odwróciła się, pobiegła i pędziła przed siebie, unikając wyciągniętej ręki Steinera, aż dotarła do wejścia na ścieżkę i zaczęła się wspinać.

- Co, tak źle poszło? - zapytał.

- A czy cokolwiek miało pójść dobrze?

Zmarszczył brwi i po raz pierwszy, od chwili gdy go poznałem, wyglądał tak, jakby miał się rozżłościć. Uniosłem! między nami rękę i ciężko westchnąłem.

- Zapomnij, że to powiedziałem. Miałeś dobre zamiary, i Czego chciałeś dokonać, największego poświęcenia w życiu?

- Czegoś w tym rodzaju. - Uśmiechnął się przelotnie, a potem znów spoważniał. - Co ją tak wytrąciło z równowagi?

- To, że doszła do wniosku, iż jest zakochana w dwóch mężczyznach naraz.

- A ty w to wierzysz?

- Ona wierzy i tylko to jest ważne. Kocha ciebie i równocześnie kocha mnie, a jeśli to dla ciebie za mało skomplikowane, to także boi się mnie... to znaczy mnie i mego noża.

W jego oczach pojawiło się coś na kształt rozbawienia, a nawet więcej - pewien rodzaj ulgi.

- Rozumiem.

- Jeśli rozumiesz, jesteś lepszy ode mnie - odrzekłem kwaśno i podszedłem do jego sztalug.

Pracował nad widokiem wschodniego cypla i odległej o sto jardów, wystającej z morza ostrej skały, ulubionego miejsca gnieźdzenia się maskonurów. Nie było żadnego wstępnego szkicu ołówkiem ani węglem. Cały obraz tworzony był wyłącznie farbami, delikatnie kładzioną akwarelą o przechodzących jedne w drugie kolorach, a morze było wyjątkowo pięknie oddane. Cały obraz tchnął prawdziwym uczuciem i bardzo przypominał mi prace mego ojca, podobnie jak portret Simone.

- Podoba mi się, jak oddajesz to wzajemne przenikanie kolorów - powiedziałem. - Przybój ma

około dwudziestu siedmiu odcieni bieli, a ty uchwyliłeś wszystkie. Mój ojciec namalował widok portu i falochronu z przelewającym się przezeń morzem i zastosował tę samą technikę. O ile pamiętam, kupił to ojciec Simone.

- Wciąż wisi na ścianie gabinetu w Seigneurie - od rzekł - chociaż Patrick Riley ma tam obecnie swoje biuro.

Przyglądałem się tej pracy po wielekroć. Uważam, że z niej nauczyłem się więcej o technice akwareli, niż przez cały czas studiów w Londynie i Paryżu. Twój ojciec był mistrzem. Wielkim mistrzem.

Dziękowanie mu za te słowa byłoby całkiem zbyteczne. Usiadł przy sztalugach i powrócił do pracy, ja położyłem się w słońcu i rozmawialiśmy o moim ojcu i malarstwie, malarstwie i sztuce w ogóle, kobietach i picciu oraz o większości rzeczy, które mieszczą się między tymi tematami.

Zdaje mi się, że przez całe lata nie rozmawiałem z nikim w taki sposób, bo przy moich zajęciach bliskie stosunki były niepożądane. Sprawiało mi przyjemność to leżenie na słońcu, a po chwili on chyba przestał mówić, a ja zapadłem w sen.

Wysoko nad moją głową zakrzyczała mewa, ostro, nalegająco.

Poderwałem się, wzdrygnąwszy. Nigdzie nie było Steinera. Przez chwilę miałem dziwne, przejmujące chłodem uczucie, że to mogło być snem, że znów znajdowałem się na plaży czasów dzieciństwa, a wszystko inne było tylko wspomnieniem z mglistego świata zwidów. A wtedy z jaskini za skałami wynurzył się Steiner i zdałem sobie sprawę, że po prostu odkładał sprzęt na miejsce.

- No, obudziłeś się? Czas wyruszyć.

- Dziękuję za przyjęcie - powiedziałem. - Rozmowa była bardzo przyjemna. A jeśli idzie o tamtą sprawę... po prostu pomódlmy się za twoje dobre intencje i zostanmy przy tym.

Nie odpowiedział. Prawdę powiedziawszy, nie dałem mu żadnej możliwości po temu, bo odwróciłem się, poszedłem na początek ścieżki i zacząłem wdrapywać się do góry.

Było to cholernie trudne, ale właściwie tego nie zauważyłem, bo myśli miałem zajęte czym innym. Steinerem, bo go lubiłem, i Simone, bo ją kochałem. Jediną trudnością było poradzenie sobie z praktycznie niemożliwą sytuacją, wynikającą z dowolnej kombinacji naszej trójki.

Dotarłem do szczytu klifu w samą porę, by zauważyć sztabowego mercedesa, wyłaniającego się zza grzbietu, o jakieś pięćdziesiąt jardów, i zatrzymującego koło wozu terenowego. Steiner był jeszcze o dwadzieścia czy trzydzieści stóp niżej, więc dałem nura, by się ukryć, i zsunąłem się aż do niego.

Przeciągnąłem łańcuch moich nożnych kajdan przez pas i szybko go odpiąłem.

- Nałóż mi je natychmiast - rozkazałem gwałtownie. - Radl właśnie nadszedł na górę. Lepiej

bądź przygotowany na odegranie przedstawienia.

Wspólnie nałożyliśmy nożne kajdany w ciągu kilku sekund; zapiął je pośpiesznie. Podniosłem się i ledwie zacząłem wspinać, gdy zza krawędzi klifu ukazał się Radl. Miał przy sobie jak zwykle ochronę - kilku spadochroniarzy SS. Towarzyszył mu Schellenberg, wyglądający na wyraźnie zaniepokojonego.

- Dzień dobry, Radl! - zawołałem wesoło.

Zignorował mnie i zwrócił się do Steinera:

- Co to ma znaczyć? Przybywam, by sprawdzić pracę brygady drogowej, i dowiaduję się, że pułkownik Morgan jest nieobecny, oddany pod pański dozór.

- Na Boga, ależ to robota, wciągać się po ścieżce w tym cholernym żelastwie - zauważyłem.

Radl znów mnie zignorował, a Steiner szybko odpowiedział:

- Zgadza się, mam wymagany formularz, podpisany przez kapitana Schellenberga.

Schellenberg miał chudą twarz, był w średnim wieku siwiejącym mężczyzną, nosił okulary w stalowej oprawie i wyglądał tak, że pomyślałem, iż przed wojną mógł być kierownikiem jakiegoś biura. Potrafiłem go sobie wyobrazić, jak stoi przy biurku pełen łęku, drżący, za każdym razem, gdy ojczym Steinera wizytuje fabrykę. Nie mógł wówczas sprawiać wrażenia kogoś bardziej zaniepokojonego niż teraz.

- Starszy sierżant Steiner zapewnił mnie, że niezbędna mu jest wiedza pułkownika Morgana o lokalnych warunkach terenowych. - Z trudem przełknął ślinę, może zdawszy sobie po raz pierwszy sprawę, jak nieprzekonywająco brzmi ta historyjka. - Coś w związku z umocnieniem na plaży.

- Cały kłopot z tym - dodał ochoczo Steiner - że wyjątkowo silny prąd, pojawiający się w zatoce wraz z Mill-Race, przez te lata praktycznie wymył miny z plaży, ale muszą się znajdować gdzieś głębiej. A teraz nadchodzą wiosenne sztormy, które bynajmniej nie poprawią sytuacji.

- Jest to sprawa wiedzy o przebiegu prądu - wtrąciłem się, śpiesząc z potwierdzeniem. - Zakrzywia się w stronę plaży, a potem znów na zewnątrz z wyjątkową siłą. Gdy byłem chłopcem, znajdowaliśmy tam pod cyplem podczas odpływu wielką ławicę ostryg. Wydaje mi się, że teraz znalazłoby się więcej min niż kamieni.

- Pomagać nieprzyjacielowi, pułkownikowi Morgan? - powiedział. - Dziwne zachowanie, jak na oficera brytyjskiego.

- Wręcz przeciwnie. Zgodziłem się doradzić Steinerowi w tej sprawie z przyczyn humanitarnych. Wojna, jeśli pan tego nie zauważył, pułkownikowi Radl, w najbliższym czasie skończy się całkowicie. Te miny staną się zagrożeniem dla wszystkich.

Zapadła złowieszcza cisza i przez kilka chwil wszystko wisiało na włosku. A gdy Radl przyjął

nasze wyjaśnienie, nie mogłem w to całkowicie uwierzyć, bo wiedział, że kłamiemy i że prawda jest zupełnie inna. Teraz sądzę, że miał w tym jakiś tajemniczy cel, wymierzony nie we mnie, lecz w Steinera.

- To bardzo chwalebne z pańskiej strony, pułkownika Morgan. - Kiwnął głową i zwrócił się do Steinera: - Jeśli wasze zadanie tutaj zostało zakończone, odwieziecie pułkownika do brygady drogowej. - Zrobił wraz z innymi ruch, jakby chciał odejść, ale zatrzymał się i zwrócił do mnie. - Mieli przerwę na posiłek, gdy byliście tutaj, pułkowniku. Obawiam się, że nie będzie pan miał szczęścia.

A wtedy własne słowa rozbawiły go. Śmiał się, wsiadając do mercedesa i odjeżdżając.

- Ten gość naprawdę zaczyna mnie niepokoić - powie cicho Steiner.

- Jaką grę prowadzi? - zapytałem. - Nie uwierzył nam ani na chwilę.

- Idzie o mnie - odparł Steiner. - Chce mnie widzieć łamanego kołem. Musi to być coś specjalnego. Zadowolony go tylko to, co najlepsze.

- Czy osiągnie to, czego pragnie?

Gdy uśmiechnął się w odpowiedzi, wyglądał tak niebezpiecznie, jak tylko człowiek może wyglądać.

- Co by to był za dzień, Owene Morgan - powiedział cicho. - Zaiste, to byłby ów dzień.

Wyjął z kieszeni dłoń. Trzymał mój nóż. Nacisnął sprężynę zwalnającą ostrze, przyglądał mu się przez chwilę, a potem cisnął mi go pod nogi. Podniosłem.

- Czy jesteś pewien - spytałem - że chcesz, abym go miał? W pewnym momencie może dojść do tego, że zechcę go użyć.

Nie mogłem po nim poznać, czy usłyszał, ale zadrżał i popatrzył na niebo.

- Pogoda wkrótce się załamie. Czuję to w kościach.

- Te wiosenne sztormy, o których wspomniałeś Rad lowi? - zapytałem z uśmiechem.

Ale on się nie uśmiechnął. Lekki wietrzyk poruszył trawę, a mnie nagle przejął ziąb, przejął do szpiku kości. Steiner odwrócił się i ruszył przed siebie bez słowa, a ja jego śladem.

Ręka Boga

Gdy patrzę na to w miarę upływu czasu, dochodzę do wniosku, że nie byłoby sprawiedliwie twierdzić, iż Fitzgerald mnie nienawidził, czy choćby nie lubił. Sądzę, że istota rzeczy była o wiele bardziej skomplikowana. Mówiąc prostymi słowami, on mnie zwyczajnie nie mógł zrozumieć. Moje pochodzenie, moja postawa życiowa, stosunek do wojny, do wszystkiego, co się wokół mnie działo, było kompletnie obce jego osobistemu światopoglądowi. Nie istniał wspólny punkt widzenia, który mógłby nas połączyć.

Uważałem, że jest to godne ubolewania, ponieważ Fitzgerald z rozmysłem robił się każdego dnia bardziej lodowato uprzejmy. Sądzę, że traktował to jako część swego prywatnego męczeństwa, męczeństwa człowieka schwytanego w pułapkę przez świat, którego nie rozumiał. Dlatego w rozmowie nigdy nie zaniedbywał zwracania się do mnie „sir” i zawsze podporządkowywał się memu zdaniu, nawet w najbliższych sytuacjach. Oczywiście sierżant Hagen i Wallace, wprawdzie nie rozumiejąc, o co chodzi, poszli za jego przykładem, a to wcale nie pomagało!

W przypadku Granta sprawa była znacznie mniej skomplikowana. Nienawidził mnie za upokorzenie, jakim była jego porażka podczas naszego pierwszego spotkania, i to go ciągle nurtowało. Ponadto żywił, jak uważam, autentyczną pogardę do wszystkich ludzi niskiego wzrostu. Często to spotykałem u ludzi jego pokroju.

Sytuacji bynajmniej nie polepszył fakt, że w następnych dniach pracowaliśmy ze Steinerem i jego Brandenburczykami. Zwykle Steiner korzystał z okazji, by pomówić ze mną na boku, a sądzą, że Fitzgerald w jakimś stopniu reagował na to podejrzliwością. Nie. Być może, myśląc tak, nie jestem w stosunku do niego sprawiedliwy. Raczej bliższe prawdy byłoby powiedzenie, że tych rozmów nie aprobował. Współpraca z Brandenburczykami na nabrzeżu nastąpiła pod wpływem chwilowego impulsu, którego po namyśle prawdopodobnie pożałował, choć podejrzewam, że winą całkowicie obciążył Radla. Sposób, w jaki Niemiec pokierował wydarzeniami w porcie, szantażowanie groźbami pod adresem robotników Todta, wszystko to naprawdę wzbudziło obrzydzenie w Fitzgeraldzie, tak bardzo bowiem było obce jego naturze i światopoglądowi.

Być może jego postawa wobec mnie była w rzeczywistości jakąś próbą odcięcia się od tej całej niesmacznej sytuacji, która w żaden sposób nie godziła się z jego rozumieniem wojny. Po raz pierwszy ujrzał na chwilę jej ciemną stronę i cofnął się przed tym obrazem. Po prostu nie chciał o nim wiedzieć. Myślę, że to wyjaśnia, dlaczego znów tak wspaniale ożywił się, by stawić czoło wyzwaniu, prawdziwie godnemu uwagi wyzwaniu wypadków, które nastąpiły później.

Natomiast coraz wyraźniej zauważyłem, że Steiner ma wyjątkową pozycję w całym niemieckim garnizonie, zarówno wśród oficerów, jak i zwykłych żołnierzy. U niektórych - zapewne w większej mierze u oficerów - magiczny skutek wywoływało zazwyczaj nazwisko jego ojczyma, ale to nie dotyczyło szeregowych. Na nich działała sama jego osobowość, legendarne męstwo, sprawy nie do naśladowania, jak jedwabny szalik, który zawsze nosił zawiązany na szyi, by zakryć swój Krzyż Rycerski.

A rozmawiając po niemiecku z saperami, z sierżantami Braunem i Schmidtem, którzy przynosili mi od Ezry prezenty w postaci okropnych francuskich papierosów, zdałem sobie sprawę, że są jeszcze inne względy. Oni widzieli instalację „Czarnuch” w działaniu, widzieli Steinera i jego ludzi wyprawiających się nieustannie na morze na niewiarygodnych, domowego wyrobu podwodnych rydwanach. Widzieli, jak grupa kurczy się liczebnie dzień po dniu. Ostatecznie odwaga nigdy nie wychodzi z mody.

Być może Radl nie mógł znieść tego jawnego pochlebiania Steinerowi, a może zwyczajnie go nie lubił. Było też prawdopodobne, że Steiner godził w jego poczucie porządku. Poczucie tego, co właściwe. Powinien być zostać oficerem i uparł się, że nie będzie. Był dżentelmenem, który wolał służyć w szeregach. Żaden starszy sierżant na całej kuli ziemskiej nie miał prawa być tym, czym był Steiner.

Gdy pracowaliśmy pod strażą Steinera i jego ludzi, wielokrotnie pojawiał się Radl w swym sztabowym mercedesie, otoczony uzbrojonymi po zęby zbirami z SS. Zwykle przywoływał Steinera i wypytywał, co się tu dzieje, i zawsze można było wyczuć pod powierzchnią konwencjonalnych wojskowych grzeczności istniejące między nimi napięcie.

Sprawa doszła do punktu kulminacyjnego w sposób jawny dla całego świata w dniu pierwszego maja. Nikt z nas nie wiedział wówczas, jak bliskie jest zakończenie wojny, choć pewna wiedza o rozwoju sytuacji w Europie przenikała niemal do wszystkich, i to nie tylko za pośrednictwem nielegalnego radia Ezry Scully’ego. Żołnierze z niemieckiej jednostki łączności, stacjonującej w domu tuż przy Platzkommandantur w Charlottestown, ponosili za to nie mniejszą winę, choć w tej fazie wojny żołnierz złapany na słuchaniu BBC i przekazywaniu jej wiadomości, ryzykował szybką egzekucję.

Ale na St-Pierre wszystko toczyło się ustalonym trybem, ciągle budowano umocnienia, kładziono miny, jak na wszystkich pozostałych wyspach archipelagu, bo dowódca tego obszaru trwał w zamiarze prowadzenia walki jeszcze długo po zakończeniu wojny w Europie.

Jak już powiedziałem, pierwszego maja, a o ile pamiętam, był to wtorek, zabrano nas do Granville i zaprzęgnięto do pracy poniżej stanowiska łodzi ratunkowej. Gdy przybyliśmy tam, na miejscu było już ze dwudziestu robotników Todta, a wkrótce pojawił się Steiner ze swoimi Brandenburczykami. Obszar poniżej hangaru, wraz ze slipem, zbombardowano, jak mi to powiedział pierwszej nocy Ezra, a nasze zadanie polegało na splantowaniu terenu, gdzie miał być zbudowany nowy bunkier.

Po drugiej stronie drutów pracowali Brandenburczycy, zakładając dodatkowe miny, choć plaża już wyglądała na śmiertelną pułapkę. To mnie nie zdziwiło, bo tamto miejsce należało do nielicznych na wyspie, gdzie można było wyładować pojazdy wojskowe z jednostek desantowych.

Właśnie jeden z robotników Todta, nagle wrzeszcząc, podniósł pierwszy alarm. Uniosłem głowę i zobaczyłem w wodzie, o jakieś sto jardów od brzegu, człowieka dryfującego bezradnie w nadmuchiwanej kamizelce ratunkowej. Przyptyw miał już szybkość czterech, może pięciu węzłów, a człowiek został w oczywisty sposób przyniesiony tutaj prądem zza przylądka. Mogło się zdarzyć, że

prąd znowu wyniesie go na morze na drugim skraju zatoki, więc należało się śpieszyć. Z Granville niczego nie można było przedsięwziąć z powodu umocnień na plaży. W tym momencie ze swego domu wynurzył się Ezra, zainteresowany całym tym zamieszaniem.

Ocecił sytuację jednym spojrzeniem i odezwał się do Steinera:

- Najlepiej wziąć pilotówkę z Charlottestown, ale będzie mi potrzebna pomoc. Paru twoich chłopców, by mnie zawieźć wozem terenowym, a potem posłużyć jako załoga.

Steiner zawołał sierżantów Lanza i Schreibera, ale nim dał im jakiegokolwiek instrukcje, w wąskiej uliczce pojawił się sztabowy mercedes i zahamował koło hangaru.

Radl zbliżył się i popatrzył na nieszczęśnika w zatoce.

- Kto to taki?

- Nie jestem pewien - odparł Steiner. - Zapewne lotnik.

Zdaje się, że ma na sobie kurtkę lotniczą. Wysłałem Lanza i Schreibera z panem Scullym, by wyprowadzili pilotówkę.

- Steiner, chwilami naprawdę doprowadzasz mnie do rozpacz - westchnął Radl. - Jak często mówiłem ci, że moja jurysdykcja nie sięga poza wejście do portu? Wszyst ko, co dzieje się poza falochronem, jest sprawą marynarki wojennej.

Z prawnego punktu widzenia miał rację, ale ta niewiarygodna postawa nie mogła być jedynie wynikiem działania wojskowego umysłu, który potrafi zachować się tylko zgodnie z przepisami. Nie sądzę nawet, by Radl był osobnikiem szczególnie krwiożerczym. Prawdziwą przyczyną było to, że znowu starał się dobrać do Steinera, próbując podbechtać go do działania, do niewłaściwego działania.

Steiner odpowiedział mu całkiem spokojnie.

- Z całym szacunkiem pozwalam sobie przypomnieć panu, że operacja „Czarnuch” podlega bezpośredniemu dowództwu Grupy Zachód Marynarki Wojennej.

- Mój drogi Steinerze. Plan Czarnuch już nie istnieje.

Ty i twoi żołnierze znów należycie do armii lądowej. Ten argument już zupełnie nie chwyta.

Zapanowało złe milczenie. Nikt nie zabrał głosu, nikt w ogóle. Ja zaś usłyszałem, jak Hagen szepcze do Fitz-geralda:

- Na litość boską, sir, co tu się dzieje? Czy nikt nie zrobi nic dla tego nieszczęśnika?

Fitzgerald nie zwrócił na niego uwagi i przysunął się do mnie. Twarz miał białą, oczy znieruchomiałe z dzikim wyrazem. Widać było, że przeżywa głęboką rozpacz.

- Czy może pan coś zrobić? Wydaje się, że w większości wypadków ma pan tu coś do powiedzenia.

Była to pierwsza tego typu uwaga, z jaką się do mnie zwrócił.

- Co by pan proponował? - zapytałem.

Myszę, że w tym momencie znenawidził mnie. Przez chwilę wydawało się, że mnie uderzy, ale pięść i but nigdy nie należały do jego uzbrojenia. Zamiast tego się odwrócił i zataczając podszedł do Radia, niemal tracąc równowagę, gdy źle ocenił długość swego kroku, a łańcuch napiął się.

- Pułkownik Radl - oświadczył wyraźną niemczyzną - muszę pana ostrzec, że mam poważny zamiar zameldować o pańskim zachowaniu w tej sprawie właściwym władzom przy pierwszej sposobności.

Radl zignorował go i przeszedł obok, jak gdyby major nie istniał. Wyjął papierośnicę, starannie wybrał papierosa, włożył go między wargi i zerknął na Steinera. Steiner wydobył zwykle używaną przez siebie zapalniczkę, zrobioną ze starej łuski karabinowej i podał mu ogień.

- Dziękuję, Steiner.

Zapanowała kompletna cisza, słychać było tylko gwizdanie wiatru w drutach. Chmury napływające zza horyzontu były szare i ciężkie od deszczu. Człowiek w wodzie poruszał się szybko, pochwycony prądem pływowym, który niośł go ku tamtej stronie zatoki. I nagle okazało się, że zupełnie zmienił kierunek. Wielkim łukiem zaczął przybliżać się ku brzegowi.

Ktoś głośno krzyknął, jeden z robotników Todta, jak sądzę, i w tym samym momencie wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech. Przyboju praktycznie nie było. Człowiek, płynąc po prostu z prądem, osiadł na mieliźnie około pięćdziesięciu jardów poniżej nas.

Był to lotnik, Steiner miał co do tego rację, ubrany w buty lotnicze i krótki kożuszek. Leżał na płyciźnie twarzą w dół, a potem odwrócił się na plecy.

- No proszę, Steiner, ręka Boga. Teraz rzeczywiście jest on problemem armii lądowej - oświadczył Radl.

Problem, to było właściwe słowo, bo czterdzieści do pięćdziesięciu jardów białego piasku po tamtej stronie drutów stanowiło śmiertelną pułapkę. Przypomniał mi się zimny poranek w Podkowie.

- Jakie ma pan dla mnie rozkazy, panie pułkowniku? - spytał Steiner.

- Mój drogi Steinerze - Radl uniósł brwi ze zdziwieniem - z pewnością tego rodzaju sprawy są twoją specjalnością? Nawet nie marzę o doradzaniu ci. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście nie mógłbym zgodzić się na jakiegokolwiek niszczenie systemu obronnego, jak to miało miejsce w Podkowie. Rozumiesz?

- Znakomicie. - Steiner strzelił obcasami. - Za pozwoleniem pana pułkownika.

Radl zasalutował mu niedbale, a Steiner podszedł do swych czterech zbitych w grupkę kolegów. Powiedział coś do nich, a oni zaczęli natychmiast poszerzać przejście przez druty, którego wcześniej używali. Steiner odwrócił się i podszedł do miejsca, gdzie stałem z Ezrą.

- To nie Podkowa, Owen. Przejście przez druty jest tutaj łatwe. Problemem jest sama plaża.

- On chce twojej skóry, Manfredzie - powiedział Ezra cichym, natarczywym głosem. - Nie pozwól mu na to.

Steiner uśmiechnął się swym dziwnym, nader ironicznym uśmiechem.

- Muszę wygrać lub przegrać według jego reguł, Ezro, czy tego nie widzisz? - Popatrzył na mnie. - Ty rozumiesz, Owenie, prawda?

Skinąłem głową.. - Co chcesz, abym zrobił?

- Jeśli umrę, przypilnuj, by on także. Czy mogę cię prosić o ten drobiazg?

- I o znacznie więcej - odrzekłem. - Z mojej ręki, i to dosłownie, to ci obiecuję.

- Powiedz Simone, że ją kocham.

To było stwierdzenie, nie prośba. Zawrócił na pięcie i podszedł do drutów. Brandenburczycy prawie skończyli. Lanz odciął ostatni segment i odwinął go do tyłu. Teraz dostęp do plaży był możliwy dwudziestostopową ścieżką, mającą trzy stopy szerokości.

Ale co Steiner robi? To pytanie wszyscy musieli sobie zadawać. Gdy przystąpił do działania, było ono tak absolutnie niewiarygodne, że jeszcze przez krótką chwilę trwała niesamowita cisza.

Steiner zapalił papierosa, kilka razy zaciągnął się głęboko, odrzucił go, a następnie poszedł przez druty w stronę plaży tak spokojnie, jakby to była przechadzka w parku niedzielnym popołudniem. Rozległy się mimowolne westchnienia okropnego lęku i okrzyki strachu w kilku językach. A potem, jak gdyby za wspólną zgodą, znów zapanowała głęboka cisza.

Szedł przez plażę równym krokiem, bez chwili wahania. Ezra kurczowo chwycił mnie za ramię i jęknął:

- To niemożliwe, Owenie. Na to trzeba cudu.

- Nie, tylko kurewskiego szczęścia - odrzekłem.

I będzie je miał, bo znów dostałem gęsiej skórki, poczułem nagłe zimno i w jakimś dziwnym jasnowidzeniu już wiedziałem, że on przeżyje. Wszyscy trochę pożyjemy, bo przed nami jeszcze gruba gra.

A później, gdy zbliżał się do wody i wszyscy patrzyliśmy na jego plecy, nikt nie wydał nawet dźwięku. Dotarł do lotnika i przyklęknął przy nim na jedno kolano. Usłyszałem za sobą suchy szloch,

a odwróciwszy się zobaczyłem, że Hagen przeżegnał się, a twarz miał błyszczącą od potu.

- Na twoim miejscu, chłopcze - powiedział mu Grant - nie przestawałbym oddychać. On do nas wróci.

Steiner już przerzucił lotnika przez ramię, przytrzymał go chwytem strażackim i odwrócił się wprost do nas. Z tej odległości nie mogłem dostrzec wyrazu jego twarzy, a przecież było tak, jakbym ją widział. Zerknąłem na Radla, czekającego z uśmiechem na ustach, a potem, powłócząc nogami, podszedłem do samego skraju drutów i przyłożyłem dłoń do ust.

- Chodźże, Manfredzie! - zawołałem po angielsku. - Wyciągnąłeś fula od asów.

Ruszył ku nam, zwolnionym krokiem wskutek ciężaru na barkach, ze stopami zapadającymi się głęboko w miękki piasek. Za mną potoczył się tłum: żołnierze, robotnicy Todta, rangersi, Brandenburczycy, wszyscy razem. Teraz zamiast ciszy słychać było szepty.

Skądś usłyszałem nadjeżdżający samochód, ale nie spuszczałem Steinera z oczu. Tłum poruszył się, a za moimi plecami odezwał się Paddy Riley:

- Święta Matko Boża.

I nagle znalazła się przy mnie Simone, uczepiona mego ramienia, z pobielającą twarzą.

- Ktoś zadzwonił do szpitala ze stanowiska artylerii - powiedziała. - Przyjechaliśmy ambulansem.

- Przepuście ich, do jasnej cholery! - wrzasnął Riley okropną niemczyzną i tłum rozstąpił się przed dwoma sanitariuszami, niosącymi nosze.

Steiner był tylko o piętnaście, może dwadzieścia jardów od nas. Nagle się zatrzymał, robiąc absolutnie obojętną minę, z prawą stopą uniesioną. Nie było w tym nic dziwnego, bo gdy miękki piasek się osypał, zobaczyliśmy, że trzyma ją na minie. Ktoś w tłumie zakrzyczał przeraźliwie, a potem wybuchła panika. Ludzie odwracali się pełni lęku, niektórzy rzucali się na piasek, by uniknąć podmuchu eksplozji, na którą wszyscy czekali.

Nie nastąpiła. Steiner pozostał na miejscu w niepewnej równowadze, z wyrazem napiętego skupienia na twarzy, ja zaś odepchnąłem Simone i przeszedłem przez druty, pobrzękując łańcuchem jak duch Marleya.

Gdy byłem całkiem blisko, uśmiechnął się.

- Coś cię zatrzymało?

Ukląknę, co z powodu łańcucha zawsze było trudnym manewrem, i ostrożnie odgarnąłem piasek po bokach miny. Następnie wziąłem ją równie ostrożnie i bardzo starannie ustawiłem z boku.

- Ty zimnokrwisty skurwysynu - powiedział.

Potrząsnąłem głową.

- Niezbyt zimnokrwisty. Chciałbym jeszcze żyć, ale potrafię się pogodzić z tym, że umrę. Lecz nie teraz i nie tutaj. Jest coś jeszcze, coś, co nadchodzi. Bóg jeden wie co.

Z szarych chmur spadło trochę ciężkich kropli. Wstałem i poszedłem przodem przez druty przy wtórze ryku tłumu, który musiało być słyhać aż w Charlottestown. Ludzie rozstąpili się przed nami i Steiner przekazał lotnika sanitariuszom. Był to dziewiętnastoletni, może dwudziestoletni chłopak z trzema czy czterema poszarpanymi dziurami od pocisków w nodze, obficie zakrwawiony i nieprzytomny.

Riley wrzasnął, by ustąpiono miejsca, i przeszedł przez tłum, torując drogę noszom i brutalnie odpychając na bok każdego, kto mu przeszkadzał. Simone położyła dłoń na ramieniu Steinera z taką miną, jakby miała w każdej chwili wybuchnąć płaczem.

- Wiem - powiedział jej łagodnie - ale nie teraz. Doktor Riley cię potrzebuje. Może później będziesz mogła nam powiedzieć, jak się ma chłopiec?

Odeszła więc i pochłonał ją ścisk tłoczących się wokół Steinera ludzi. Zostałem zapomniany, i słusznie, bo to było jego przedstawienie. Spadochroniarze z SS oczyścili przejście i Steiner podszedł do Radia stojącego przy mercedesie.

- Kto to był, Steiner? - spytał Radl.

- Jeden z naszych, pilot samolotu rozpoznawczego marynarki wojennej z jakiegoś portu bretońskiego.

- Moje gratulacje. Oczywiście przedstawię stosowny raport. - Uśmiechnął się. - Kto wie, może kolejny order, he?

Wciąż nie widziałem twarzy Steinera, a przecież ponad wszelką wątpliwość wiedziałem, że był jak nigdy dotąd bliski rzucenia się na Radia. Ale jakoś udało mu się opanować odruch. Radl kiwnął głową swemu kierowcy, wsiadł wraz z eskortą do mercedesa i odjechał.

Nagle poczułem wielkie zmęczenie, odwróciłem się i zobaczyłem Fitzgeralda u mego boku. Miał w oczach wyraz dziwnego zakłopotania. Biedak, wykraczałem poza wszelką jego zdolność rozumienia.

- Nie mogę pana pojąć - powiedział. - Wie pan o tym?

Zupełnie nie potrafię pana pojąć.

- I nawzajem - skomentowałem kwaśno i powlokłem się dalej, bo deszcz zaczął gęściej padać.

Tłum rozchodził się. Robotnicy Todta i żołnierze wrócili do swych zajęć, ale coś się działo. Słyhać było szmer rozmów, ludzi biegali od jednej do drugiej grupy, które znów składały się z żołnierzy i robotników. Wreszcie rozległy się śmiechy, niezgrane wiwaty i nagle pojawił się Ezra,

pędzący przez tłum.

Gdy dotarł do mnie, wyglądał jak oniemiały, więc chwyciłem go za ramię, by go uspokoić.

- Co się stało, Ezra, coś jest nie tak?

- Nie tak? - Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się pod niebiosa. - Wielki Boże, on mówi „nie tak”. - Gdy znowu spojrzał na mnie, miał łzy w oczach. - BBC nadała komunikat specjalny, Owenie. Mówią, że Rosjanie weszli do Berlina. Mówią, że Hitler nie żyje.

Zobaczyłem, że zza jego pleców patrzy na mnie Steiner. Stojący za nim ludzie śpiewali, płakali, śmiali się, obejmowali.

Ezra chwycił mnie za ramiona.

- To prawda, Owenie, cholerna wojna skończyła się, nie rozumiesz?

Ale tak nie było... przynajmniej dla nas. Wiedziałem o tym, i Steiner o tym wiedział. Gdzieś wysoko w szarych chmurach gruchnął grom i nagle niebo rozdarło się, a deszcz zaczął naprawdę padać.

Doraźna sprawiedliwość

Po szoku wywołanym pierwszą wiadomością o tym, co, jak sądzono, rozegrało się w Berlinie, doprawdy nikt nie miał ochoty na kontynuowanie pracy na plaży w Granville. Robotnicy Todta kłócili się między sobą, bo teraz, gdy minęło spowodowane informacjami uniesienie, niektórzy uznali, że wiadomości są nie do uwierzenia. Dwaj sierżanci saperów, Braun i Schmidt, jakoby odpowiedzialni za to, co się działo na plaży, wyraźnie nie mieli serca, by jakkolwiek zareagować, a większość żołnierzy niemieckich, tu obecnych, wyglądała na zupełnie oszołomionych rozwojem wypadków.

Fitzgerald najpierw powiedział coś pośpiesznie, zniżonym głosem, do swoich ludzi, a potem zbliżył się do mnie.

- Co pan sądzi? Czy to może być prawda?
- Czemuż by nie? Ezra słyszał to na własne uszy, czy tak?
- Więc zostaje tylko kwestia czasu. Są skończeni.

Udało nam się.

- A, to się jeszcze zobaczy - powiedziałem.

Zmarszczył się nagle, ale nim zdołał coś więcej powiedzieć, nadszedł Braun, który dotychczas konferował ze Schmidtem i Steinerem. Widać było, że ustalili jakiś plan działania.

- Zechce pan być tak dobry i zwołać swoich ludzi - oświadczył uprzejmie. - Postanowiliśmy odprowadzić wszystkich do Charlottestown. Możecie zaczekać z robotnikami Todta w kościele, póki się nie dowiemy, co się dzieje.

Kościół parafialny St-Pierre stał na obszernym cmentarzu, otoczonym wysokimi murami, w połowie głównej ulicy koło Platzkommandantur. We wczesnej fazie wojny usunięto z niego ławki i przez pewien czas używany był jako skład żywności. W ubiegłym roku służył za schronienie robotnikom Todta, którym mogło się gorzej powieść, bo główny zrąb budowli pochodził z czasów Normanów i mury były trzystopowej grubości, co przynajmniej chroniło przed najgorszymi wybrykami zimowych sztormów.

Jak więc powiedziałem, ławki usunięto już dawno temu i robotnicy Todta spali na podłodze. Obszar za balustradą przed ołtarzem wyglądał na nienaruszony. Stalle chóru pozostały takie, jak zawsze je pamiętałem, a samego ołtarza nie zbezczeszczono, choć zabrano obrus i świeczniki.

Kiedyśmy tam przybyli, wyglądało, że nikt nie wie, co robić z nami, a przypuszczam, że kościółek nie gościł takiego tłumu od największych, przedwojennych świąt. Deszcz padał już tak

rżęsiście, że wepchnęli się do środka wszyscy, żołnierze wraz z robotnikami Todta oraz jeńcami. Steiner i sierżanci saperów znowu zebrali się w kącie, by przedyskutować sytuację. Wreszcie Manfred wyszedł wraz ze Schmidtem, a Braun podszedł do mnie z dziwnie niepewną miną.

- Starszy sierżant Steiner poszedł zobaczyć się z pułkownikiem Radlem. - Wzruszył bezradnie ramionami. - Szczerze mówiąc, pułkowniku, nikt nie wie, co robić.

- Więc czekamy?

Uśmiechnął się krzywo.

- Robimy to już od pewnego czasu, nieprawdaż? Jeśli Bóg pozwoli, będę mógł znowu zobaczyć moją Gretchen.

Coś, na co dotychczas nie liczyłem.

Wrócił do swoich ludzi, ja zaś zapaliłem jednego z moich francuskich papierosów i przepchnąłem się przez tłum do bocznych drzwi, przy których nie było wartownika - przeoczenie ze strony Brauna. Mogłem to dobrze zrozumieć, biorąc pod uwagę okoliczności.

Rozpętała się taka ulewa, że nie widać było muru po północnej stronie cmentarza. Znajdował się tam pod wielkim cyprysem grób mego ojca i mojej matki złożonej na spoczynek obok niego. Widziałem tylko drzewo, wyprostowane w gwałtownym deszczu jak czarny wartownik.

Słyszałem za sobą śmiechy, spierające się głosy, niebezpieczne podniecenie. Zgromadzenie tutaj wszystkich razem było błędem. Głos tłumu nie był głosem rozsądku, a nie można było liczyć, że ludzie traktowani tak jak dotychczas, teraz zachowają się rozważnie.

Otworzyły się drzwi za moimi plecami i pojawił się Hagen.

- Szukaliśmy pana wszędzie, sir. Panna de Beaumarchais jest tutaj. Chce z panem porozmawiać.

Wszedłem z nimi do środka i przepchnąłem się przez hałaśliwą tłuszcę. Simone stała koło głównego wejścia z sierżantem Braunem, Fitzgeraldem i jego rangersami. Była blada i podniecona, a na policzkach miała nienaturalne rumieńce.

Chwyliła mnie za rękaw.

- Czyż to nie jest niewiarygodne, Owienie? Cały szpital się kotłuje.

Hałas wzmógł się już do tego stopnia, że z trudem można było dosłyszeć słowa. Powiedziałem Braunowi, że przejdziemy do kruchty. Kiwnął głową saperowi, który stał na warcie w wejściu z pistoletem maszynowym niedbale przewieszonym przez ramię. Za nami drzwi się zamknęły i na chwilę pozostaliśmy sami we wpadającym tu deszczu, rozbijającym się wielkimi kroplami na kamiennych płytach posadzki.

- Czy to prawda? - zapytała. - Czy po tylu latach to się naprawdę wydarzyło?

- Wszystko kończy się wcześniej czy później - od rzekłem. - Dobrze albo źle. Jedno z najbardziej nie zawodnych praw przyrody.

Jej chustka na głowie i stary trenz były przemoczone deszczem, ale Simone już nie zwracała uwagi na takie drobiazgi.

- Prawdę powiedziawszy, przyszedłam tu, by ci powiedzieć o młodym pilocie. Wszystko będzie z nim w porządku. Na widok ran Paddy pomyślał, że może trzeba będzie odjąć mu nogę, ale teraz jest zdania, że chłopiec ma wszelkie szansę wyleczenia.

To było dodatkową pomyślną wiadomością dnia.

- Kimkolwiek jest, z pewnością będzie miał co opowiadać wnukom.

Skinęła głową w dziwny, nieobecny sposób i wpatrzyła się w strugi deszczu.

- Może wszyscy będziemy mieli. Mam przeczucie... trudne do wyrażenia słowami.

- Radl? - zapytałem, obejmując ją. - Nawet Radlowie tego świata muszą niekiedy ponosić porażki.

- Tak przypuszczam. - Ale gdy spojrzała na mnie, w jej oczach była udreka. - Dobry Boże, taką mam nadzieję.

Muszę już iść, Owenie. Paddy potrzebuje mnie w szpitalu.

Powiedz Manfredowi.

Nie pocałowała mnie, a to, pomyślałem, było znaczące. Odwróciła się i wybiegła w deszcz po ścieżce okrążającej kościół i przez cmentarz prowadzącej do tylnej bramy.

Z jakiegoś powodu zrobiło mi się smutno. Wróciłem do kościoła. Panował tam hałas bardziej ogłuszający niż przedtem, a jeszcze ktoś grał na organach. Był to sierżant Obermeyer, zatopiony we własnym świetle. Chciałbym wiedzieć, jak długo na to czekał.

W kącie stał Fitzgerald w towarzystwie swych ludzi i sierżanta Brauna, który był zmartwiony i bezradny. Gdy podszedłem, Fitzgerald oświadczył ponuro:

- Sytuacja wymyka się z ręki, jeśli chce pan znać moje zdanie.

- Nie na długo, jeśli znam się na Radlu. Liczę na nie więcej niż pięć minut. Na pana miejscu trzymałbym się z dala od linii strzału.

Przepchnąłem się przez ścisk, nie zwracając uwagi na poklepujących mnie po plecach robotników Todta, i ponownie skierowałem ku bocznemu wejściu, temu, o którym biedny Braun

zapomniał. Na dworze lało bez przerwy; zasłona deszczu była nieprzenikniona, ale sądząc z siły ulewy, mogło się wydawać, że ma zamiar zatopić cały świat.

Ujrzałem cyprys, stojący pod murem cmentarnym koło grobu mego ojca i pod wpływem nagłego impulsu wyszedłem w deszcz i podążyłem żwirowaną ścieżką między nagrobkami.

Dobiegający krzyk zdawał się pochodzić nie z tego świata. Zatrzymałem się, kręcąc głową, bo nie byłem pewien kierunku. Rozległ się ponownie, krzyk kobiety zagrożonej utratą życia. Cholerny łańcuch. Jak zwykle zapomniałem o nim i próbując pobiec, rozłożyłem się jak długi. Poderwałem się, a z mroku wybiegła ku mnie Simone.

Zerwano jej płaszcz z pleców, a stara bawełniana sukienka, którą pod nim nosiła, była w strzępach; jedno ramię i jedną pierś miała nagie. Mężczyzna, który ją ścigał, był jednym z robotników Todta, Polakiem, którego zauważyłem w brygadzie drogowej głównie z powodu jego olbrzymiego wzrostu.

Było to zrozumiałe, bo żaden mężczyzna na wyspie nie miał, Bóg wie od jak dawna, dostępu do kobiety, a od sześciu miesięcy mogli oglądać jedynie Simone. Widziałem, w jaki sposób mężczyźni patrzyli na nią, gdy przechodziła. To mi się nie podobało, ale przynajmniej ich rozumiałem. Prawdopodobnie tamten stał w kruchcie koło bocznego wejścia, zobaczył, że idzie na skrót przez cmentarz, i poszedł za nią.

Dobiegła do mnie z wyciągniętymi rękami, łkając histerycznie, a ja ledwie miałem czas, by odepchnąć ją na bok, gdy nadleciał tamten. W tej chwili oczywiście nie stać go było na żadną racjonalną ocenę, co w tych okolicznościach nie było niczym dziwnym. Z powodu przekłętego łańcucha nie mogłem wiele dokonać. Uchyliłem się, rąbnąłem go w brzuch, tak mocno, jak zdołałem, i zwaliliśmy się razem, tocząc coraz dalej, aż oparliśmy się o nagrobek.

Niepomyślnym dla mnie trafem on znalazł się na górze i dłońmi chwycił moją szyję, przyciskając gardło. Perspektywy stały się jeszcze ciemniejsze. Z oczywistych powodów ukryłem mój nóż w prymitywnej kieszeni, którą wszyłem sobie w pasie na plecach, ale nie mogłem jej dosięgnąć. Skoncentrowałem się więc na małych palcach napastnika, wykręcając je na zewnątrz, aż zawył z bólu. Jego cuchnący oddech prawie że mnie zadusił; wzmożłem nacisk na palce. Wrzasnął ponownie i wypuścił mnie.

Zamachnąłem się, by go uderzyć kantem dłoni w gardło. Nie było potrzeby. Obok pojawił się Steiner. W strugach deszczu jego twarz wydawała się biała i uzewnętrzniała takie uczucia, że wyglądał jak wcielenie gniewu bożego. Odciągnął Polaka do tyłu, okręcił w miejscu i walił zaciśniętą pięścią w twarz raz, drugi, trzeci i jeszcze, przytrzymując lewą ręką, aż wbił go ciosami w ziemię.

Leżałem, ciągle jeszcze dławiąc się, walcząc o oddech, gdy pojawili się Fitzgerald i Grant i wspólnie podnieśli mnie. Jeśli stwierdziłbym, że sytuacja się zmieniła, oznaczałoby to, że jej nie doceniłem. O parę jardów dalej stał Radl, a ze dwudziestu spadochroniarzy SS ustawiło się wachlarzem za nim.

Polak był teraz na kolanach, Radl dał znak i dwóch z jego ludzi podbiegło, odebrało go Steinerowi i zaciągnęło przed Radia. Ten popatrzył na niego z góry z prawdziwym obrzydzeniem na twarzy, a ja przypomniałem sobie pierwsze wrażenie, jakie zrobił na mnie Radl. Okrągłogłowy fanatyk, zdolny do wszystkiego.

Kopnął Polaka.

- Nauczę cię manier, bydlaku. Wziąć go do środka.

Odciągnęli nieszczęśnika, a Radl rozpiął swój płaszcz oficerski, podszedł do Steinera, trzymającego Simone, i otulił jej ramiona płaszczem.

- To niewybaczalne, że coś takiego mogło się zdarzyć pod moim dowództwem. - Simone wyglądała na niezdolną do jakiegokolwiek przytomnej odpowiedzi. Sądzę, że zdał sobie z tego sprawę. - Mój samochód jest przy bramie, Steiner. Odwieziecie pannę de Beaumarchais do szpitala.

Steiner wziął ją na ręce i odszedł. Radl zwrócił się do mnie.

- A teraz, pułkowniku Morgan, jeśli pan i pańscy przyjaciele będziecie tak dobrzy, by mi towarzyszyć, ujrzycie, jak wymierza się odrobinę sprawiedliwości!

Nie brzmiało to zachęcająco, ale nawet ja nie byłem przygotowany na to, co ujrzałem. W kościele robotnicy Todta stali zepchnięci pod ścianę. Brandenburczycy i kilku saperów zostali ustawieni w szereg przy drzwiach, a chłopcy z SS mieli wszystkich na muszce, z charakterystyczną dla nich dokładnością.

Dwóch z nich trzymało między sobą Polaka. Po jego twarzy spływała krew, po pobiciu przez Steinera, i wyglądał na tak ogłupiałego, jakby nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Między dwoma innymi esesmanami stał sierżant Braun, z rękami związanymi na plecach.

Radl powolnym krokiem wyszedł na środek kościoła i przyjrzał się robotnikom Todta. Panowała kompletna cisza. Kiedy przemówił, ton jego głosu okazał się zaskakująco łagodny.

- Zachowaliście się skrajnie głupio, wszyscy, co do jednego. Uwierziliście w kłamstwo. W głupią i bezsensowną propagandę, sianą przez nieprzyjaciela jedynie po to, by wywołać tego rodzaju zachowania, jakie widzieliśmy dzisiaj. W kłamstwo, ponieważ ta wiadomość nie opiera się na faktach. Fiihrer żyje, nie ma mowy o klęsce, armia niemiecka wciąż walczy. - Jego głos zaczął nabierać mocy. - Miałem kontakt z naszym dowództwem na Guernsey i mogę was zapewnić, że niezależnie od tego, co zdarzy się w Europie, będziemy nadal walczyć na Wyspach Normandzkich. Czy mnie słyszycie? Będziemy kontynuować walkę!

Jego głos odbijał się echem pod stropem i siedzące na krokwiach gołębie zerwały się przestraszone.

- Dopóki ja tu dowodzę, nie będzie na St-Pierre przypadków łamania prawa i porządku, żadnego rozluźnienia dyscypliny dla kogokolwiek, z moimi własnymi oddziałami włącznie.

W tej chwili robotnicy Todta byli już jak dawniej, złamanymi, zbitymi zwierzętami bez nadziei, istotami, które egzystowały, przyjmowały to, co je spotkało, i oczekiwały tylko najgorszego.

Radl pstryknął palcami i Polaka wyciągnięto na przód.

- Mamy tu nędzną karykaturę człowieka, dwunogie zwierzę, które zachowało się jak bydło. I tym jest. Doskonale, zostanie potraktowane odpowiednio.

Przerzucono sznur przez krokiew i zawiązano na szyi Polaka. Stał na miejscu, gapiąc się tępo na nasze twarze, zupełnie nieświadom tego, co ma nastąpić.

Teraz wyprowadzono przed front Brauna. Musieli go chwilami nieść, bo był bliski zemdenia. Radl stał, patrząc na niego jakiś czas, a gdy się odezwał, głos miał zimny i twardy.

- To, co się wydarzyło, to twoja wina, Braun. Dowodziłeś tutaj, a mimo to pozwoliłeś sobie uwierzyć w tę podłą plotkę, tak jak uwierzyli wszyscy tu obecni. Napad na pannę de Beaumarchais nie mógłby nastąpić, gdybyś pamiętał o postawieniu wartownika przy bocznym wejściu.

Zhańbiłeś swój mundur, zhańbiłeś armię niemiecką.

Braun próbował przemówić, ale zamiast tego zaszlochał, a tymczasem drugi sznur przerzucono przez krokiew i brutalnie zawiązano mu na szyi.

Powieszono obu, wykorzystując prosty sposób: trzech esesmanów przy każdym sznurze podciągnęło ich o sześć stóp nad ziemię. By umrzeć, potrzebowali kilku minut, kilku najdłuższych minut w moim życiu, a ten widok przejmował wszystkim poza przyjemnością.

Tu i ówdzie rozległy się pojedyncze westchnienia, ktoś zaczął histerycznie łkać, ale ogólna reakcja była niewielka. Radl znowu siedział mocno w siodle. Robotnicy Todta wiedzieli przynajmniej, kiedy zostali pokonani.

Radl poczekał, aż wszyscy znieruchomieli, następnie odwrócił się i skinął głową jednemu z sierżantów SS.

- Możesz odprowadzić jeńców do ich kwater w Forcie Edward.

Wyszliśmy główną bramą i w deszczu ustawiliśmy się w szereg. Fitzgeraldowi przybyło lat, a i inni wyglądali jak nie ci sami ludzie, gdyż, tak przypuszczam, po raz pierwszy możliwość tego rodzaju doraźnych egzekucji stała się w ich życiu rzeczywistością.

Sierżant rozkazał nam pójść, ale kiedy zaczęliśmy maszerować, z kruchty dobiegł głos Radla:

- Chwileczkę. O czymś zapomniałem.

Gdy wyszedł na deszcz, uśmiechał się, a ja już wiedziałem, że nastąpi coś złego, cokolwiek by to miało być.

- Dobre nowiny, pułkowniku. Gdy wychodziłem z domu, doręczono mi telegram z St-Denis. Duma Hamburga skorzystała ze złej pogody, by godzinę temu opuścić port.

- Z Olbrichem na pokładzie?

- Oczywiście. Przy odrobinie szczęścia przybędzie tu jutro w południe.

Odszedł w deszcz, podśpiewując wesoło.

Ostrzeżenie sztormowe

Ten Radl był dobrym żołnierzem, to mu muszę przyznać. Gdy nas prowadzono do Fortu Edward, wrócił do swej siedziby i zaczął wszystko doprowadzać do porządku. Niewielki garnizon rozmieszczono w fortyfikacjach wyspy i wszystkie bunkry, wszystkie stanowiska artylerii zostały całkowicie obsadzone i gotowe do podjęcia walki. Z konieczności oznaczało to, że w samym Charlottestown mógł pozostawić nie więcej niż trzydziestu do czterdziestu żołnierzy, ale w tej sytuacji wydawało się to usprawiedliwione, a ponadto byli to głównie spadochroniarze SS z jego starego pułku, przywiezieni tu swego czasu przez generała Mullera.

Jeśli zaś idzie o rangersów, burza wybuchła, gdy znaleźliśmy się znowu w starym składzie amunicji w Forcie Edward. Sierżant Hagen, który nawet w najlepszych czasach miał skłonność do reakcji emocjonalnych, rozkleił się zupełnie.

- Zginiemy wszyscy co do jednego. Wystarczy, że ten facet mrugnie, a jego ludzie zrobią z nami to, co z tymi biednymi sukinsynami w kościele, bez żadnego wahania. - Zwrócił się do mnie bliski obłądu. - Czyż to nie jest prawdą, pułkowniku? No, niechże pan im powie. Zna pan tych diabłów lepiej niż którykolwiek z nas.

- Wystarczy, chłopcze - ostro osadził go Grant. - Takie gadanie do niczego nie doprowadzi, prawda, sir?

Zwrócił się do Fitzgeralda, ale Fitzgerald zdawał się go nie słyszeć. Siedział na ławce, patrząc bezmyślnie w przestrzeń, bezustannie wykręcając palce.

Grant odezwał się do mnie z wyraźną niechęcią.

- Myślę, że biedny chłopiec nie czuje się najlepiej.

Sądzę, że w tym momencie po raz pierwszy doceniłem jego nieklamana serdeczność wobec Fitzgeralda.

- To mnie nie dziwi - odrzekłem. - Kto tu się czuje inaczej?

- Co teraz zrobimy, sir?

- A co możemy zrobić? - Wzruszyłem ramionami. - Nigdy nie miałem tyle wiary w Radla, co wy. Już widziałem ten gatunek w działaniu. Ucieczka, jeśli to macie na myśli, nie wchodzi w rachubę. Teraz za drzwiami mamy spadochroniarzy SS, a nie saperów.

- Więc co będziemy robić? - zapytał Hagen z obłądem w oku.

- Modlić się - powiedziałem. - Modlić się i mieć nadzieję. A prócz tego zawsze możecie wziąć

ze mnie przykład i przepaść się.

Wątpię jednak, czy którykolwiek z nas zażył wiele snu tej nocy. Deszcz bezustannie bębnił w dach, a począwszy od północy, zaczął wyc wiatr. Nawet tutaj, wysoko w fortecy, słyszałem fale łomoczące o skały.

Leżałem owinięty w wilgotny koc i przysłuchiwałem się odgłosom z zewnątrz. Przepowiednia Steinera sprawdziła się. Wiosenne sztormy bywały groźne na tych wodach. Tak groźne, jak najgorsze zimowe. Duma Hamburga musi mieć trudny rejs, ale przecież, jak powiedział Steiner, jej kapitan Ritter wolał parszywą pogodę.

Wszystko może zdarzyć się dokładnie tak, jak to przepowiedział Radl. Takiej nocy Duma Hamburga musi umknąć Marynarce Królewskiej. Wpłynie do portu Charlottestown w południe i przycumuje do przystani północnej. Kowettenkapitan Olbricht zejdzie na brzeg przy wtórce puszczalek, wszystko jedno, co oni wówczas robią, z pełnymi honorami, i obejmie swoją placówkę. A pierwszym zadaniem, które mu zaprezentują, będzie sprawa Owena Morgana i jego miłej gromadki.

A co się stanie, jeśli Olbrichtowi nie spodoba się ów pomysł? Jeśli należy do gatunku staromodnych oficerów? Marynarze zwykle tacy są. Jak brzmi sformułowanie artykułu szóstego Kommandobefehl? W wypadku niepodporządkowania się temu rozkazowi, postawię przed sądem polowym dowódcą lub każdego innego oficera, który nie wykonał swego obowiązku lub działał niezgodnie z nim.

Ale Kommandobefehl był osobistym rozkazem samego Fuhrera, który wedle BBC był teraz martwy. W tej fazie gry powinno to ułatwić każdemu rozsądnemu człowiekowi wyciągnięcie odpowiednich wniosków. Ale z kolei, jeśli Olbricht postanowi nie dopuścić do egzekucji, jak zachowa się Radl? Radl. Zawsze wszystko sprowadzało się do Radla.

Ostatecznie udało mi się zasnąć, obudziłem jednak się zaraz po świcie, by stwierdzić, że wiatr był jeszcze silniejszy. Morze zmieniło się w falujący dywan grzmiącej wody i grzywaczy, niknących wśród ulewy.

O szóstej trzydziści otworzyły się drzwi i młody ordynans Durst wszedł z wiadrem kawy, czarnym chlebem i zimną kielbasą. Był to erzac kawy, ale gorący. Ponieważ Fitzgerald nie zadał sobie trudu, by wstawać, Grant napełnił emaliowany kubek i zaniósł mu.

Uśmiechnąłem się do Dursta.

- Jak mają się sprawy na zewnątrz?

- Źle, bardzo źle. - Potrząsnął głową. - Mówią, że pogoda jeszcze się pogorszy. Udało się uzyskać prognozę z Guernsey, nim warunki zakłóciły odbiór. Słyszałem, jak paru łącznościowców dyskutowało o tym w kuchni.

W drzwiach pojawił się sierżant SS i ostro zawołał na niego, więc Durst wycofał się

pośpiesznie. Gdy drzwi zaryglowano, przetłumaczyłem pozostałym rozmowę i oczy Hageny znów zabłyśły.

- Może ten cholerny statek wcale tu nie dotrze.

- Może i masz rację - powiedziałem. - Na tych wodach wszystko może się zdarzyć, gdy tylko pogoda robi się tak paskudna.

Zostawiłem go entuzjastycznie dyskutującego o przyszłości z kapralem Wallace i wspiałem się na jedną ze starych strzelnic armatnich. W dole, na lewo ode mnie, morze w porcie przelewało się przez falochrony potwornymi, białymi kurtykami piany i niektóre z łodzi rybackich już się zerwały z cum.

Widok był fantastyczny. Ołowiane chmury rzygały ciężkim deszczem i opadały w dół, śpiesząc na spotkanie z falami, które teraz naprawdę zaczęły się unosić. Gdy na chwilę kurtyna pękła, dostrzegłem o pół mili dalej Wieżyczki, ponuro sterczące nad kipiela białej wody.

Drzwi otwarto, pojawił się sierżant SS i kazał nam wyjść. Fitzgerald siedział na ławce, obejmując kubek kawy obiema dłońmi, i martwym wzrokiem spoglądał w przestrzeń. Twarz miał szarą i wynędzniałą. Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek w życiu widział człowieka tak zmienionego.

Podniósł się niechętnie i podążył za nami. Na dziedzińcu, koło ciężarówki, czekał sierżant Lanz w ociekającym wodą ceratowym płaszczu.

- Radl znowu kieruje nas do roboty? - zapytałem.

Kiwnął głową.

- W porcie zupełny chaos. Jest tam teraz starszy sierżant Steiner.

W końcu to było lepsze od siedzenia w składzie amunicyjnym, słuchania wycia wiatru i czekania, aż coś się zdarzy. Wsiadliśmy na skrzynię ciężarówki, za nami sierżant SS i paru jego żołnierzy i odjechaliśmy.

Charlottestown było fatalnym kotwiczowiskiem, gdy wiały silne wiatry wschodnie lub północno-wschodnie. Wówczas bowiem w obrębie falochronu poziom morza ogromnie się podnosił.

Gdy dotarliśmy do portu, wszystko wyglądało jak najgorzej. Przy falochronie woda spiętrzyła się wysoko, a wiatr w porywach sięgał, jak oceniłem, siedmiu, nawet ośmiu stopni. Sam port był w potwornym stanie. Zerwało się przynajmniej pół tuzina łodzi rybackich, a ludzie na nabrzeżu, głównie robotnicy Todta i saperzy, w ogóle nie wiedzieli, co z tym wszystkim począć. Major Brandt i Schellenberg stali na skraju muru portowego nad dolną przystanią.

Na wodzie znajdowała się pilotówka, trzydziestostopowa szalupa z dieslem i wysoką, staromodną sterówką. Wewnątrz zobaczyłem Ezrę oraz Brandenburczyków. Na dziobie stał Steiner, gotów do przyjęcia liny, którą ktoś rzucał z nabrzeża. Ubrany był w czarną ceratę, głowę miał gołą.

Spojrzał w górę i zauważył mnie, gdy zbliżyłem się do skraju, by zobaczyć, co się dzieje. Czasu było tylko tyle, by machnąć ręką, ale już ktoś rzucił cumę dziobową, a Ezra wyprowadził starą szalupę do basenu portowego.

W jego ciasnej przestrzeni, przy stale przybierającym morzu, zabezpieczenie łodzi rybackich podobne było do próby kolejnego wyłapywania dzikich koni, kotłujących się w korralu. Nigdy nie można było mieć pewności, co się stanie za chwilę, bo przy płytkim dnie w tej części portu fale mogły wyczyniać rzeczy zupełnie nieprzewidziane, a szkwały nadlatywały często.

Ale Ezra był geniuszem w takich sprawach. Wziął kurs prosto na dziób pierwszej wybranej przez siebie łodzi, w ostatnim momencie zakręcił kołem sterowym i ustawił się równolegle, by pozwolić Steinerowi przeskoczyć z cumą w rękę nad relingiem do łodzi rybackiej. Przywiązał ją szybko, a Ezra zawrócił, by ją doholować do nabrzeża.

Przycumowali łódź, choć mieli duże trudności, i wyszli po następną. Gdy tak stałem, przyglądając się, usłyszałem głos:

- Ci ludzie to marynarze. Co do jednego. Może i żołnierze, ale przede wszystkim dobrzy marynarze.

Był to Warger, kapitan portu. Stał w ceracie i zydwestce.

- Dowodzi nimi odpowiedni człowiek i na tym wszystko właściwie polega - odrzekłem.

- Ezra? - Kiwnął głową na znak zgody. - Najlepszy... najlepszy, jakiego w życiu spotkałem, gdy idzie o małe statki na wzburzonym morzu, ale to... - Popatrzył na ołowiane niebo nad głową. - To coś wyjątkowego, jak na tę porę roku. Nie jest dobrze... całkiem nie jest dobrze.

- Jaka prognoza?

- Niestety straciliśmy bezpośrednią łączność radiową z Guernsey. - Rozejrzał się ukradkiem, by przekonać się, czy nikt go nie może podsłuchać. - BBC ogłosiła ostrzeże nie sztormowe, a barometr w moim biurze opada szybko... bardzo szybko.

- A co z prędkością wiatru?

- Mam anemometr na dachu Fortu Windsor. Posłałem tam dyżurnego, by sprawdzał i regularnie przekazywał odczyt przez telefon polowy.

- Uważa pan, że będzie gorzej?

- Tak. Siła dojdzie do dziesięciu, może nawet jedenastu stopni, zanim to się skończy. Nie sądzi pan? Wychował się pan na tych wodach.

Siła dziesięć lub jedenaście? Ciężki sztorm, bliski huraganowi! Wiedziałem, że jest źle, ale nigdy nie bywało tak źle jak teraz; w każdym razie nie o tej porze roku. I wówczas przypomniałem sobie historię, którą opowiadał mi Ezra, pochodzącą z czasów, gdy miał ledwie siedemnaście lat i

pracował jako rybak przybrzeżny. Żaglowiec o stalowym kadłubie wpadł na Wieżyczki. Była to Królowa Berberii, idąca pod balastem z Liverpoolu do Brestu. Koniec kwietnia, a sztorm taki, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali. W owych dniach mieli tu wiosłową łódź ratunkową i nie byli w stanie wydostać się poza falochron, wiosła prysnęły jak zgniłe patyki. Następną próbą z podwójną załogą i nowymi wiosłami również się nie powiodła. Królowa Berberii do rana zniknęła, jak gdyby w ogóle nigdy nie istniała, i tylko wraz z przyplływem pojawiały się ciała przez cały tydzień, może dłużej. Ale, jak mawiał Ezra, to było coś wyjątkowego. Coś takiego przeżywa się tylko raz na całe życie.

W porcie zapanował ruch. Saperzy zaganiali robotników Todta na koniec nabrzeża, gdzie fale waliły przez wielką lukę, pozostałą po ostrzale z morza w ubiegłym roku. Bóg jeden wie, czemu nie zrobili czegoś w tej sprawie do tej pory, ale przypuszczam, że trzeba było prawdziwego sztormu, by ujawnić ryzykowność sytuacji. Oczywiście przy takim stopniu erozji, jaki wywoływała tu wściekle tłukąca woda, było całkowicie możliwe, że przełom nastąpi na całej szerokości nabrzeża, rozbijając go na dwie części.

Pod ręką była cała masa gruzu ze starych siedemnastowiecznych kamieniczek, rozbitych bombardowaniem. Utworzono kilka łańcuchów ludzkich i zaczęto podawać z rąk do rąk kamienie i cegły, aż docierały do centrum uszkodzenia i tam wrzucano je do wielkiej dziury w nabrzeżu.

Przypadkowo znalazłem się u czoła łańcucha. Była to paskudna robota, bo fale łamały się tu bezustannie, wyskakując na trzydzieści stóp w górę i zalewając nas prysznicami lodowatej wody.

Wkrótce przemokłem do nitki i było mi przejmująco zimno. Zdawało się, że nigdy nie nastąpi koniec tego wszystkiego. Czułem się jak w jednym z tych złych snów, gdy człowiek stara się wykonać niewykonalne zadanie, gdyż wszystko, co wrzucaliśmy do przełomu, znikало bez śladu. Po godzinie, może później, pojawili się robotnicy Todta, a nas wycofano na odpoczynek. Przyjechała ciężarówka i z wiader zaczęto wydawać wszystkim gorącą kawę.

Fitzgerald siedział nie opodal, w miejscu osłoniętym od wiatru, pod zrujnowanym murem, ale nie wyglądał na chętnego do rozmowy. Grant i cała reszta stali w kolejce po kawę. Przynajmniej oni w swych nieprzemakalnych kamuflażowych kurtkach i spodniach byli ubrani odpowiednio na tę pogodę, o wiele lepiej niż ja. Mój sweter był przemoczony, ciężki od wody, ale niewiele mogłem na to poradzić.

Znalazłem sobie kącik, dający jako taką osłonę przed wiatrem, i tam właśnie odkrył mnie Warger. Trzymał w ręku żółty płaszcz ceratowy, który wyciągnął w moją stronę.

- Proszę, pułkowniku, widziałem pana z mego biura. To niedobra sprawa. To barbarzyństwo.

- Wobec wszystkich tu obecnych, nie tylko wobec mnie. - Naciągnąłem płaszcz i zapiąłem na wszystkie guziki. - Dziękuję panu.

Rozejrzał się wokół ukradkiem, jak wówczas, gdy powiedział o prognozie pogody z BBC, i wydobył pół butelki rumu.

- Nie powinienem panu o tym mówić, ale była wiadomość z Dumy Hamburga.

Zakaszlałem, bo rum sparzył mi przełyk jak ogień.

- Kłopoty?

- Wielkie kłopoty. - Miał poważną minę. - Jest o dziesięć mil na południowy zachód i walczy z fatalną pogodą.

Ritter mówi, że już ma poważnie zniszczone nadbudówki.

- A co z wiatrem?

- Wieje z siłą sztormową, ale dwukrotnie mój człowiek odnotował tam na forcie porywy dziesięciowęzłowe. Czy w takich warunkach Duma Hamburga może dotrzeć do portu?

- Będzie musiała, prawda? Nie ma gdzie się podziać.

Pociągnąłem następny łyk z butelki, a z tłumu wynurzył się major Brandt, zawahał się, lecz podszedł do nas. Nie było sensu ukrywać butelki, ale on zachowywał się, jakby jej nie zauważył.

- Źle się dzieje, pułkowniku - powiedział. - Przykro mi widzieć pana w takiej sytuacji. Rozumie pan?

- Zrobię coś lepszego, wypiję za to. - Znów pociągnąłem łyk. - Do diabła z pułkownikiem Radlem.

Wyciągnąłem do niego butelkę. Było to coś w rodzaju wyzwania, a może rum przeze mnie przemawiał, ale myślę, że to jeszcze nie wszystko. Lubiłem go. Był dobrym człowiekiem i chciałem go mieć po swojej stronie, choćby tylko odrobinę.

Kiwnął wstrzemięźliwie głową, ale przecież miał błysk w oku.

- To wyjątkowo uprzejme z pana strony. - Uniósł butelkę do ust, odrzucił głowę do tyłu. - Znakomity, pułkowniku Morgan, gratuluję, że ma pan takie źródło zaopatrzenia. - Z powagą oddał mi butelkę. - A teraz, Warger, zrobimy inspekcję falochronu. Powiedziano mi, że główka zaczyna znikać w morzu.

- Stara historia - zauważyłem. - Tak się dzieje od lat.

Odeszli razem, pochyleni, by osłonić się przed siekącym deszczem, ja zaś skierowałem się ku miejscu, gdzie pod murem kulił się przygnębiony Fitzgerald, nie zwracający uwagi na Granta, który stał nad nim z kubkiem kawy.

Wręczyłem butelkę wielkiemu Szkotowi.

- Trzymaj, ty góralski sukinsynu, wlej to w niego, ale zachowasz kropelkę dla siebie, jeśli

będziesz dość ostrożny.

Odwrociłem się, nim zdołał odpowiedzieć, i poszedłem nad skraj nabrzeża. Ezra i Brandenburczykom zostały jeszcze tylko dwie łodzie. Patrzyłem, jak Ezra okrąży kolejną łódź rybacką, a potem nagle rzuca pilotówkę w jej stronę. Ktoś skoczył, nie trafił, ale pochwycił reling. Była chwila, gdy serca przestały bić, ale Ezra walczył z morzem, by utrzymać pilotówkę z dala od zwisającej postaci. Był od niej nie dalej niż o dwie stopy, gdy wrzucił wsteczny bieg i odbił. Ale takie w końcu jest życie...

Pogoda pogarszała się nieustannie w miarę, jak mijał ranek, a my ciągle gorączkowo pracowaliśmy na zmianę, by zapełnić wyrwę. To było beznadziejne. Uważam, że ktoś powinien był to zauważyć na samym początku, ale ludzie rzadko zachowują się rozsądnie w obliczu żywiołów i to jest bardzo dziwne.

O jedenastej Ezra i Brandenburczycy skończyli swą robotę i przycumowali pilotówkę przy dolnym nabrzeżu. W tym czasie spiętrzenie wody w porcie stało się imponujące, a to bynajmniej nie ułatwiało im zadania.

Ponownie odpoczywałem pod osłoną mojego osobistego odcinka muru, gdy odnalazł mnie Warger. Przykucnął z wykrzywioną twarzą.

- Znow była wiadomość z Dumy Hamburga, pułkownika.

- Niedobre nowiny? - Pytanie było głupie, bo wystarczyło popatrzeć na jego minę, by znać odpowiedź.

- Jakieś kłopoty z silnikiem - powiedział ochryple. - W ostatniej depeszy Ritter poinformował, że ma trudności z utrzymaniem statku przeciw falom. Utracił większość łodzi ratunkowych, a pozostałe są uszkodzone.

- Jak jest daleko?

- O parę mil, ale teraz straciliśmy kontakt radiowy.

Myślę, że wiedziałem, co się zdarzy; czułem, że musi się zdarzyć to, co bywało tak często w przeszłości. Ale coś się we mnie buntowało z całej masy powodów. Nie pozwalało uwierzyć w to, co nieuchronne.

W chwilę później ktoś krzyknął i wskazał ręką, a gdy spojrzałem na morze, zobaczyłem Dumę Hamburga o jakąś milę od nas. Widzieliśmy ją przez najkrótszy moment, a potem znikła.

Wiatr tężał, w porywach czułem jego uderzenia. Musiałem schylić głowę i mocno położyć się z wiatrem, by się utrzymywać na nogach.

Znowu Duma Hamburga uniosła się na grzbiecie fali, a potem równie nagle zniknęła. Klęska ma swoisty zapach i nie było ani jednego człowieka, który by go w tym momencie nie poczuł. Skończyła się jakakolwiek dyscyplina. Słysząc było chór krzyków i wszyscy przerwali pracę, by

podbiec do muru portowego.

Ezra ze Steinerem z poziomu dolnego nabrzeża wspięli się do Wargera i do mnie. Dziwne, ale Ezra przemówił tylko do mnie, do nikogo innego. Po namyśle zrozumiałem, że to miało sens, bo jedynie my dwaj wiedzieliśmy, niemal z całkowitą pewnością, co musi się wydarzyć.

- Widziałeś go, Owenie?

Kiwnąłem głową.

- Warger mówi, że ma kłopoty w maszynowni, ledwie może posuwać się naprzód.

- Boże dopomóż wszystkim na jego pokładzie, jeśli to prawda. Przy takiej pogodzie czeka go tylko jeden koniec.

- Wieżyczki? - zapytał Steiner.

Skinąłem głową.

- Chyba że wierzysz w cuda.

Nadjechał, rozpychając tłum, wóz terenowy. Ze środka wyskoczył Brandt i przyłączył się do nas.

- Czy widzieliście go? Rozmawiałem z pułkownikiem Radlem. Jest w drodze do nas. Kontakt radiowy utracono zupełnie.

- Ilu ludzi jest na pokładzie? - spytał Steiner.

- Czterdziestu ośmiu łącznie z załogą.

Zapomniano o wszystkim prócz tragedii rozgrywającej się przed nami, w owym kotle, gdzie morze było jedyną potęgą godną uwagi. Dołączyli do nas rangersi, a Fitzgerald dziwnym sposobem zdawał się wracać do życia.

- Czy ktoś nie może czegoś zrobić? - zapytał.

- Co by pan proponował?

- Czy nie ma tu łodzi ratunkowej?

- Prawdę powiedziawszy jest, ale są jeszcze drobne szczegóły. Przede wszystkim ona sobie siedzi w hangarze w Granville, zupełnie gotowa do zwodowania po slipie, który nie istnieje, a plaża roi się od min. Poza tym nie ma załogi oprócz Ezry, który musiałby działać całkowicie samotnie.

Ezra popatrzył na mnie ostro.

- I jeszcze ty, Owenie, o tym nie zapominaj. Po twym ojcu jesteś najlepszym sternikiem wśród tych, których miałem.

Wszystko to było bardzo piękne, ale dokąd nas mogło doprowadzić? Nie wiem czemu, lecz przez chwilę wydawało się, że wiatr rozpędził deszcz, tam, na granicy nicości, i ujrzeliśmy odległe o pół mili Wieżyczki - poszczerbione czarne zęby wznoszące się nad kipiela białej wody.

Powiedziałbym, że Duma Hamburga była w tym momencie nie dalej niż o trzysta jardów od rafy i szybko dryfowała. Wystrzeliła petardę, po niej następną, choć Bóg jeden wie, jakiego odzewu mogła oczekiwać. Mniej więcej w tym czasie przybył Radl swym mercedesem.

Stanął na murze portowym, z podniesioną do oczu lornetą, i patrzył bez słowa. Wreszcie ją opuścił i zwrócił się do kapitana portu.

- Niedobrze, Warger. Jak sądzisz, co będzie?

- Zderzy się, pułkowniku Radl - wtrąciłem. - Wpadnie prosto na Wieżyczki. Teraz to nie do uniknięcia.

- Tak pan sądzi? - Odwrócił się, znowu podniósł lornetę, a w chwilę później to właśnie nastąpiło.

Nigdy nie widziałem takiej rozpacz, jaką zobaczyłem na twarzach ludzi tłoczących się na nabrzeżu; niemieccy żołnierze, robotnicy Todta, jeńcy - wszyscy to przeżywali. Dziwne, że w chwili gdy kończyła się wojna, której ofiary trzeba było liczyć w milionach, ludzie okazywali taki ból wobec możliwości śmierci czterdziestu ośmiu istot ludzkich, znajdujących się w sytuacji nie do rozwiązania. Ale takie są obyczaje świata i morza - najstarszego nieprzyjaciela ludzkości: Wszyscy zjednoczcie się przeciw niemu, bo inaczej zginiecie!

Radl odezwał się ostrym tonem:

- Proszę bez głupot. Przede wszystkim każda operacja wykraczałaby poza teren mego dowództwa, a i tak nie mamy potrzebnych urządzeń. - Potrząsnął głową i włożył lornetę do pokrowca. - Mają własne łodzie ratunkowe.

Muszą sami robić to, co należy, by się uratować.

- Na takim morzu? - zapytał Fitzgerald. - Nikt nie jest w stanie tam przeżyć, żadna łódź ratunkowa tego nie wytrzyma.

- Najdokładniej - odparował zwięźle Radl. - Realista taki jak ja to rozumie, majorze Fitzgerald.

Zauważyłem już, że Steiner konferuje ze swymi Brandenburczykami. Teraz zbliżył się i regulaminowo stanął na baczność.

- Za pozwoleniem, panie pułkowniku, chciałbym dotrzeć do Dumy Hamburga. Wszyscy moi

ludzie na ochotnika postanowili udać się ze mną.

- Czym, jeśli wolno spytać? - rzekł Radl.

- Pilotówką.

Nawet Ezra nie potrafił być cicho na takie słowa.

- Jakie cholerne nonsensy teraz wygadujesz, chłopcze? - zapytał. - Nigdy nie byłeś poza falochronem.

- Dziękuję, panie Scully - rzekł Radl. - Zdrowy rozsądek zawsze pokrzepia.

- W dalszym ciągu proszę o pozwolenie na taką próbę.

- Odmawiam go panu.

Zapadło milczenie, a wiatr rzucał nam w twarz lodowatą wodę. Zaskoczyło nas, że następny przemówił Brandt, zacinając się, co prawda, niemniej jednak to, co powiedział, wyrażało także naszą opinię.

- Ależ, pułkowniku, tamci ludzie zginą. To fakt, że uratowanie ich może się okazać niemożliwe, ale musimy przynajmniej spróbować, z pewnością pan to rozumie.

Bez wątpienia Radl nie mógł tego zrozumieć. Niepewnie zmarszczył brwi, zdumiony nieznanym sobie gatunkiem zwierzęcia, w jakie zmienił się Brandt.

- Byłbyś gotów pojechać z nimi w pilotówce, Brandt?

Brandt miał szarą twarz. Ogarnął wzrokiem cały port, zdmuchiwaną wiatrem pianę, a ja byłem przekonany, że się boi. Nie wiem, co się z nim działo, gdzieś w środku, ale coś się stało. Gdy znowu się odwrócił do Radla, na jego twarzy widniał leciutki uśmiech.

- Jestem najgorszym cholernym marynarzem, jakiego pan w życiu spotkał, pułkowniku, ale tak... jeśli Steiner będzie uważał, że mogę mu być pomocny, popłynę.

Radl z wolna pokiwał głową, a potem zwrócił się do Steinera.

- A wy, Steiner, możecie?

Za tym pytaniem kryło się więcej treści, znacznie więcej. Steiner zaczął otwierać usta do odpowiedzi, a potem spojrział na morze. Przez port przelatywał potworny szkwał, wyrwał łódź rybacką z cum i rozbijał ją na zapałki, tłukąc o nabrzeże. Steiner nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Pilotówka, nawet jeśli by się jej udało, wbrew przepowiedni Ezry, wydostać poza falochron, nie utrzymałaby się nawet przez chwilę na takim morzu.

- Ponieważ, jak widzę, wszyscy postanowili zachowywać się rozsądnie, wrócimy do naszych

zająć, prawda? Do widzenia, panowie.

Radl zsalutował, odwrócił się i skierował do swego mercedesa. Gdy odchodził, odezwał się Fitzgerald:

- Niech diabli porwą tego skurwysyna do samego piekła, ale on ma jednak rację. Po prostu niczego nie możemy zrobić, prawda, pułkowniku Morgan?

Nie wiem, czemu odwoływał się do mnie, ale, prawdę powiedziawszy, nie zwróciłem na niego uwagi. Myślałem o czymś całkowicie innym. O czterdziestojednostopowej motorowej łodzi ratunkowej typu Watson, noszącej imię Owen Morgan.

Bunt

Do Charlottestown pojechaliśmy samochodem terenowym Brandta; to znaczy pojechali ci z nas, których ta sprawa najbardziej dotyczyła: Brandt, Steiner, kapitan Schellenberg, Ezra, Fitzgerald i ja.

Radla nie było w Platzkommandantur, przebywał natomiast w swym domu, starym probostwie na głównej ulicy po przeciwnej stronie niż kościół. W dzieciństwie często tam bywałem. W dalszym ciągu wyglądało tak samo, jeśli nie liczyć dwóch esesmanów na warcie, którzy mokli, stojąc po obu stronach wejścia.

Wewnątrz znajdował się duży, kwadratowy hol z kominkiem Adamów [20], w którym płonęło wyrzucane przez morze drewno. Nad nim wisiał obraz mego ojca, zimowy pejzaż Wieżyczek, widzianych z Fortu Edward.

Radl, jak zdążyliśmy zauważyć, siedział przy wczesnym lunchu i gdy pojawił się w drzwiach jadalni, miał w ręku serwetkę. Nie wyglądał na zadowolonego.

- I co to wszystko, jeśli wolno spytać, ma znaczyć?

- Jeśli pan pozwoli, panie pułkowniku - odezwał się Brandt - pułkownik Morgan ma pomysł. Sposób na ocalenie tych z Dumy Hamburga.

- Doprawdy? - Radl powoli zwrócił się w moją stronę.

- W rzeczywistości to bardzo proste - powiedziałem. - W Granville jest łódź ratunkowa.

- Imieniem Owen Morgan - przerwał. - Wyrzucony na brzeg wieloryb, pułkownik Morgan. Nie ma tam slipu, a gdyby nawet był, to plaża jest usiana minami.

- Przeciagniemy ją po ładzie do Charlottestown - od powiedziałem. - I spuścimy na wodę w porcie.

Podniósł serwetkę do ust.

- A co z załogą?

- Należałem do załogi przed wojną, gdy Ezra Scully był sternikiem. Starszy sierżant Steiner i jego ludzie - wszyscy zgłosili się na ochotnika.

- I moi także, sir - dodał Fitzgerald.

Radl wpatrzył się w niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę?

- Żaden z nich nie ma doświadczenia z łodziami ratunkowymi - powiedziałem - ale wydaje się nam, że rangersi i Brandenburczycy będą stanowili najlepszą z możliwych do skompletowania załóg, biorąc pod uwagę ich wykształcenie i temperament.

Być może powiedziałem to w niewłaściwy sposób, bo Radl zupełnie stracił panowanie nad sobą.

- Kim, u diabła, myślisz, że jesteś, Morgan? - Po raz pierwszy nie wymienił mego stopnia. - Ja tu dowodzę i na pański zwariowany koncept mówię: nie. Rozumie pan? - Popatrzył wściekłym wzrokiem na każdego z nas po kolei. - A teraz wynoście się.

Odwrócił się plecami. Wtedy Steiner powiedział spokojnie:

- Nie, naprawdę nie sądzę, abyśmy to zrobili, pułkowniku Radl.

Z kieszeni ceratowego płaszcza wyciągnął parabellum, a Schellenbergowi mimo woli zaparło dech. Wszystkich nas to zaskoczyło, bo tego rodzaju akcja nie była dyskutowana, gdy w porcie przedstawiłem im mój plan. Powód był dobry i wystarczający, ponieważ nikt z nas nie brał pod uwagę możliwości odmowy ze strony Radla.

- Sam pan widzi, że nie mamy ani chwili na kłótnie, pułkowniku Radl - powiedział Steiner. - Duma Hamburga może tkwić na tamtych skałach przez resztę dnia. Ale istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że żywioł rozedrze ją na strzępy w ciągu paru najbliższych godzin. Obawiam się, że muszę nalegać, aby podzielił pan nasz punkt widzenia.

- A więc nareszcie do tego doszło, Steiner. Nareszcie. - Radl rzeczywiście uśmiechał się, jeśli to można było nazwać uśmiechem. - Jawnie zrzuciłeś maskę i pokazałeś, jaki jesteś naprawdę. Bez chowania się za ojczyzną i orderami. Będziesz kopał powietrze nogami jak Braun, zanim z tobą skończę.

Myślę, że ta właśnie mała przemowa stała się jego ostatnim gwoździem do trumny. Podejrzewam bowiem, że do tej chwili Brandt wahał się, oszołomiony potwornością tego, co się działo. Ale teraz zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Daj mi to, Steiner.

Steiner przez długą chwilę patrzył mu prosto w oczy, potem podał parabellum kolbą do przodu. Następne słowa Brandta starły triumfalny uśmiech z twarzy Radla.

- Starszy sierżant Steiner działał z mojego rozkazu, pułkowniku Radl. Teraz ja tutaj dowodzę.

- Czyś ty zwariował, Brandt? - zapytał Radl. - Z czy jego upoważnienia?

- Mojego własnego. Uważam, że zaniechałeś wykonywania swych obowiązków w sposób, jaki wymagany jest od niemieckiego oficera. Z tego powodu obejmuję dowództwo zgodnie z prawem i jestem gotów bronić tego działania przed każdym właściwym sądem polowym. Uważaj się za osadzonego w areszcie domowym.

Radl zaśmiał się dziko.

- I sądzisz, że będę cicho siedział i milczał. To jest bunt.

- Jeśli tego nie zrobisz, zastrzelę cię. - Brandt zwrócił się do nas. - W tej chwili nie chcemy żadnych kłopotów, szczególnie z esesmanami, będzie więc lepiej, aby wszystko wyglądało tak normalnie, jak to tylko możliwe. Zostanę tutaj z pułkownikiem Radlem. Im wcześniej weźmiecie się do roboty, tym lepiej. Ty, Schellenberg, nominalnie będziesz dowodził, ale proponowałbym, abyś zastosował się do wszelkich rad, jakie pan Scully i pułkownik Morgan zechcą ci udzielić.

- Ostrzegam cię, Brandt, po raz ostatni - odezwał się Radl.

- Ja pana ostrzegam, pułkowniku Radl. Przy pierwszym podejrzanym ruchu wpakuję kulkę. A teraz zechce pan wrócić do jadalni.

Radl cisnął trzymaną serwetkę na podłogę i zawrócił na pięcie. Brandt poszedł jego śladem, ale zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

- Życzę szczęścia, panowie, wszystkim nam będzie ono potrzebne. - Uśmiechnął się. - A dla pana i pańskich przyjaciół, pułkowniku Morgan, mam prezent pożegnalny.

Wyciągnął z kieszeni klucz do kajdan i rzucił mi.

Aż do śmierci pamiętać będę ową scenę, gdy Steiner przemówił do ludzi zgromadzonych na nabrzeżu. Zbili się ciasno, by usłyszeć jego głos przebijający się przez ryk wiatru. Steiner stał na tylnej ścianie skrzyni jednej z ciężarówek.

Był to pomysł Schellenberga. W probostwie ogarnęło go przerażenie z powodu przebiegu wydarzeń, ale gdy tylko wyruszyliśmy samochodem terenowym do portu, stał się innym człowiekiem. Prawdę powiedziawszy, po tym strasznym dniu i wypadkach, które później nastąpiły, nikt z nas nie był już tym, kim był przedtem. Myślę, że to huk wiatru i przenikające aż do mózgu zimno wpędziły nas w lekkie szaleństwo.

Schellenberg, który chyba po raz pierwszy w życiu czuł się sobą, w ciągu pięciu minut, tyle zabrała nam jazda do portu, nakreślił kompletny plan działań. Według jego oceny, mógł natychmiast podporządkować sobie około stu dwudziestu ludzi, a czas miał w tej chwili zasadnicze znaczenie. Uwzględnił robotników Todta, większość saperów, kilku artylerzystów oraz nas wszystkich. W magazynie sprzętu, mieszczącym się koło południowego nabrzeża, Schellenberg miał mnóstwo narzędzi i sznurów. Mogliśmy także skorzystać z trzech wielkich ciężarówek.

Należało jednak spowodować, żeby wszyscy zaczęli zgodnie działać, zarówno Niemcy, jak i robotnicy Todta, a to była zupełnie inna para kaloszy. To stało się zadaniem Steinera, bo Schellenberg miał dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że Steiner jest jedynym człowiekiem, którego wszyscy szanują.

Aby go usłyszano, musiał krzyczeć, a przemówił krótko:

- W Granville jest łódź ratunkowa. Możemy ją przeciągnąć tutaj i spuścić na wodę w porcie, wtedy być może będziemy w stanie coś zrobić dla tych nieszczęśników na morzu. Jeśli nie zrobimy, potopią się. To wszystko.

Jak powiedziałem, wiatr i zimno doprowadzały tego dnia ludzi do szaleństwa. Jeden z robotników Todta, niski, nic nieznaczący człowieczek w poszarpanym palcie, zabrał głos. Sądząc z akcentu był Francuzem.

- No i dobrze. Cholerni Niemcy. Czemu mielibyśmy kiwnąć palcem?

Po jego słowach słyhać było tylko wiatr. Twarze niektórych ludzi natychmiast zaczęły wyrażać przerażenie śmiałością jego wypowiedzi. Na innych widać było wyraźną aprobatę, ale ich właściciele byli zbyt ostrożni, by cokolwiek powiedzieć.

- Może masz rację! - wrzasnął Steiner. - Nie mam czasu na przekonywanie. Jeśli chcecie dopomóc, włączcie na ciężarówki. Jeśli nie, to do diabła z wami. Sami damy sobie radę.

Zeskoczył na ziemię i przez chwilę robotnicy Todta stali na miejscu; niektórzy spierali się między sobą. Poparcie dla Steinera pojawiło się z najbardziej nieoczekiwanej strony. Fitzgerald wdrapał się na tylną burtę ciężarówki. Sądząc z jego miny, potrzebna mu była tylko szabla, aby ją wznieść w prawicy.

- Wszyscy mnie znacie. Jestem Amerykaninem, lecz, na Boga, gdy ta łódź ratunkowa wyjdzie z portu, moi ludzie będą częścią załogi wraz z pułkownikiem Morganem i panem Scullym, którzy są Anglikami, oraz starszym sierżantem Steinerem i jego ludźmi:

Niemcami i Austriakami. Tam giną ludzie. Nieważne, kim są. A teraz zamknijcie gęby i ładujcie się na ciężarówki.

I to podziałało. Nie natychmiast, i bez nagłego, powszechnego pędu. Myślę jednak, że trzydziestu czy czterdziestu usłuchało go od razu. Po pewnym czasie dołączył do nich następny tuzin. Być może z mniejszym zapalem, ale przyszli. Żołnierze już się załadowali na pierwszą ciężarówkę, na ziemi została tylko garstka robotników. Ktoś zawołał, po czym rozległ się chór głosów. To wystarczyło. Spóźnialscy podeszli i zostali wciągnięci na skrzynię ostatniego samochodu.

Byłem jednym z jadących w wozie terenowym, który zamykał naszą małą kolumnę. Gdy ruszaliśmy, kolejna łódź rybacka zerwała się z cum i została rzucona na falochron, rozlatując się natychmiast.

Miałem nadzieję, że to nie jest zły omen..

O wietrze można było powiedzieć tylko to, że gdy zjeżdżaliśmy z góry do Granville, wiał jeszcze mocniej. Na terenie Seigneurie zdzierał liście i gałęzie buków, a nasze ciężarówki zataczały się przerażająco z boku na bok.

Poważną trudność stanowiły wąskie uliczki. Oczywiście samochody nie były w stanie dotrzeć do samej plaży, więc wyładowały ludzi na skraju wioski. Ale jeśli one nie mogły sobie dać rady z

wąskimi ulicami, to co będzie z Owenem Morganem? Jak pamiętałem, jego szerokość wynosiła jedenaście stóp i osiem cali. Skręcanie na skrzyżowaniach będzie problemem.

Przedstawiłem sprawę Schellenbergowi, który poważnie skinął głową.

- Wszelkie przeszkody na drodze zwalimy, lecz najpierw musimy wydobyć łódź.

Hangar zbudowany był z płyt sprężonego betonu. Schellenberg wysłał do środka, pod dowództwem sierżanta Schmidta, pół tuzina saperów uzbrojonych w dziesięciofuntowe młoty, i oni po prostu wywalili płyty tylnej ściany za pomocą ciągłego ognia zaporowego łomotów, trwającego nie dłużej niż dwie, trzy minuty.

Owen Morgan pojawił się przed wszystkimi, schludny i piękny, pokryty błękitną i białą farbą. Był świadectwem starań, jakimi otaczał go Ezra. Ale spoczywał na swym wózku transportowym przez blisko pięć lat, pięć lat bezczynności. Nagle, zbliżywszy się popychany przez tłum, po raz pierwszy zacząłem wątpić, czy ta łódź będzie zdolna do podróży.

Ale teraz nie było czasu na tego rodzaju wątpliwości i Ezra objął kierownictwo, wskazując, gdzie chce, aby zamocowano liny.

Przepchnął się do mnie uśmiechnięty Fitzgerald.

- No to ruszamy się, he? Czy widział pan kiedyś coś tak cudownego? Proszę popatrzeć na ich twarze.

Miał rację. W tłumie zapanował nowy nastrój, więcej było uśmiechów, niż kiedykolwiek widziałem, w powietrzu czuło się podniecenie.

Rzucono liny, chętne dłonie pochwyciły je, Fitzgerald złapał jedną z nich i zwrócił się do mnie z promiennymi oczyma.

- Ciągną wszyscy razem, Morgan, czy pan to widzi?

Na Boga, to najwspanialsza sprawa, jaka mnie w życiu spotkała.

Bo tego dokładnie potrzebował, tego pożądała jego dusza. Ludzie okazujący największe poświęcenie, ciągnący wszyscy razem, z prawdziwym przekonaniem. Zupełnie nie jak na wojnie; nie miało to nic wspólnego z tym, co przeżywał w ostatnich kilku dniach.

W służbie, z załogą i sprzętem na pokładzie, Owen Morgan ważył piętnaście ton - aż nazbyt dużo do transportowania wąskimi ulicami. Gdy wyciągnięto łódź z Ezrą stojącym na dziobie, rozległy się gromkie wiwaty, ale natychmiast stało się jasne, że nie zdoła się ona przedostać przez zakręt u szczytu ścieżki.

- Ten domek na rogu! - wrzasnął Ezra. - Zwalcie go!

Pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu ludzi rzuciło się tam z łomami, kilofami i młotami, pchając

się do celu tak blisko, że gdy frontowa ściana się zawaliła i zaczęły spadać kamienie, niemało odniosło lżejsze obrażenia. Znowu podjęto holowanie i łódź swobodnie przesunięto na następną uliczkę. Tam, za rogiem, znajdował się ogród, otoczony pięciostopowym murem. Schellenberg już przy nim pracował z innym zespołem i gdy dotarliśmy na miejsce, ściana była zrównana z ziemią.

Teraz główną trudność stanowiła stromizna drogi, prowadzącej pod górę ku Seigneurie. Spływała wodą ulewnego deszczu, a nawierzchnię miała tak potrzaskaną, że ciężarówki nie przydawały się tu do niczego. Pojechały naprzód, a wszyscy zdolni do pracy przyłożyli się do lin i zaczęli ciągnąć. Ludzie ślizgali się, klnąc, gdy tracili oparcie dla stóp, a w pewnym momencie rozległ się czyjś wrzask, bo wózek osunął się do tyłu, miażdżąc komuś stopę.

Przypuszczam, że ktoś zajął się poturbowanym, ale nie było czasu, by się zatrzymywać. Musieliśmy posuwać się naprzód. Gdy szedłem tyłem, krok za krokiem, ciągnąc linę, widziałem stamtąd Fort Victoria, a za nim kanał La Manche. Widok był niewiarygodny. Wysokie fale z długimi, zwisającymi grzywami i wielkimi łatami piany, wodny pył gęsty jak mgła, unoszony wyjąłym wiatrem. Dawało to niejaki przedsmak tego, co nas czekało.

Dotarliśmy na wysokość Seigneurie, a z jej bram wylał się tłum na nasze spotkanie. Sanitariusze, pacjenci, wszyscy pchali się, by zdobyć miejsce przy jednej z lin. To było naprawdę zdumiewające. Każdy chciał wziąć udział w wydarzeniach. Przypuszczam, że o większości tych ludzi można było zgodnie z prawdą powiedzieć, że po raz pierwszy od lat robili to, czego naprawdę chcieli.

Na skraju tłumy znalazł się Paddy Riley i Simone w wojskowym płaszczu. W tym momencie przestaliśmy ciągnąć, bo ciężarówki zajęły właściwe pozycje i przywiązano do nich liny. Ruszyłem w kierunku Simone, ale Steiner mnie uprzedził. Przywarła do jego ramion i uniosła twarz z takim wyrazem, jaki widziałem tylko raz w życiu, i to dawno temu, lecz wówczas był przeznaczony dla mnie. Odwróciłem się plecami, a liny się napięły i ciężarówki powoli zaczęły posuwać się do przodu.

Od tego miejsca wszystko poszło względnie łatwo. Ludzie szli stłoczeni obok, popychając i dźwigając na zakrętach, odskakując, by ocalić życie, kiedy łódź chwiała się przerażająco na swym wózku. Podniecenie teraz było tak intensywne, że gdy minęliśmy pas startowy i zaczęliśmy opuszczać się z pagórka w stronę Charlottestown, sięgnęło poziomu gorączki.

Podepchnęliśmy łódź tak blisko, by jej dziób dotknął tylnej burty jednej z ciężarówek, i ruszyliśmy w dół, ze wszystkich sił przywarci do lin, by nie pozwolić jej uciec. Na mokrym bruku ciężarówka ślizgała się skokami po parę jardów, a wózek wraz z nią do tego stopnia, że rufa rzucała się na boki, roztrącając przerażonych ludzi. Zjeżdżając wzdłuż głównej ulicy, nieraz otarła sobie farbę, a także zrujnowała dwie wystawy sklepowe. Aż nagle zakręciliśmy na ostatnim rogu i tam, sto jardów pod nami, leżał port.

Można powiedzieć, że to, co nastąpiło teraz, stanowiło nagłą zmianę nastrojów. Gdy dotarliśmy do nabrzeża, odłączyliśmy łódź od ciężarówki i już ręcznie przeciągnęliśmy główną drogą dojazdową do dolnego nabrzeża. Na drugim jego końcu, koło południowej przystani, kamienny slip zniknął pod piętzącą się wodą. Na pokładzie Steiner i Brandenburczycy dołączyli do Ezry, a potem

zepchnęliśmy łódź na wodę i przycumowali.

Gdy tak patrzyłem, jak znowu unosi się na fali, trąc o przystań, jakoś nie mogłem uwierzyć w to wszystko. Zdawało się, że to już było dawniej, nie teraz. I w jakimś sensie, jak sądzę, tak było.

Schellenberg kazał ludziom przytoczyć beczki benzyny z głównej składnicy, a kapitan Warger nadzorował napełnianie zbiorników. Kiedy Ezra wziął się do roboty, a silniki zapaliły, była to wielka chwila. Doprawdy, po tylu latach nie mogłem wprost uwierzyć, choć trzeba było pamiętać, że Ezra opiekował się nią jak małym dzieckiem.

Owen Morgan, jak wspomniałem, był motorową łodzią ratunkową typu Watson, długą na czterdzieści jeden stóp, podzieloną na osiem wodoszczelnych komór i wyposażoną w sto czterdzieści pięć pływaków powietrznych. Miała dwie śruby, napędzane dwoma silnikami po trzydzieści pięć koni mechanicznych, każdy zaś z nich miał wodoszczelną obudowę, dzięki czemu mogły działać nawet przy zalanej maszynowni. Jej szybkość wynosiła osiem węzłów i w normalnych warunkach wymagała ośmioosobowej załogi, a przy wzburzonym morzu mogła wziąć na pokład pięćdziesiąt osób. Miała dwa kokpity, wyrzutnię linki ratunkowej i wiele innego pożytecznego wyposażenia.

Nasza załoga liczyła teraz jedenastu ludzi z Ezrą włącznie. O trzech więcej niż zwykle, ale tak zapewne było lepiej, biorąc pod uwagę ich brak doświadczenia. Ezra dostarczył wszystkim żółte okrycia ceratowe Instytutu Łodzi Ratunkowych Marynarki Królewskiej, jak również kamizelki ratunkowe, i śmiem twierdzić, że w chwili wyruszenia w drogę wyglądaliśmy na tak dobrą załogę, jak tego mógłby oczekiwać instytut.

Pełniłem funkcję drugiego sternika i przekazywałem rozkazy Ezry. Rzuciliśmy cumy i odeszliśmy od nabrzeża. Na moją propozycję Steiner został strzelcem wyrzutni, a Fitzgerald na śródkręciu zwijał cumę. Gdy przeszedł na rufę i znalazł mnie w kokpicie, oczy mu błyszczały.

Powiedział coś z uśmiechem, ale nie dosłyszałem jego słów, bo porwał je wiatr. Biedny głupiec nie wiedział, w co się ładuje. Nikt z nich nie wiedział.

Zagłada Dumy Hamburga

Kiedy później rozmawiałem z ludźmi, którzy z brzegu śledzili przebieg wypadków, twierdzili, że w życiu nie widzieli niczego podobnego. Chętnie w to wierzę, bo gdy tylko wydostaliśmy się poza falochron, wiatr osiągnął siłę huraganu, a fale nabrały zawrotnej wysokości. Z grubsza oceniając, powiedziałbym, że miały wysokość w granicach czterdziestu stóp, licząc od bruzdy do szczytu, a gdy zjeżdżaliśmy z nich, wrażenie było takie, jakbyśmy lecieli na łeb do piekła.

Natomiast wspięcie się na następny grzbiet wydawał się absolutnie niewykonalne. Łódź zwalniała niemal do zatrzymania w połowie wysokości, więc przez straszliwe chwilę zdawało się, że ześlizgniemy się do tyłu. Ale każdym razem udawało się nam, choć stawaliśmy w scy, nim znów runęliśmy do przodu, a śruby szaleńczo meły powietrze.

Warger patrzył na nas z główki falochronu, a w wiele lat później powiedział mi, że nigdy nie był w stanie zapomnieć tego widoku, bo za każdym naszym zniknięciem tracił nadzieję, iż nas jeszcze ujrzy.

W tych warunkach nie ma się czemu dziwić, że na otaczających mnie twarzach widziałem strach. Nieustannie nabieraliśmy wody z wielkich zielonych tafli, przelewających się od dzioba do rufy, i czasami niektórzy z nas naprawdę walczyli o życie.

Hagen został zmyty za burtę przez jedną z wielkich fal, ale w jakąś chwilę później następna rzuciła go na pokład. Nigdy nie spotkałem u nikogo takiego wyrazu twarzy, jaki miał Hagen w momencie, gdy Fitzgerald i Grant zaciągnęli go do kokpitu.

Ezra otworzył boczne okno sterówki, wychylił się i zawołał do mnie:

- Dopilnuj, Owen, aby każdy został przewiązany linką ratunkową. Będzie jeszcze znacznie gorzej, zanim się polepszy!

Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć, chociaż z różnych powodów linki ratownicze nie bywają używane przez załogi łodzi ratunkowych. Rozpocząłem obchód, sprawdzając wszystkich po kolei. Steiner był w przednim kokpicie z Lanzem, Obermeyerem i Schreiberem. Lanz rzygał straszliwie, choć przy takich ilościach zalewającej nas wody nie miało to znaczenia. Schreiber był przerażony. Dziwne, jak względną potrafi być odwaga. Oczywiście było, że Schreiber nie może tego znieść, nie powinien był z nami jechać. A przecież w innych okolicznościach zachował się w sposób, który można określić tylko jako prawdziwie bohaterski.

Wykrzyczałem instrukcje Steinerowi do ucha, on kiwnął głową, że rozumie, i osobiście zajął się linką ratunkową Schreibera. Podążyłem pokładem do tylnego kokpitu, gdzie zgromadziła się większość pozostałych, zatrzymując się przy oknie sterówki, by porozmawiać z Ezrą. Byliśmy może ćwierć mili za falochronem, gdy dotknęło nas nieszczęście.

Wszystko nastąpiło tak szybko, że niemożliwe było powiedzieć z całą pewnością, co zawiodło. Był to splot wypadków. Wysokość fal, które się na nas waliły, siła bijącego w nas wiatru, w chwili gdy huściliśmy się na grzbiecie potężnego grzywacza, spowodowały, że Owen Morgan, ześlizgując się w bruzdę, zszedł z kursu. Następna fala uderzyła w prawą burtę dziobową i wyróciliśmy się do góry dnem. Usłyszałem rozpaczliwy krzyk, rozgłośnie ryczenie i z całej siły przytrzymałem się otwartego okna sterówki.

Cały świat zmienił się w zalewającą mnie zieloną wodę, w sól w oczach i ustach, wypełniającą nozdrza, w ciężar nie do zniesienia. Byliśmy na pół zatopieni, a przecież ciągle posuwaliśmy się naprzód, bo silniki w wodoszczelnych osłonach ani na chwilę nas nie zawiodły. Zacząłem się dusić, ale w tym momencie wynurzyłem się nad powierzchnię, chwytając oddech wielkimi haustami, a łódź powoli prostowała się.

Doszło do mojej świadomości, że widzę Ezrę, z zerwaną zydwestką, wciąż trzymającego koło sterowe, z ustami otwartymi do głośnego krzyku. Odwróciłem się, by sprawdzić, co się dzieje z pozostałymi.

Fitzgerald był bezpieczny, Grant i Hagen podobnie, ale Wallace'a brakowało. Gdy wdrapywaliśmy się na następną falę, chwyciłem reling i dostrzegłem przelotnie coś żółtego, daleko wśród zielonej wody, a kiedy z trudem dotarłem do przedniego kokpitu, odkryłem, że nie ma także Schreibera; jego linka zerwała się. Nic nie mogliśmy zrobić. Spojrzałem do tyłu, zobaczyłem ostatni błysk żółtej barwy, a potem znów nurkowaliśmy w dół.

Aby przeżyć w takim morzu, trzeba było więcej niż kamizelki ratunkowej; trzeba było cudu, a w cuda dawno już przestałem wierzyć.

Od tej chwili była to raczej walka o nasze przeżycie niż cokolwiek innego. Wielkie fale zalewały nas tak, że oba kokpity były nieustannie pełne wody. Mogliśmy tylko trzymać się kurczowo, resztę zostawiając w rękach Ezry, i modlić się.

A byliśmy w dobrych rękach; lepszych nie bywało, bo jak już to gdzie indziej powiedziałem, był to mistrz kierowania małymi statkami przy parszywej pogodzie, był jednym z największych sterników w długiej i dumnej historii służby ratowniczej na morzu.

Tak straszliwa była pogoda, tak gęsta otaczająca nas zasłona deszczu i miotanego wiatrem pyłu wodnego, że ani przez moment nie widzieliśmy wyraźnie naszej zwierzyny. Ale w jakieś dwadzieścia minut po pierwszej wywrotce na krótką chwilę zamarliśmy na szczycie potwornej fali i około trzystu jardów przed sobą ujrzeliśmy Wieżyczkę.

Duma Hamburga była w ciężkiej sytuacji, wbita na skałę, z rufą pod wodą, a morze unosiło się i opadało o piętnaście, nawet dwadzieścia stóp pod jej kadłubem i fale waliły nieustannie. Miała tylko jeden, staromodny komin, proste burty i do tego nawisającą rufę. Nadbudówka była bardzo zniszczona, brakowało połowy mostka, a z żurawika pionowo zwisała łódź ratunkowa - nie ułatwiało to nam sytuacji, jeśli mieliśmy spróbować podejść do niej burta w burtę.

Nie rozumiałem, czemu ktoś jej nie odrąbał, ale w tym momencie nie wiedziałem jeszcze, jakie

były rozmiary tragedii, która dotknęła załogę statku, nie pojmowałem paniki ogarniającej umysły ludzi, schwytych w pułapkę tak nierozwiązywalnej sytuacji, stojących w obliczu pewnej śmierci.

W aktach Instytutu Ratownictwa można przeczytać oficjalne sprawozdanie o tym, co się wydarzyło, bo Ezra złożył raport przy pierwszej okazji. Nie było powodu, by tego nie robił, bo przecież to była jedna z łodzi instytutu, odpowiadająca na takie samo wezwanie, jak każde inne.

Mówiąc prostymi słowami, rzecz wyglądała następująco. Zmieniając obroty silników od sześciuset do siedmiuset na minutę, Ezra odkrył, że może dokładniej przeciwstawić się prądowi odpływu, którego szybkości ocenił na prawie sześć węzłów. Nie miał innego wyboru,! jak spróbować pierwszego podejścia od sterburty, a te z powodu sposobu, w jaki Duma Hamburga osiadła na rafie.

Sytuacja nie mogła być już bardziej ponura, i to nie tylko dlatego, że poziom morza przy boku statku podnosił się i opadał. Była także łódź ratunkowa, którą ktoś próbował spuścić na morze, a teraz zwisała pionowo z tylnego żurawika.

Na pokładzie znajdowali się ludzie, trzymający się w różnych miejscach, choć nie było ich tylu, ilu się spodziewałem. Dopiero później odkryłem, że dwudziestu trzech z czterdziestu ośmiu pasażerów, z kapitanem włącznie, było już martwych; niektórzy zmcyi z pokładu, gdy Duma Hamburga osiadła na rafie, inni utopieni, gdy jedyna łódź ratunkowa, którą udało się pomyślnie zwodować, została prawie natychmiast zdruzgotana przez to straszliwe morze.

W połowie długości statku zwisała drabinka, po której załoga powinna kolejno schodzić, by przeskoczyć do nas. Ale gdy Ezra zdołał wykonać manewr i ustawił nas równolegle, łódź ratunkowa nad nami kołysała się tak wściekle i tak blisko drabinki, że jakakolwiek próba zejścia oznaczałaby samobójstwo.

Ezra odprowadził łódź od wraka i zaprzestał manewrów, utrzymując nas w miejscu za pomocą silników.

- Trzeba w jakiś sposób usunąć z drogi tę cholerną łódź na statku! - wrzasnął.

Steiner znalazł się obok mnie, bez zydwestki, z twarzą pokrytą kroplami wody. Skoczył do kokpitu i wziął topór.

- Podprowadź ją raz jeszcze, Ezra! - zawołał. - Spróbuję dostać się na drabinę.

Ezra nie spierał się. Nie miałyby to sensu, bo tę robotę trzeba było wykonać, i to bez zwłoki. Owen Morgan podszedł do wraka, robiąc w ostatniej chwili zwrot i ustawiając się równolegle. Nadpłynęła ogromna fala, unosząc nas prawie na poziom relingu Dumy Hamburga, Steiner skoczył na drabinę. Gdy fala cofnęła się, z przyprawiającym o mdłości wstrząsem opadliśmy o piętnaście stóp i wyrznięliśmy burtą o kadłub. Cisnęło mną do kokpitu. Kiedy wstałem, ujrzałem Steinera gramolącego się przez reling nad nami.

W tym samym momencie wisząca na statku łódź opadła, a jedno z jej wiosel zleciało, odbiło

się od dachu sterówki i wpadło do morza. Wrzasnąłem z całej siły, a gdy takie zerwały się i łódź spadła, wszyscy skoczyli, by się ukryć.

Łódź ratunkowa statku wyrznęła w dach naszej sterówki, a potem ześlizgnęła się na lewą burtę i tam zawisała na łańcuchach ochronnych. Wszędzie rozrzucone były wiosła i różne części wyposażenia, a Ezra leżał na pokładzie.

Kolejna fala zderzyła nas z kadłubem Dumy Hamburga. Krzyknąłem na Fitzgeralda i Granta, chwyciłem topór i zacząłem się gramolić, by oczyścić pokład ze szczątków. Walczyliśmy jak szaleni, rąbiąc wściekle łódź ratunkową, mocując się z nią, by ją zepchnąć, nim będzie za późno. A prawie już było. Nadeszła następna potężna fala, ciskając nami o kadłub wraka, ale wtedy Ezra dał silnikom pełne obroty i zakręcił kołem sterowym. Znow straciłem równowagę, lecz wstrząs pomógł ruszyć z miejsca większą część rozbitej łodzi. To, co z niej zostało, ześlizgnęło się przez prawą burtę, a my odeszliśmy od wraka.

Krwawiłem z rozcięcia na czole. Ezra krwawił, Grant krwawił. Fitzgerald był cały, ale nie wypuszczał topora z rąk, jak gdyby chciał się nim posłużyć, a gdy na mnie spojrzał, roześmiał się na całe gardło.

- Dalej, dalej, dalej! - wrzasnął. - Na co czekamy?

Zauważyłem, że Ezra ma głębokie rozcięcie na czole.

Spokojnie otarł krew i wskazał palcem przez okno sterówki.

- Wydaje się, że Manfred zaczyna ich organizować.

Podejźmy i będziemy ich łapać tak szybko, jak się da, Owienie. Ty tam będziesz dowodził.

Podszedł do wraka od zawietrznej Dumy Hamburga przeciw prądowi do sterburty, pozwalając prądowi zanieść nas na miejsce. Na drabince, wysoko nad nami, czekała para ludzi, ale gdy następna fala uniosła nas w górę, znaleźliśmy się praktycznie na równym poziomie. Sierżant Lanz i Fitzgerald byli już przy relingu i złapali obu mężczyzn w chwili, gdy ci skoczyli.

Jeden okazał się marynarzem, drugi kapralem artylerii. Skulili się w przednim kokpicie, a gdy kolejna fala wyrznęła nami o kadłub Dumy Hamburga, trzech dalszych było gotowych do skoku.

Dostrzegłem przechylonego przez reling Steinera, machnąłem mu ręką i pierwszy z nich skoczył. Grant złapał go i wciągnął do kokpitu. Drugi zawahał się, a potem poszedł śladem pierwszego. Ale zdecydował się za późno. Fala cofnęła się, my opadliśmy o piętnaście stóp, a człowiek, krzycząc z bólu, wylądował ciężko na dachu sterówki, stamtąd zaś spadł na pokład.

Gdy Grant z Lanzem ciągnęli go do kokpitu, był nieprzytomny i wyraźnie ciężko ranny. Trzeci zawisnął oburącz na drabince i tak pozostał, nawet gdy zrównaliśmy się z nim. Wisiał tam tak długo, że wystarczyłby mu jeden krok, zrobiony bez trudności nad naszym relingiem. Stracił odwagę.

Fitzgerald wychylił się i gdy unieśliśmy się ponownie, chwycił go oburącz, by ściągnąć siłą.

Człowiek wrzasnął panicznie i trzymał się twardo. Fala odrzuciła naszą łódź o dwadzieścia stóp od wraka, a Fitzgerald, który nie chciał wypuścić nieszczęśnika, został wyciągnięty za burtę. Udało mu się pochwycić drabinkę i wisiał tam, tuż poniżej człowieka, którego próbował ocalić. Ten zaś wygramolił się wyżej, aż do relingu, i przelazł przezeń.

Po chwili stało się to, co kiedyś przydarzyło się memu ojcu. Pochwycił nas bezlitośnie nagły przeciwprąd i pchnął niczym ręka olbrzyma, rzucając znów na kadłub Dumy Hamburga. Nogi Fitzgeralda uwięzły między naszym relingiem a drabiną.

Wrzasnął z okropnego bólu głośniejsz, niż ryczał sztorm, i wtedy Steiner, wychyliwszy się nad relingiem, złapał go w chwili, gdy zaczęło nas znosić.

Wszystko zdawało się rozgrywać w zwolnionym tempie. Steiner chwycił go jedną ręką, drugą trzymając się górnego szczebla drabiny. Ale to nie wystarczyło i Fitzgerald zaczął mu się wyslizgiwać. Podbiegłem do relingu i skoczyłem. Złapałem dolny szczebel drabiny, gdy znaleźliśmy się w bruździe fali. Następna wyniosła mnie w górę, na wysokość Fitzgeralda, ja zaś chwyciłem drabinę i objąłem go ramieniem.

Jakoś przepchnęliśmy go nad relingiem, a gdy się odwróciłem, Owen Morgan znowu odchodził od wraka. Pomachałem ręką, Ezra odmachnął, ale płynął przed siebie. Wiedziałem, że musi ponownie ocenić sytuację, bo teraz, przy szybkim odpływie, cała operacja stawała się jeszcze trudniejsza.

Fitzgerald był w fatalnym stanie. Obie nogi miał wyraźnie zmiażdżone, ale nie czuł bólu, bo był nieprzytomny. Tu i ówdzie skuleni ludzie trzymali się, czego się dało, lecz żaden się nie ruszył, by nam pomóc. Objęliśmy go wspólnie, ciągnąc po pochyłym pokładzie, a Steiner kopnął pierwsze drzwi, które się nawinęły.

Było to coś w rodzaju salonu, z barem na końcu, wyściełanymi krzesłami i przyśrubowanymi do podłogi stołami. Za jednym z nich siedział oficer marynarki wojennej, zaklinowany w kącie. Miał na sobie galowy mundur, z czapką włącznie, a ja nie potrzebowałem przyglądać się wszystkim jego złotym galonom ani rzędom wstążeczek orderowych, by wiedzieć, że ten człowiek to Koryettenkapitdn Karl Olbricht. Był w gorsecie ortopedycznym, z podbródkiem podtrzymywanym czymś w rodzaju aluminiowej miseczki. Warto też wspomnieć, że w jednej dłoni zaciskał butelkę rumu, w drugiej zaś szklankę.

Kopnięciem zamknąłem drzwi, a względna cisza, która nastąpiła, miała w sobie coś niesamowitego.

- Wejdźcie panowie - powiedział po niemiecku Olbricht. - Zechciejcie wejść.

Był w półpijany.

- Wybaczcie, że nie wstaję, ale nieszczęściem mój kręgosłup i jedna noga są podtrzymywane jakimiś takimi stalowymi urządzeniami. Nawet w najlepszych momentach utrudniają życie. A bardziej niż uniemożliwiają, w takich sytuacjach jak ta. Co się tam dzieje na zewnątrz?

- Kapitanie Olbricht - przedstawił się Steiner - starszy sierżant Steiner, Dywizja Brandenburska. Ten dżentelmen to pułkownik Morgan, oficer brytyjski. Przybyliśmy z St-Pierre łodzią ratunkową, by spróbować was ocalić.

Olbricht popatrzył na mnie tępym wzrokiem.

- Brytyjski? A więc... przegraliśmy wojnę?

- Zbyt długo trzeba by wyjaśniać. To jest oficer amerykański, major Fitzgerald. Jest ciężko ranny. Będziemy musieli zostawić go z panem, aż zorientujemy się, co słychać na zewnątrz.

Kapitan wyglądał w tym momencie na całkiem oszołomionego, choć przypuszczam, że głównie z powodu rumu. Gdy wyszliśmy na pokład, przez pewien czas nie mogłem zobaczyć Owena Morgana, gdyż znajdował się w bruździe między dwiema wielkimi falami. A potem się wynurzył niespodziewanie blisko, ale zupełnie z innej strony.

Łódź robiła właśnie wielki zakręt i podchodziła do rufy Dumy Hamburga, która, jak powiedziałem, znajdowała się pod wodą. Nagle zrozumiałem, co Ezra chce zrobić. Zaiste desperacki fortel, ale z szansami na powodzenie. Podprowadził łódź prosto nad relingiem rufowym, aż oparła się dziobem o pokład, utrzymując ją w miejscu silnikami. Ludzie z Dumy Hamburga byli zbyt ośmiali, by zrozumieć, co się dzieje. To Steiner pobudził ich do działania.

Wdrapał się po pochyłym pokładzie i najbliższego człowieka walnął zaciśniętą pięścią.

- Ruszaj się, do diabła, ruszaj się!

Teraz poderwali się wszyscy, ześlizgując się na rufę na tyłkach. Zobaczyłem, jak pięciu czy sześciu z nich gramoli się przez reling do łodzi ratunkowej, a potem morze ją znów odrzuciło.

Odpyływ wzmagął się szybko i szczyt nadburcia rufowego, poprzednio skryty pod wodą, teraz się wynurzał. Ezra nie miał wiele czasu, to było pewne.

Znów podprowadził Owena Morgana, wpychając dziób na pokład, i jeszcze pół tuzina ludzi bezpiecznie wciągnięto. Czekają już tylko trzech, zanurzonych po pierś w wodzie, gdy Ezra przygotowywał się do następnego podejścia.

Chwyciłem Steinera za rękę i zawołałem:

- Lepiej weźmy Fitzgeralda, nie mamy wiele czasu!

Wróciliśmy do salonu. Fitzgerald był ciągle nieprzytomny, a Olbricht wyglądał na bardziej pijanego.

- Czas się ruszyć, kapitanie - powiedział mu Steiner. - Łódź ratunkowa czeka u rufy.

- Ruszyć? - spytał Olbricht. - Dokąd, drogi chłopcze?

Nie mogę nawet wstać. Zdrutowany struną fortepianową - oto jaki jestem.

- Nie kłóć się z nim - powiedziałem Steinerowi. - Zabierzemy Fitzgeralda w bezpieczne miejsce i wrócimy po niego.

Wzięliśmy Amerykanina między siebie tak ostrożnie, jak tylko się dało, i znów wyszliśmy na pokład. Łódź ratunkowa już czekała, a gdy ruszyliśmy w dół, zobaczyłem, że Grant drapie się ku nam pod górę.

Kilka rzeczy nastąpiło równocześnie. Nadpłynęła wielka fala i zakołysała Dumą Hamburga tak, że pokład pochylił się jeszcze bardziej, a my straciliśmy równowagę. Byłem blisko relingu i zdołałem go pochwycić jedną ręką, drugą zaś utrzymać Fitzgeralda.

Steiner głową do przodu zwałił się po pochyłości i, nad rufowym nadburciem, dołączył do Granta, który już był w wodzie. Owena Morgana znów odciągnęło, a Ezra walczył silnikami, by go utrzymać o dwadzieścia jardów od rufy. Woda poniosła Granta i Steinera wzdłuż łodzi, wyrzucono liny i załoga pośpieszyła, by ich złapać. Załoga. Z tej odległości nie było możliwe odróżnić, kto z nich był Niemcem, a kto Amerykaninem.

Ezra podprowadził łódź, ale było już zbyt późno, bo w tej fazie odpływ był nagły i wielki, a reling rufowy całkowicie znalazł się nad wodą. Ezra i wszyscy na pokładzie Owena Morgana znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie, bo wszystko się mogło wydarzyć, gdyby ich wniosło pod staromodną, nawisającą rufę Dumy Hamburga.

Wsunąłem dłonie Fitzgeraldowi pod pachy i zacząłem się cofać po stromym pokładzie. Okazało się to łatwiejsze, niż oczekiwałem, a może przekroczyłem już ten punkt, w którym zauważa się zmęczenie i ból fizyczny. Otworzyłem drzwi salonu i wciągnąłem go do środka.

Olbricht siedział dokładnie w tym miejscu, w którym pozostawiliśmy go.

- Myślałem, że pan opuszcza statek - zauważył.

- Ja też tak myślałem - odparłem ponuro.

Ułożyłem na podłodze prymitywny materac z poduszek, złożyłem na nim Fitzgeralda i znów wyszedłem na zewnątrz. Morze wyglądało jeszcze gorzej niż poprzednio, bruzdy między falami stawały się tak głębokie, że Owen Morgan co chwila znikał zupełnie.

Ezra wyprowadził łódź, oddalając się o dobre pięćdziesiąt jardów, a ja wiedziałem dlaczego. Teraz odpływ naprawdę wzmagał się, po obu stronach wynurzyły się poszarpane skały - śmiertelna pułapka, gotowa schwytać każdego, kto byłby wystarczająco głupi, by się tam zapędzić.

Lecz Ezra Scully nie był głupcem. Dokonał cudu. Wyszedł w morze, ku najgorszej rafie Wysp Normandzkich, z przypadkową załogą, przy huraganowym wietrze i ocalił życie dwudziestu czterech ludzi. W tej chwili lepiej było na tym przestać.

Pomachał mi ze sterówki, ja odmachalem, a potem Owen Morgan zrobił zwrot i rozpoczął

powolną i ciężką wędrówkę przez gigantyczne fale ku St-Pierre.

Mill-Race

Gdy wróciłem do salonu, Fitzgerald rzucał się niespokojnie, a kiedy się nad nim pochyliłem, zajęczał. Wyciągnąłem nóż i rozciąłem mu nogawki od kolan do kostek. To, co odkryłem, było bardzo nieprzyjemne. Według mojej oceny już nigdy w życiu nie będzie w stanie poruszać nogami.

- Nie jest dobrze z twoim przyjacielem? - zapytał Olbricht, a ja zrozumiałem, że bez względu na wypitą ilość alkoholu, jego umysł nie był bardzo przytępiony. - Tam jest kabina kapitańska. - Kiwnął głową w stronę wewnętrznych drzwi. - Na końcu korytarza. Powinna być tam jakaś apteczka.

Korytarz, podobnie jak salon, pochylał się pod kątem dwudziestu czy trzydziestu stopni, ale przedostałem się przezeń bez większych trudności. Kabina w ruinie, pościel, książki i szuflady wszędzie rozrzucone. Pierwszą moją cenną zdobyczą była lorneta w skórzanym pokrowcu. W szafce nad koją znalazłem politurowaną drewnianą skrzynkę z zestawem pierwszej pomocy. W chwili gdy wychodziłem z kabiny, cały statek zadrżał, rozległ się nieziemski brzęk, dźwięk rozdieranego metalu - coś, czego nigdy nie słyszałem, ani przedtem, ani potem. Następnie korytarz nagle uniósł się pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Straciłem równowagę i z niemałą szybkością poszorowałem na tyłku, mijając drzwi salonu i zatrzymując się dopiero, gdy uderzyłem w ścianę na drugim końcu. W każdym razie lornetę miałem już zawieszoną na szyi i udało mi się utrzymać pudło z apteczką, ale wdrapywanie się stromo pochyłonym korytarzem było czymś, czego dokonałem z trudnością.

Sytuacja w salonie nie była pozbawiona ponurego humoru. Olbricht ciągle siedział w narożnym miejscu, twardo utkwiony za stołem, ale lekko odchyłony do tyłu. Uśmiechnął się radośnie.

- Myślałem, że to koniec.

Potrząsałem głową.

- Statek osiada głębiej na rafie, bo morze opada, i to wszystko.

Fitzgerald wtoczył się do połowy pod wyściełaną ławkę. Wyciągnąłem go z powrotem na poduszki, próbując unieruchomić, i zajrzałem do apteczki pierwszej pomocy. Miałem nadzieję, że będzie tam środek znieczulający, i znalazłem, czego szukałem, w wąskim, metalowym pudełku. Równo ułożone, małe szklane ampułki jakiejś pochodnej morfiny, każda zakończona prostą igłą do zastrzyków.

Zgodnie z instrukcją wbiłem mu kilka w lewe ramię, a potem wziąłem jeszcze trochę poduszek i próbowałem ułożyć go tak wygodnie, jak się dało. Miał przed sobą długie oczekiwanie, bo nawet jeśli wiatr zelżeje, łódź ratunkowa, by odebrać kogoś w jego stanie, mogła zbliżyć się dostatecznie tylko podczas przyływu, gdy możliwe będzie przejście ponad skałami. Najwcześniej o czwartej rano, a jeżeli sztorm do tej pory nie pęknie, może nigdy.

Zwróciłem się do Olbrichta.

- Wychodzę na pokład. Chcę zobaczyć, czy łódź ratunkowa potrafi przedostać się do Charlottestown. Nie wiem, jak długo tam będę, ale nie ma pan czym się niepokoić.

Statek nie zejdzie z rafy podczas odpływu.

- Przyjacielu, spędziłem wojnę na łodziach podwodnych.

Dawno już przestałem się czymkolwiek niepokoić. Jeśli nie sprawi to panu kłopotu, proszę mi przynieść butelkę czegokolwiek z za baru, przypuszczam, że powrócę do istnienia. - Uśmiechnął się krzywo. - To cholerne urządzenie do utrzymywania mnie w całości bynajmniej nie jest wygodne.

Zdałem sobie sprawę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa on bardzo cierpi. Wdrapałem się po pochyłej podłodze i wszedłem za bar. Była tam masa potłuczonego szkła i zbitych butelek, ale niektóre ocalały. Przyniosłem mu rum, a on podziękował mi z powagą, wyciągnął zębami korek i napił się wprost z butelki.

Zostawiłem go i wyszedłem na pokład. Gdy otworzyłem drzwi, wiatr uderzył we mnie z wielką siłą, a piana trysnęła kaskadą z za relingu. Spojrzałem ponad burtą na ciągnącą się szeroko kotłowaninę poszarpanych, czarnych skał i białej wody. Dalej, przez całą odległość aż do St-Pierre, morze dźwigało się w górę potwornymi falami, biegnącymi jedna za drugą.

Lorneta była znakomita. Widziałem przez nią główkę falochronu, wejście do portu, ale przez siekącą deszcz i pył wodny nie można było więcej zobaczyć.

Znalazłem Owena Morgana o jakieś ćwierć mili od Dumy Hamburga, wynurzającego się z nicości na grzbiecie fali. Przez parę sekund widziałem wszystko doskonale, nawet Ezrę przez otwarte okno sterówki i Steinera, stojącego wraz z Grantem przy przednim kokpicie. Znowu zniknęli i byli tak długo niewidoczni, że ze ściśniętym sercem zacząłem wątpić, czy kiedykolwiek ukażą się znowu.

Ale się ukazali, Owen Morgan wynurzył się, wspiał się dęba jak za sprawą magii i znowu znikł w parę sekund. Pozostałem przy relingu przez całą następną godzinę, śledząc jego posuwanie się, będąc z nim przez każdy cal tej bolesnej drogi. Uniknął katastrofy tylko dlatego, że miał u steru geniusza, tego jestem pewien, bo morze było bardziej wzburzone, niż w życiu widziałem, a jego widok wystarczył, by wzbudzić grozę w sercu każdego człowieka.

Najgorszy moment nadszedł, gdy łódź była nie więcej niż paręset jardów od falochronu. Wiatr w porywach wiał z szybkością do stu węzłów i złapał Owena Morgana w dziki uścisk, gdy był na grzbiecie wielkiej fali. Łódź stanęła w pół wiatru i następna olbrzymia fala poniosła ją bokiem w stronę główki falochronu.

Pamiętając, co zdarzyło się przy innej okazji, przestałem oddychać. Czy Ezra będzie świadkiem zdruzgotania drugiego, pięknego statku? Cudownym zrządzeniem łódź skręciła czołem na wiatr, a ja w wyobraźni ujrzałem Ezrę, jak walczy, by opanować ją. W ostatnim momencie los albo pomniejsi bogowie dali się ubłagać. Zobaczyłem, jak Owen Morgan wspina się na ostatnią falę, a

potem spływa z niej do portu i znika za falochronem.

A więc - skończyło się i Ezra wygrał. Ezra i jego wspianiała, naprędce sklecona załoga. Osobliwe, ale poczułem się dziwnie bezsilny. Jeśli czegoś naprawdę potrzebowałem, to drinka, jednego lub dwóch. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że jest zimno i jestem przemoczony.

Wróciłem do salonu i szukając znów wśród butelek za barem, znalazłem coś, co było nie do uwierzenia: whisky Haig and Haig. Zaiste, oficcerskie zapasy. Zsunąłem się do Fitzgeralda. Ciągle był nieprzytomny, ale spokojniejszy więc wdrapałem się tam, gdzie siedział Olbricht, i wepchnąłem się za stół obok niego.

- Udało się - powiedziałem. - Widziałem, jak wchodzili do portu.

- Nadzwyczajne - odrzekł. Butelkę opróżnił do połowy. - Czy można się spodziewać, że powrócą?

- Tak przypuszczam, ale będą musieli poczekać do następnego przypływu. Możemy ich oczekiwać w każdej chwili po czwartej rano.

- Rozumiem. - Kiwnął głową. - Czy jednak nie będzie to czas największego dla nas niebezpieczeństwa? Morze potrafi spiętrzyć się na tych wodach do trzydziestu stóp czy coś koło tego, nieprawdaż? Przy jakimkolwiek wietrze to wystarczy, by zdjąć Dumę Hamburga ze skał, a na wypadek gdyby pan o tym nie wiedział, zawiadamiam, że spód ma oderwany. Pójdziemy na dno jak kamień.

- Zgadza się, udało się panu podsumować sytuację bardzo dokładnie. Czy poprawiło to panu humor?

- Niezbyt, właśnie z tego powodu piję tak dużo tego cholernego paskudztwa. A może pan nie zauważył?

Fitzgerald jęknął, odwrócił głowę na bok i otworzył oczy. Przepchnąłem się do niego.

- Jak się czujesz?

Popatrzył na mnie tępo, ze spoconą twarzą, a potem uśmiechnął się.

- Cześć, Owen - powiedział słabym głosem. - Co się stało?

- Bawiłeś się w bohatera o jeden raz za dużo, ty stuknięty skurwysynu, i dałeś się zmiażdżyć.

Skinął lekko głową.

- Teraz pamiętam... moje nogi. - Spróbował się podnieść, a ja pchnąłem go z powrotem. - Zupełnie nic nie czuję. Wygląda, jakby ich w ogóle nie było.

- Co nie jest zaskakujące - powiedziałem. - Naszpikowałem cię do oporu morfiną. A teraz bądź

cicho i nie przejmuj się.

Zamknął oczy, a po chwili znów je otworzył.

- A więc to jest Duma Hamburga. Co się stało z resztą?

- Wszyscy bezpieczni w porcie. Śledziłem ich przez każdy cal ich drogi. Wrócą po ciebie, po mnie i kapitana Olbrichta rano podczas przyływu.

Narkotyki zaczęły działać. Oczy mu się zaszkliły i powiedział cicho:

- Wiesz, być tam, na pokładzie Owena Morgana, to najwspanialsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała. Nie wyrzekłbym się tego za...

Nie zdołał dokończyć zdania i zamknął oczy.

- Umarł? - spytał Olbricht.

- Nie, jeszcze nie.

- Ale tak wygląda, zgodzi się pan?

Też tak uważałem, ale mówienie o czymś takim przynosiło pecha; znów odezwał się we mnie Celt. Powiedziałem, że się rozejrzę, i wyszedłem na pokład.

Woda dochodziła do kadłuba statku tylko wtedy, gdy wzdymał ją wiatr, bo teraz widać było znacznie więcej rafy, która sterczała pod ostrym kątem na podłożu poszarpanych skał. Tak daleko, jak tylko można dojrzeć, nie widać było najmniejszej oznaki, że coś złego zaraz się wydarzy. Niebezpieczny moment, jak powiedział Olbricht, nastąpi, gdy znów rozpocznie się przyływ. Pomyślałem o Mill-Race i zadrzałem. Widywałem na Wieżyczkach wraki, które jednego dnia były, a następnego znikwały. Zdarzało się to zbyt często, by stanowić pociechę.

Przepchnąłem się do resztek kabiny nawigacyjnej i zdobyłem tam latarnię oraz lampę sygnalizacyjną. Był już późny wieczór, znad horyzontu napływała ciemność, ale potworne fale wciąż toczyły się między nami i wyspą.

Zapaliłem latarnię i powiesiłem ją na haku. Olbricht uśmiechnął się.

- Trochę światła do odpędzenia ciemności. Nawiasem mówiąc, nie powiedział mi pan nic o wojnie. A więc skończyła się?

- Praktycznie tak.

Skinął poważnie głową.

- Może mi pan wierzyć albo nie, ale każdego dnia chciwie wyczekiwałem tej wiadomości przez prawie sześć lat. Teraz, gdy wreszcie nadeszła, wcale nie wydaje się aż taka ważna.

To było zupełnie zrozumiałe. Ułożyłem jeszcze parę poduszek na podłodze koło Fitzgeralda i położyłem się przy nim. Na zewnątrz wiał wiatr i dziko bębnił deszcz. Wewnątrz panował dziwny spokój, i nagle poczułem przygniatające zmęczenie. Zamknąłem oczy, mając zamiar dać im chwilę odpoczynku, i osunąłem się w sen.

Obudził mnie straszliwy jęk i ujrzałem, jak Fitzgerald z szalonym wysiłkiem próbuje się podnieść. Pchnąłem go z powrotem na miejsce, a gdy odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć, jego oczy pełne były wielkiego cierpienia.

- Nigdy nie znałem takiego bólu. Nigdy nie znałem tak okropnego bólu.

- Trzymaj się - odrzekłem. - Załatwię to w minutę.

Wyjąłem ze skrzynki następną ampulkę i wstrzyknąłem mu. Skutek był prawie natychmiastowy, widziałem, jak jego twarz się odpręża.

Otworzył oczy i utkwiał wzrok w moich.

- Nigdy mnie nie lubiłeś, prawda?

Przetarłem zmęczone powieki.

- Czy to ma znaczenie?

- Sądzę, że nie. - Uśmiechnął się lekko. - Nie zawsze można zwyciężać.

Spojrzałem na zegarek i z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że jest druga trzydzieści rano.

- Zaśnij znowu, teraz to już nie potrwa długo.

Nie usłyszał mnie i przemówił tak cicho, że musiałem przysunąć ucho do jego ust, by zrozumieć, co mówi.

- Cieszę się, że się tu znalazłem. Bohaterowie, co do jednego. Jestem dumny, że służyłem z nimi. Niczego nie żałuję.

Dokładnie takie słowa, jakich się po nim spodziewałem. Jeszcze coś mówił, ale tak bełkotliwie, że nie mogłem uchwycić żadnego sensu. W jakieś pięć minut później zmarł.

- i Oświetlona twarz Olbrichta była poważna.

- Co teraz?

Sięgnąłem po lampę sygnalizacyjną.

- Spróbuję nawiązać jakiś kontakt z wybrzeżem, a także chcę zobaczyć, jaka jest pogoda.

Deszcz przestał padać, po ciemnogrnatowym, aksamitnym niebie, nabijanym błyszczącymi, zimnymi jak lód gwiazdami, płynął księżyc w pełni. Wiatr znacznie przycichł, ale umiarkowany powiew trwał. Z punktu widzenia ratownictwa cała sytuacja znacznie się zmieniła.

Mogłem sięgnąć wzrokiem dość daleko, ponad wielkimi grzywaczami, ale wyspę otulała ciemność. Nie było śladu światła, co mnie zaskoczyło, bo przypuszczałem, że Ezra już wystartuje, a na Owenie Morganie znajdował się elektryczny szperacz.

Włączałem lampę sygnalizacyjną co pewien czas przez dwadzieścia minut, ale nie próbując przekazać żadnej określonej wiadomości. Nie było takiej potrzeby. On i pozostali wiedzieli, że tu jesteśmy.

Gdy wreszcie zaprzestałem dawać błyski, wiedziałem w głębi serca, że jesteśmy w kłopotcie. Skąły już się skryły, woda tłukła o kadłub Dumy Hamburga, cisnąc na rufę, a statek jęczał niespokojnie.

Około trzeciej trzydzieści wdrapałem się po pokładzie do sterówki i zajrzałem do szafki z materiałami sygnalizacyjnymi. Drzwiczki otworzyły się i woda, jak sędzę, zabrała większość pudełek z nabojami. Udało mi się odnaleźć cztery, które nie wyglądały specjalnie źle, oraz raketnicę. Wróciłem na pokład.

Morze było już powyżej rufy, na tej samej wysokości jak wówczas, gdy Ezra wepchnął dziób Owena Morgana nad relingiem na sam pokład, ale teraz jeszcze przybierało. Statek poruszał się, rufa powoli unosiła, a pokład już był mniej stromo nachylony. Wróciłem na moje stare miejsce przy relingu i wystrzeliłem flarę sygnalizacyjną. Należała do tych, które opadają powoli na spadochronie, oświetlając całą okolicę na dobre pół minuty.

Widok był przerażający. Gdy morze przybrało, po mojej lewej stronie pojawił się szybko płynący, pokryty falami skaczącymi jedna za drugą, Mill-Race, jak wielka rzeka podczas powodzi. Jego siła wstrząsała statkiem za każdym razem, gdy weń uderzał ze złowieszczym, głuchym dźwiękiem, który rozbrzmiewał w całym kadłubie. Gdy rakietka spadła do morza, spróbowałem wystrzelić następne, ale żadna z nich do niczego się nie nadawała.

Pozostałem na miejscu w ciemnościach, aż chmura zakryła księżyc, a ja przysłuchiwałem się potężnemu dźwiękowi mknącego Mill-Race, czując, jak pokład wibruje pod moimi stopami, i wiedząc z całkowitą i bezwzględną pewnością, że nadejdzie jedna, ostateczna chwila, gdy Duma Hamburga zostanie zepchnięta z rafy i połknięta przez morze tak skutecznie, jak gdyby nigdy nie istniała.

Wszedłem do salonu.

- Nie przybędą, prawda? - zapytał Olbricht.

Potrząsnąłem głową, a on przełknął pozostałą w butelce resztkę i westchnął.

- Wie pan, to zabawne, ale doprawdy nigdy nie podobał mi się pomysł pójścia na dno wraz ze

statkiem.

- Całkowicie podzielam pana zdanie.

- Ale musi być coś, co możemy zrobić. Proszę się jeszcze raz rozejrzeć. Nie mogą nas tutaj tak pozostawić.

Sądzę, że wiedziałem, co zamierza, ale wyszedłem. Huk wystrzału zupełnie mnie nie zaskoczył.

Teraz statek poruszał się lekko z boku na bok, aż nagle szarpnął się tak dziko, że przez okropną chwilę myślałem, iż przewróci się, porywając mnie z sobą.

Przyплыw był w pełni, a przysłuchując się jego odgłosom, przypomniałem sobie ten słynny przed wojną wypadek z Simone, gdy jej dinghy przewróciła się do góry dnem, a Mill-Race nas ocalił. Czy nie może znów tego dla mnie zrobić? Nie wyglądało to prawdopodobnie przy takim stanie morza, ale wszystko było lepsze niż pozostanie tutaj.

Wróciłem do salonu i podszedłem do Fitzgeralda. Potrzebna mi była jego kamizelka ratunkowa, bo dwie były lepsze niż jedna, a na takich falach jak te przydałaby mi się dodatkowa wyporność. Zdjąłem ją z niego bez większych trudności i dowiązałem do mojej.

Olbricht padł twarzą na stół, a widok tylnej części jego głowy nie był przyjemny. Wspiąłem się po pochyłej podłodze i sięgnąłem do butelek za barem w poszukiwaniu czegoś godnego wypicia. W chwilę później latarnia zgasła.

Wróciłem na pokład, tuląc butelkę, pierwszą lepszą, którą złapałem, i zębami wyciągnąłem korek. Był to niemiecki sznaps, a smakował tak, jakby ktoś go pędził w wannie. Stojąc przy relingu, wlałem go w siebie tyle, ile tylko mogłem, patrząc przy tym na fale i mknący Mill-Race. Nie zdołałem wypić więcej niż połowę, a gdy rzuciłem butelkę do morza, żołądek miałem w ogniu. Przynajmniej nieco mnie uchroni przed zimnem.

Umyślnie zatrzymałem na sobie całe ubranie. Podniosłem lampę sygnalizacyjną i nadałem krótki, ostatni komunikat zwykłym alfabetem Morse'a. Statek tonie. Będę musiał płynąć. Morgan.

Mógłbym przekazać więcej, ale nie pozwoliła mi na to jakaś wewnętrzna ostrożność; świadomość, że Ezra, Steiner i pozostali już by tu przybyli, gdyby mogli. Nie pojawili się, bo coś lub ktoś na to nie pozwolił.

Radl? Zawsze Radl. Jeśli mieli kłopoty, to wywołane przez niego, tego byłem pewien. Ściągnąłem moją łątkę na oko i zawisła na taśmie elastycznej. Cisnąłem lampę ponad relingiem w morze i skoczyłem za nią.

Dodatkowa kamizelka ratunkowa była prawdopodobnie tym, co ocaliło mi życie, bo zwiększona wyporność trzymała mnie wysoko nad wodą, więc mogłem chwytać powietrze, mimo że fale przetaczały się nad moją głową.

Mill-Race wessał mnie i poniósł z zatrwającą szybkością. Uwzględniając to, co później

nastąpiło, musiał mknąć z szybkością dziewięciu albo dziesięciu węzłów, bo w parę minut przebyłem fantastyczną odległość.

Księżyc świecił mocno i jasno, a widoczność znacznie się poprawiła. Tak więc, gdy fala uniosła mnie na swój grzbiet, mogłem dostrzec Fort Edward na cyplu nad portem. Znow zjechałem w bruzdę, mocno trzymany przez prąd, który niósł mnie tak, jakbym był kawałkiem drewnianego masztu.

Początkowo nie czułem większego zimna, bo miałem ubranie. Zimno przyszło później, ale starałem się wykonywać tak mało ruchów, jak tylko możliwe, aby oszczędzać ciepło ciała.

Nie miałem wyraźnego poczucia przemijania czasu. Mój zegarek był wodoszczelny i świecący. Popatrzyłem na tarczę i z prawdziwym szokiem stwierdziłem, że w wodzie byłem nie więcej niż dwadzieścia minut. Na wschodzie skraj nocy rozjaśnił się odrobiną bieli. Kolejna wielka fala uniosła mnie i po raz ostatni zobaczyłem wciąż tkwiącą na Wieżyczkach Dumę Hamburga. A wtedy za nią pojawiła się ściana białej wody, biegnącej z Atlantyku i zmiatającej wszystko przed sobą. Zmyła rafę, tryskając potężną kurtyną piany, i Duma Hamburga znikła na zawsze.

Pozwoliłem, by prąd niósł mnie, gdzie zechce, a czas naprawdę przestał istnieć. Poprzednim razem Mill-Race zaniósł nas na Plażę Steinera, ale czy zrobi to teraz?

Plaża Steinera? Dziwne, że stało się tak, iż nie mogłem o niej myśleć inaczej. Ostatecznie czas jest czymś tak względnym i w jego małej części może się mieścić tak wiele, więcej nawet niż przez resztę życia.

Teraz już było mi zimno, a twarz i oczy bolały od soli. Widoczność stała się gorsza, księżyc wisiał nisko, nadciągał świt, a klify były czarnymi cieniami, nad którymi trwał sztywno Fort Marie Louise, jak zjawisko z innego czasu, innego miejsca.

Jeśli nie trafię, jeśli znajduję się na zewnętrznym skraju prądu, zostanę zanieiony poza południowo-wschodni skraj wyspy, a Bretania była cholernie daleko. Oczywiście do niej dotrę, ale gdzieś w przyszłości i nadając się tylko na przynętę na ryby.

Byłem zmęczony, na granicy wytrzymałości. Głowa kiwnęła mi się do przodu i w tym momencie, uniesiony wysoko na fali, ujrzałem postrzępiony biały dywan przyboju pod klifami, czarnymi w szarzącym świetle, a poniżej nich plażę... Plażę Steinera. Jakiś głos zawołał moje imię, czysto i wyraźnie, jak daleka trąbka brzmiąca echem z przeszłości, z dzieciństwa. Czy to było wtedy, czy teraz? Zanurzyłem się pod wodę, z wysiłkiem wydostałem na powierzchnię, a kolejna fala wyniosła mnie tak wysoko, że ujrzałem ją ostro i jasno, stojącą po uda w wodzie, z włosami powiewającymi na wietrze. Simone czekająca na mnie; czekająca, aż Mill-Race przyniesie mnie tak, jak dawno temu przyniósł nas oboje.

Woda toczyła się ku brzegowi, nieugięcie, nieubłaganie; wielka, smrodliwa fala rzuciła mnie na księżyc i z powrotem, napełniając mi gardło ostrym smakiem soli, a prąd pochwycił mnie znowu, uniósł twardą ręką i ostatnim rozpędem wyniósł na plażę.

Miałem wodę w uszach, w głowie, a moje dłonie wbiły się jak szpony w osypisko żwiru.

Morze znów nadbiegło, waląc w moje ciało, próbując odciągnąć mnie do tyłu. Wrzasnąłem i po raz pierwszy od porzucenia Dumy Hamburga opuściła mnie pewność. Darłem pazurami powietrze i w tym momencie dotknąłem dłoni, dłoni, która uchwyciła moją z siłą żelaza przyspawanego do żelaza.

Leżałem na brzuchu, a ktoś zdawał się walić mnie młotem między łopatkami. Kaszlałem i kaszlałem, aż wreszcie zwymiotowałem całą masę wody.

Po chwili udało mi się wycharczyć:

- Dobrze... Wystarczy. Będę żył.

Odwróciłem się, a Simone, klęcząca obok mnie, zarzuciła mi ręce na szyję.

- Dzięki Bogu, Owenie. Wiedziałaś, że spróbujesz Mill-Race. Paddy i Ezra nie wierzyli, że to możliwe, ale ja wiedziałam, że spróbujesz.

Tamci przysiedli u mego drugiego boku, Ezra podał mi piersiówkę.

- Napij się trochę tego. Co się stało z majorem Fitzgeraldem?

Pomiędzy kolejnymi łykami opowiedziałem mu, a on smutnie pokiwał głową.

- Tak sobie pomyślałem, zobaczywszy twój sygnał, ale nie pozwolono mi odpowiedzieć.

Popatrzyłem na niego bezmyślnie, a Paddy dodał:

- Wczoraj późnym wieczorem Radl zabił w probostwie majora Brandta. Nie wiemy jak. Gdy powróciła łódź ratunkowa, czekał na nabrzeżu ze swoimi esesmanami.

- Dlatego nie mogliśmy wrócić po ciebie, chłopcze - wyjaśnił Ezra.

Z wysiłkiem podniosłem się.

- A Steiner?

- Radl ma go powiesić na starym buku koło bramy kościelnej, aby cały świat to widział. Także żołnierze i robotnicy Todta. Chce go zrobić kozłem ofiarnym, uważasz?

- Kiedy? - zapytałem powoli, a mój głos zdawał się należeć do kogoś innego.

- Wyznaczono to na ósmą. - Riley popatrzył na zegarek. - Co pozostawia mu godzinę życia, a nie liczyłbym bardzo, że twoi amerykańscy przyjaciele będą potem mieli wiele szans.

Simone zaczęła gorzko szlochać.

Steinerowi bije dzwon

Gdy zląziłem po licu klifu nad Podkową, na plażę poniżej nie wypływały żadne trupy, ale poza tym wszystko było tak, jak pierwszego ranka. Padało nieustannie, a Fort Victoria ledwie było widać w porannej mgle.

W głębi szczeliny znalazłem mój płaszcz marynarski, tam gdzie go zostawiłem wraz z mauzerem i cebulastym gestapowskim tłumikiem, spoczywającym w kieszeni. Ciągle miałem na sobie żółtą ceratę z łodzi ratunkowej. Zrzuciłem ją teraz i trzęsąc się z zimna, naciągnąłem płaszcz i starą czapkę bosmańską, którą wepchnąłem wówczas do kieszeni.

I tak byłem gotów - ten sam człowiek, który wylądował tu w nocy i kulił się na półce skalnej cały wiek temu. Ten sam i nie ten sam. Ze świadomą przyjemnością powąchałem zimne powietrze i pomyślałem o tym, o czym myślałem wtedy: ładny poranek... piękny poranek na umieranie. Jeśli to ma być koniec, to niech będzie.

Wdrapałem się po klifie do miejsca, gdzie Paddy Riley zaparkował swój wóz, wyjątkowe ustępstwo ze strony Niemców dla jedyne go na wyspie lekarza. Siedział w środku wraz z Simone, ale Ezra stał na deszczu, nabijając fajkę tym okropnym, tutaj uprawianym, francuskim tytoniem, który najbardziej lubił.

- Więc znalazłeś to, czego szukałeś? - skomentował. - To stary płaszcz twego ojca, prawda?

- Zgadza się, Ezro.

- Dwa razy wokół przylądka Horn i dwa razy z powrotem pod żaglem w tym płaszczu, a ja byłem wraz z nim.

Wyjąłem mauzera z kieszeni, wyciągnąłem magazynek z kolby i opróżniłem. Pozostało mi siedem naboju. Ostrożnie załadowałem go znów, a potem wbiłem magazynek na miejsce.

- Nie zamierzasz chyba, mając to w ręku, rzucić wyzwania całemu cholernemu światu, co? - zapytał.

- Jeśli będzie trzeba. Nie pozwolę, aby powieszono Steinera, o ile to miałeś na myśli, a ci rangersi, jeśli nie zapomnialiś, są pod moim dowództwem.

- Bądź rozsądny, chłopcze. Radl to pierwszorzędną świnia, ale wie, co robi. Ma tam ze sobą dwudziestu dwóch spadochroniarzy z SS, ludzi z jego starego pułku. Jeśli szepnie słówko, powieszają cię, wypatroszą i poćwiartują.

Jeżeli każe im skoczyć ze szczytu Fortu Edward do morza, dwieście stóp, zrobią to.

- Owenie, pójdźcie teraz do Charlottestown to dla ciebie samobójstwo - dodał Paddy Riley. - Radl myśli, że nie żyjesz, co przynajmniej daje ci jakąś szansę.

- Interesujące spostrzeżenie - powiedziałem. - Przypomina mi wieści, które kiedyś słyszałem o szanowanym, czterdziestopięcioletnim lekarzu z Dublina, który w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym w wolnych chwilach był oficerem - lekarzem lotnej kolumny IRA w Connemara. On wcale nie uważał, że bezsensownym jest myśl, iż parę tysięcy partyzantów może zwyciężyć całą armię brytyjską.

Skrzywił swój kościsty nos i podniósł rękę obronnym gestem.

- Dobrze, poddam się, ale tylko pod warunkiem, że i ja wezmę udział w tej grze. Też mogę skończyć z hukiem. - Otworzył walizeczkę i wyciągnął staromodny brytyjski rewolwer wojskowy.

- Mam to pod ręką już cholernie długo, Owenie. Czas, bym znów zrobił z niego użytek.

- Chyba zwariowaliście oboje - orzekł Ezra. - Szansę są zerowe.

- Masz całkowitą rację. - Kiwnąłem głową. - Po prostu takie, jakie ma łódź ratunkowa płynąca na najbardziej niebezpieczną rafę północnego Atlantyku podczas huraganu, i to z przypadkową załogą.

Na te słowa przełknął głośno ślinę, a Simone wtrąciła się, napięta i bardzo, bardzo blada.

- Spróbujesz, Owenie, wyciągniesz go?

- Jestem specjalistą od zwyciężania w pojedynkę całe go świata, bez względu na to, co uważa Ezra - odrzekłem. - W tego rodzaju grach mam pięcioletnią praktykę.

A teraz jedźmy do Charlottestown i popatrzmy, co się tam dzieje.

Wszystko to powiedziałem tonem pełnym głębokiego przekonania. Przez chwilę byłem nawet gotów sam w to uwierzyć.

Tuż za pasem startowym po drugiej stronie drogi, na szczycie pagórka wznoszącego się ponad Charlottestown stała główna wieża ciśnień. Stamtąd rozpościerała się szeroka panorama; wszystkie ulice, wszystkie zaułki aż do samego portu, po prostu jak na makiecie.

Bił dzwon kościelny - miły, makabryczny akcent. Radl wyraźnie dobrze się bawił. Riley miał w samochodzie doskonałą lornetkę Zeissa, wyciągnął ją i nastawił na dziedziniec kościelny.

Gdy mi ją podawał, miał poważną minę.

- To nie wygląda dobrze, Owenie.

Kościół i cmentarz były widoczne jak na dłoni. Wszystko w wyraźny sposób tak zorganizowano, by osiągnąć jak największy efekt. Zebrano co najmniej stu pięćdziesięciu robotników

Todta, ustawiając ich w długich szeregach pod murem. Przed nimi czterdziestu czy pięćdziesięciu saperów stało w szyku, wszyscy z karabinami. Przed frontem stał sierżant Schmidt z bronią boczną.

Coś spowodowało, że przypomniałem sobie Schellenberga. Wkrótce go odnalazłem. Stał obok Granta i Hageny, dwóch rangersów, którzy przeżyli, a przy każdym z nich był esesman z pistoletem maszynowym. To nie wyglądało dobrze dla Schellenberga.

Szukałem Brandenburczyków i znalazłem Lanza, Obermeyera i Hildorfa stojących przy głównym wejściu pod strażą trzech żandarmów, których mosiężne ryngrafy matowo połyskiwały w szarym świetle.

Nie było ani śladu po Steinerze, ale wszyscy wyraźnie na coś czekali; zapewne na przybycie Radla, bo wielka, podwójna, żelazna brama już stała otworem. Interesujące było, że budynek starego Banku Westminsterkiego, w którym znajdowała się Platzkommandantur, stał tyłem do cmentarza. Okna pierwszego piętra sąsiadującego z nim pomieszczenia kwatery łączności były otwarte, zapewniając widok jak z trybuny honorowej. Przez lornetę połową widziałem paru przyglądających się żołnierzy, ale trzymali się w głębi pokoju, zapewne w obawie przed gniewem Radla.

Wszystko odbywało się jak za dawnych dni, gdy działałem w podziemiu we Francji. Wtedy też nigdy nie było dość czasu. Trzeba było nauczyć się oceniać sytuację w ciągu minut, znaleźć słabe miejsce i szybko wkraczać. Gdy opuściłem lornetę, wzięła ją ode mnie Simone.

- Ta kwatera łączności obok Platzkommandantur - za pytałem - jak wygląda w środku?

- To stary dom Grouville - powiedział mi Paddy. - Musiałeś tam być ze sto razy.

- Ale jak wygląda obecnie? - nalegałem.

- Byłem tam raz czy dwa - rzekł Ezra. - Na dole jest sypialnia. Pokój radiowy na pierwszym piętrze, w dawnym salonie na tyłach domu, z oknami wychodzącymi na dziedziniec kościelny.

- Ilu ludzi?

- Czasami tylko dyżurny telefonista, ale wiem, że niekiedy bywa ich trzech albo czterech. A bo co?

- Wygląda mi to na słaby punkt. Być może uda mi się stamtąd ustrzelić Radla.

- I co dobrego to przyniesie?

- Wojna jest praktycznie skończona i większość stojących tam żołnierzy wie o tym. - Wzruszyłem ramionami. - Gdy Radl umrze, mogą zupełnie zmienić swój punkt widzenia na całą sytuację. Pamiętaj, że oni wszyscy szanują Steinera.

- Z chłopcami z SS włącznie? Jak zareagują, gdy coś się zdarzy Radlowi?

Simone nagle straciła oddech, więc wzięłem od niej lornetę i nastawiłem na ostrość. Steinera

prowadzono przez bramę między dwoma esesmanami. Zatrzymali się koło buka.

Była dokładnie za dziesięć ósma.

- Scena ustawiona - orzekłem. - Brak tylko Radla. Czy wy dwaj jesteście ze mną?

Tak naprawdę zwracałem się do Ezry i on o tym wiedział. Westchnął i kiwnął głową.

- Aye, zrobię wszystko, co zechcesz, Owenie. Jak przyjdzie co do czego, nie będę stał, nie kiwnąwszy palcem, i patrzył, jak wieszają tego chłopca.

- Dobrze, więc zawieź mnie na dół do tej kwatery łączności tak szybko, jak zdołasz, a wyjaśnię wszystko po drodze.

Skuliłem się na podłodze z tyłu wozu, a Simone przykryła mnie starym kocem. Nie mieliśmy wiele czasu, ale na ten, który nam pozostał, mogliśmy liczyć. Tego byłem pewien. Jeśli Radl wyznaczył egzekucję na ósmą rano, to znaczy, że miała być o ósmej rano, nic nie było pewniejsze niż to.

Zahamowaliśmy. Ezra wysiadł pierwszy, po nim Simone. Chwila przerwy i Riley wyszeptał:

- Tak szybko, jak zdołasz, Owenie.

Wysiadłem chyłkiem i zobaczyłem Ezrę w drzwiach tego, co dla mnie zawsze było starym domem Grouville. Trzymał drzwi otwarte. Wszedłem do holu, niosąc mauzera w gotowości, przy udzie.

Wewnątrz było ciemno i ponuro, a ślady wojskowej okupacji widać było wszędzie. Dywany zniknęły, a całemu wnętrzu przydałoby się pomalowanie świeżą farbą. Nawet przepiękne stare płytki Wedgwooda na ścianie były potrzaskane i zeszpecone.

W pomieszczeniu wisało jeszcze wielkie lustro w złotych ramach, a w jego głębi czekał na mnie w cieniu niski, ciemnoskóry, niezwykle niebezpieczny człowiek. Ale on towarzyszył mi już od dawna - człowiek, który potrafił zabijać jakże łatwo i skutecznie.

Ostrożnie wszedłem po schodach, powiedziawszy Simone, by pozostała w holu. Riley i Ezra szli tuż za mną. Riley miał w ręku swą starą czterdziestkępiątkę. Szepnąłem mu:

- Nie używaj tego, jeśli nie będziesz naprawdę musiał.

Wolałbym załatwić to po cichu.

Bezgłośnie otworzyłem drzwi i wszedłem do pokoju. Pod jedną ścianą stała cała bateria sprzętu, dyżurny telefonista siedział przed nią ze słuchawkami na uszach. Sierżant wojsk łączności wyglądał przez okno, a obok niego esesman z niedbale przewieszonym przez ramię schmeisserem.

Radiotelefonista zobaczył mnie pierwszy, wybałuszył oczy, a ja położyłem palec na ustach i

podniosłem mauzera. Podszedłem na palcach i zimnym końcem lufy dotknąłem karku esesmana. Zesztywniał. Sięgnąłem i ściągnąłem mu schmeissera z ramienia.

Podąłem go Ezrze i zrobiłem krok do tyłu.

- Odwróćcie się obaj i odejdźcie od okna. Na wypadek gdybyście nie wiedzieli, ten przyrząd ma tłumik, więc bądźcie grzeczni.

Zrobili dokładnie to, co im powiedziałem, ale ich reakcje były różne. Sierżant łączności po prostu zachowywał się przezornie, natomiast esesman przyglądał mi się, kalkulując coś w myśli, ani trochę niespeszony, wyraźnie czekając na dogodną dla siebie chwilę.

- Pod ścianę, powiedziałem.

Za oknem słychać było podjeżdżający samochód. Riley wyjrzał na zewnątrz.

- Właśnie nadjeżdża Radl.

Mercedes zatrzymał się tuż koło bramy. Radl stał na tylnym siedzeniu. Był w swym najlepszym mundurze i wyglądał całkiem imponująco.

- Zdołasz go stąd trafić? - zapytał Riley.

- Myślę, że tak. Robiłem to już w znacznie gorszych warunkach.

Dochodziła ósma. Radiotelefonista podskoczył i odezwał się cichym, błagalnym głosem:

- Proszę, pułkowniku Morgan, proszę nas nie zabijać.

To by było bezsensowne. Wojna prawie się skończyła.

W Luneburgu odbywa się spotkanie w celu omówienia warunków.

- Zamknij się - rozkazał esesman.

- Ale to prawda. - Radiotelefonista odwrócił się do mnie z rozpaczą w oczach. - Właśnie słyszałem to w komunikacie BBC.

I oto miałem rozwiązanie. Tak proste. Tak cudownie proste. Zwróciłem się do sierżanta:

- Natychmiast wychyl się z okna i powiedz im, że wojna się skończyła. Że wiadomość właśnie nadeszła przez radio z Guernsey. Krzycz ile sił, aby wszyscy cię usłyszeli.

Jego mina wyrażała autentyczny szok.

- Ależ nie mogę tego zrobić. Pułkownik Radl każe mnie rozstrzelać.

Esesman zrobił mi tę grzeczność i dokładnie w tym momencie skoczył po drugiego

schmeissera, wiszącego na kołku za drzwiami. Strzeliłem mu w potylicę i zwałił się na stół, a potem stoczył na ziemię, martwy.

Wyciągnąłem rękę i przyłożyłem cebulasty koniec lufy mauzera do twarzy sierżanta, między oczy.

- Trzy sekundy, tyle masz. Jeśli Steiner umrze, umrzesz i ty.

W pokoju śmierdziało kordytem, a ściana przy drzwiach spryskana była krwią. Nastąpiła chwila przerwy, która zdawała się ciągnąć i ciągnąć, jeden z tych trwających całą wieczność momentów, których do końca życia nie można zapomnieć. A potem sierżant odwrócił się, przerażony i przybity chwiejnie podszedł do okna.

Steiner miał sznur na szyi, a drugi koniec właśnie miano przerzucić przez gałąź dwadzieścia stóp nad jego głową. Gdy poszedłem za sierżantem, zerkając znad jego ramienia, sytuacja zmieniła się z zupełnie nieoczekiwanej przyczyny.

W głównej bramie pojawiła się Simone. Ujrzała Steinera i wszystko, co miało nastąpić, i krzyknęła strasznym głosem. To ostatecznie zepsuło Radlowi jego piękne przedstawienie. Wszyscy odwrócili się, a kiedy dziewczyna pobiegła obok mercedesa, nagle zaczęła się wrzawa.

Prawie dobiegała do Steinera, gdy schwycił ją jeden z esesmanów. Dała mu się dobrze we znaki, kopiąc i szarpiąc się dziko. Esesman stracił cierpliwość, uderzył ją pięścią w twarz, zwalając na ziemię.

Wśród zgromadzonych nie było mężczyzny, obojętne, Niemca czy nie, któremu by nie okazała dobroci, choćby tylko słowami. Pracowała w szpitalu, opiekowała się nimi, gdy chorowali, ale nie tylko to - była jedyną kobietą na wyspie. Jedyną kobietą, którą większość z nich widziała od roku, może dłużej, co zaiste zapewniało jej wyjątkową pozycję.

Nagle dał się słyszeć ryk wściekłości. Nie tylko robotnicy Todta rzucili się naprzód, ale także saperzy i artylerzyści, niektórzy trzymając karabiny w bardzo niedwuznaczny sposób.

Radl krzyknął, próbując zapanować nad sytuacją, a ja wiedziałem, że to jest ta chwila, teraz albo nigdy.

- Daj mi tę twoją cholerną armatę - powiedziałem Rileyowi i wyrwałem mu ją z ręki.

Zapomniałem, jak głośnie bywają te stare webleye. Dwukrotnie wystrzeliłem przez okno, a huk odbiły się gromowym echem na kościelnym dziedzińcu, mieszając się z biciem dzwonu i powodując natychmiastową ciszę. Wszystkie twarze w zdumieniu zwróciły się do góry, a ja wbiłem lufę czterdziestkiptki sierżantowi w potylicę, trzymając się ukryty za nim.

- Teraz! - rozkazałem mu dzikim głosem. - Wrzeszcz albo rozwalę ci łeb.

Zrobił mi ten zaszczyt.

- Wojna! - wrzasnął. - Wojna skończona! Właśnie dostaliśmy wiadomość przez radio z Guernsey!

Cisza, która nastąpiła, zdawała się trwać wieczność, ale ta wieczność w rzeczywistości nie była dłuższa niż dwadzieścia sekund, a potem tłum wybuchnął krzykiem i działaniem. Ryk było chyba słyhać na drugim końcu St-Pierre i musiał poważnie zaalarmować ludzi pełniących służbę na wszelkiego rodzaju pozycjach obronnych wyspy.

Nagle wszyscy ruszyli z miejsca - robotnicy Todta, saperzy, wszyscy popłynęli falą przez dziedziniec kościelny, po nagrobkach, do miejsca gdzie stał pod drzewem Steiner. Zaroili się wokół niego, sznur opadł.

Widziałem tu i tam hełmy esesmanów, z wysiłkiem przepychających się do Radia, tkwiącego w mercedesie przy bramie. Nie było strzelaniny, nie widziałem żadnych aktów przemocy. Wszyscy razem chcieli ocalić Steinera i w tej chwili to było ich jedynym celem.

Nie wiem, co wtedy się zdarzyło. Może któryś z esesmanów wpadł w panikę. Nagle rozległo się staccato pistoletu maszynowego i tłum rozpierzchnął się, zostawiając trzech leżących na ziemi.

Jeden był Niemcem, saperem, a to wywołało zdumiewającą reakcję jego kolegów. Wielu z nich podniosło karabiny, wystrzeliło i dwóch esesmanów otaczających Radia padło.

Wtedy ujrzałem Steinera. Biegł przez tłum, wymachując rękami i wołając. Saperzy opuścili karabiny, nagle zapanowało milczenie, on zaś stanął na ziemi niczyjej między dwiema stronami.

W zupełnej ciszy słyszałem go wyraźnie, bo w tym momencie nawet dzwon kościelny przestał bić. Steiner stanął z rękami na biodrach, twarzą wprost do Radia w mercedesie, a potem zwrócił się do tłumu.

- Koniec strzelania, koniec z zabijaniem. Wszystko skończone, czy nie rozumiecie? Przeżyliśmy tę krwawą wojnę, przeżyliśmy ją wszyscy.

Radl wyciągnął parabellum i dwukrotnie strzelił mu w plecy.

Potem wszystko stało się równocześnie. Wychyliłem się, by strzelić do Radia, i zobaczyłem mercedesa cofającego się przez bramę, otoczonego spadochroniarzami SS, którzy strzelali bez przerwy.

Większość ludzi w tłumie miała tyle rozsądku, by paść na ziemię, więc nie sądziłem, aby poniesiono wielkie straty. Biegiem wypadłem z pokoju i pędziłem po schodach, biorąc je po trzy naraz.

Drzwi na ulicę stały otworem, a gdy dotarłem do holu, mijał je mercedes z przynajmniej tuzinem uczeponych esesmanów. Jeszcze pięciu czy sześciu biegło za nim. Pozwoliłem im wyminąć drzwi, a potem wyskoczyłem, padłem na bruk i zacząłem strzelać.

Nie byłem osamotniony. Na ziemi koło mnie był Riley, a jego stara czterdziestkapiątka huczała

jak armata pod Waterloo, Ezra zaś stał w przedsiönku, strzelając ze schmeissera. Ściśnięci w wąskiej uliczce piesi esesmani nie mieli żadnych szans. Gdy Mercedes przyśpieszył, skręcając za róg, odwrócili się i otworzyli rozpaczliwie ogień. Skoszono ich w parę sekund.

Kiedy obejrzałem się przez ramię, stwierdziłem, że nie walczymy samotnie. Był tu Schellenberg z karabinem w rękach, a za nim kilkunastu saperów wraz z trzema żandarmami Brandta i Brandenburczykami, wszyscy uzbrojeni w karabiny.

Paddy Riley już biegł obok nich w stronę dziedzińca kościelnego. Podążyłem za nim. Było tam cholerne zbiegowisko, wszyscy wrzeszczeli w podnieceniu, a Grant i Hagen, dziko wymachując karabinami, odpychali tłum, robiąc miejsce Riley owi.

Steiner leżał na plecach ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt wysoko na niebie. Na twarzy miał krew zmieszana z deszczem, krew wypływała spod jego munduru, tam gdzie wyszedł jeden pocisk. Koło niego klęczała Simone. Była oszołomiona i zszokowana, wyraźnie czując skutki brutalnego ciosu w twarz. Nie sądzę, by zdawała sobie sprawę, jak źle z nim było.

Gdy przepchnąłem się obok Granta i Hagen, popatrzyli na mnie niedowierzająco, a ja przyklęknąłem na jedno kolano koło Riley a.

- Jest źle, Owenie - powiedział. - Nie będę udawał, że jest inaczej.

- Owen? - Steiner zamrugał. - Owen, czy to ty?

Pochyliłem się i poklepałem go niezdarnie.

- Zawsze ten sam, Manfredzie. Przybyłem tu, płynąc z przypiływem, wraz z całą resztą morskich śmieci.

- Zawsze mówiłem, że masz klasę. - Podniósł rękę do gardła, wymacał Krzyż Rycerski i jednym konwulsyjnym ruchem zerwał go z szyi. Podał mi go na oślep. - Dla ciebie, Owenie, zasłużyłeś na niego. Opiekuj się Simone.

Tylko tyle, obiecaj mi.

Szukałem słów, ale spóźniłem się. Zamknął oczy, głowa opadła mu na bok. Simone krzyknęła jak zranione zwierzę i padła na niego zemdlona.

Jeśli umrę, przypilnuj, by on także. Czy mogę cię prosić o ten drobiazg?

Usłyszałem echo tych słów, wypowiedzianych owego dnia na plaży w Granville, oraz moją odpowiedź. Popatrzyłem niewidzącym wzrokiem na trzymany w prawej ręce Krzyż Rycerski, a potem ostrożnie włożyłem go do kieszeni i zacząłem przepychać się przez tłum do bramy, gdzie czekał Schellenberg ze swymi ludźmi. Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię i obróciła w miejscu. Spojrzałem w udręczoną twarz Granta.

- Co się stało z majorem?

- Zmarł na Dumie Hamburga, zanim zatonała - powie działałem. - Był ciężko ranny i potrzebował pomocy lekarza, a tam go nie było, taka jest prawda. Zrobiłem dla niego wszystko, co mogłem. Przykro mi.

Okropny był widok bólu na tej wielkiej, twardej jak żelazo twarzy.

- Mogliśmy wrócić. Mogliśmy po niego wrócić, ale Radl na to nie pozwolił. - Trząsał się od nieopanowanej wściekłości. - Na Boga, dopadnę za to tego skurwysyna.

Podszedłem do bramy. Byli tam już wszyscy. Tylu Brandenburczyków, ilu ich pozostało, Schellenberg ze swymi saperami, sierżant Schmidt, który musiał patrzeć, jak jego najlepszego przyjaciela wieszają niczym psa, żandarmi Brandta - wszyscy z nich mieli z Radlem rachunki do uregulowania.

Rozległ się stukot butów na bruku, kapral saperów przepchnął się przez tłum i zsalutował Schellenbergowi.

- Poszedłem na skrót przez Fish Street i wdrapałem się na nową wieżę ciśnień - zameldowałem. - Pojechali drogą do Fortu Edward.

Schellenberg zwrócił się do mnie. Miał krew na twarzy, a druciane okulary trochę przekrzywione. Wyprostował je, a potem stanął na baczność.

- Pułkowniku Morgan, uważam, że ja i moi ludzie znajdujemy się obecnie pod pana dowództwem. Jakie są pana rozkazy?

Zapadło nagłe milczenie. Wszyscy czekali. Grant odwrócił się powoli i popatrzył na mnie z jakimś bolesnym błaganiem. Skinąłem głową.

- Dobrze, ruszajmy złapać skurwysyna.

Koniec zabijania

Wyruszyła mściwa pogoń. U wylotu głównej ulicy znajdował się stary skład towarzystwa transportowego St-Pierre. Niemcy przeznaczyli go na bazę naprawy pojazdów mechanicznych. W mieszczącym się tam arsenale znaleźliśmy potrzebne nam uzbrojenie i zabraliśmy też trzytonową ciężarówkę oraz półgąsienicowy transporter wojskowy z zamontowanym z tyłu karabinem maszynowym.

Mój plan, jeśli można to nazwać planem, polegał na szybkiej pogoni i silnym uderzeniu, nim Radl zdoła zorganizować obronę. Pozostało przy nim nie więcej niż dwunastu, może piętnastu esesmanów, ale to byli pierwszorzędni, bojowi żołnierze, co do jednego weterani, i wykurzenie ich z fortu mogło się okazać kosztownym przedsięwzięciem.

Wedle Schellenberga pełniło tam służbę nie więcej niż dwunastu artylerzystów. Cóż, mogło być gorzej, nawet gdyby zdecydowali się posłuchać rozkazów Radla, co byłoby nie tylko prawdopodobne, ale także zrozumiałe.

Zatrzymaliśmy się tuż przed szczytem pagórka, gdzie droga wznosiła się do fortu, i szybko oeniłem sytuację, patrząc przez dostarczoną przez Schellenberga lornetę polową. Główna brama była zamknięta i kilka esesmańskich hełmów widać było ponad workami z piaskiem wokół stanowiska karabinu maszynowego przed wejściem. Rozmyślałem nad tym przez przynajmniej dziesięć sekund, a potem podjąłem decyzję.

- Transporter idzie pierwszy. Jedyne sposb, by przedo stać się przez tę bramę. Potrzebuję trzech ludzi. Jednego do kierownicy i dwóch do karabinu maszynowego. Cała reszta do ciężarówki.

Sierżant Schmidt, który i tak prowadził w tej chwili transporter, popatrzył na mnie przez otwarty wizjer.

- Mogę tu pozostać. Wiem, jak się obchodzić z tymi maszynami.

Lanz i Obermeyer już zajęli stanowiska przy karabinie maszynowym, więc, doprawdy, nie było o co się sprzeczać. Wsiadłem do kabiny ciężarówki obok Schellenberga i pojechaliśmy za transporterem w odległości dwudziestu jardów. Gdy Schmidt dodał gazu, gąsienice transportera zaczęły wyrzucać ponad potrzaskaną nawierzchnię wielką chmurę błota i brudów.

Mieliśmy jeszcze sto jardów do przebycia, kiedy karabin maszynowy przy bramie otworzył ogień, ale transporter przyjął to na siebie; pociski odbijały się od jego pancerza, nie czyniąc szkody.

Lanz i Obermeyer odpowiedzieli tym samym, lecz bez większego efektu, tylko rozszarpując worki z piaskiem i podnosząc taką chmurę pyłu, że trudno się było zorientować, co się tam w górze dzieje.

Transporter wałną w bramę z szybkością bliską pięćdziesięciu milom na godzinę, wyrwijając ją z zawiasów. Pojazd wstrząsnął się, utracił połowę szybkości i odległość między nami skurczyła się też o połowę. Kiedy mijaliśmy stanowisko karabinu maszynowego, Schellenberg, który tulił do siebie granat trzonkowy, wychylił się z okna i cisnął go prosto w dwie poblądłe twarze, majaczące przez obłok pyłu. Gdy pędziliśmy z rykiem przez sklepione przejście, z wyrytym nad nim w granicie napisem Victoria Regina i datą 1856, podskoczyliśmy na wyłamanej bramie.

Transporter zatoczył się w bok. Ujrzałem, jak przez jego burtę wypada Obermeyer, trzymając się za zakrwawioną twarz. Lanz zataczał łuki karabinem maszynowym, strzelając bezustannie. Na wałach nad dziedzińcem znajdowali się ludzie, sądząc z hełmów esesmani, i prowadzili wściekły ogień. Paru spadło na dziedziniec, a transporter poślizgiem uderzył w ciężarówkę, zaparkowaną przy schodach po przeciwnej stronie.

Nasza ciężarówka zahamowała i wszyscy szybko wyskoczyliśmy. Zobaczyłem, jak Hilldorf biegnie naprzód i otwiera boczne drzwiczki transportera. Lanz już wyciągnął Schmidta z kierownicy. Popchnął go w dół do Hilldorfa i wyskoczył jako drugi. Objęli go z dwóch stron rękami i pobiegli po stopniach pod osłoną sklepionego korytarza. Zostało im zaledwie pół sekundy. Bak transportera eksplodował jak bomba, zalewając dużą przestrzeń płonącym paliwem. Ciężarówka, z którą się zderzył, zajęła się gwałtownie ogniem i po paru sekundach dziedziniec okrył się gęstym całunem czarnego dymu.

Od tej chwili wszystko rozgrywało się jak w złym śnie, każdy działał na własną rękę, trwała nieustanna bitwa, której wszyscy uczestnicy bez przerwy biegali. Podniosłem upuszczonego przez kogoś schmeissera i schodami wszedłem na południowy wał obronny. Przez dym niewyraźnie zobaczyłem jakieś postacie, strzeliłem i już nie przestawałem strzelać. Miałem przy boku Granta, a Hagen tuż za nim.

Potknąłem się na leżącym ciele i omal nie straciłem równowagi. Gdy opróżniłem magazynek, z dymu wynurzyła się postać. Był to sierżant SS, przewracający oczami, konwulsyjnie szczerzący zęby. Cisnąłem mu w twarz schmeisserem. Uchylił się i wyprostował z wrzaskiem, celując mi w brzuch pistoletem maszynowym. W tym samym momencie wystrzelili równocześnie Grant i Hagen, odrzucając go do tyłu, w dym.

Wszędzie wokół mnie padały strzały, ogłuszająco wybuchały granaty, dziko wrzeszczały głosy, czasem rozlegał się krzyk bólu. Potknąłem się na górnym stopniu i znalazłem się na kolejnym poziomie, gdzie dym wirował na wietrze. Teraz trzymałem w dłoni mauzera. Z ciemności wynurzyła się, strzelając, jakaś postać. Hagen krzyknął i padł, jego miejsce zajął Schellenberg. Dym rozwiewał się stopniowo i o jakieś dziesięć jardów od nas ujrzeliśmy trzech ludzi. Schellenberg przyklęknął na jedno kolano, jakby był do tego stworzony, i spokojnie strzelał. Nagle krzyknął, chwycił się dłonią za twarz i osunął na bok.

Teraz zbliżał się do nas już tylko jeden. Opróżniłem mauzera, celując do niego, i zobaczyłem, jak się chwieje i pada, i wówczas nagły poryw wiatru od morza rozwiał dym jak za zaklęciem.

Znalazłem się w najwyższym punkcie fortu. Stał tam Radl, nie dalej niż o pięć jardów, z pistoletem maszynowym w dłoniach. Nie poznał mnie, nie miał szansy, bo nagle znalazł się między

nami Grant, wyciągając ręce, by zabić. Radl władował w niego magazynek schmeissera, ale Grant kroczył przed siebie. Prawie go dosięgnął, lecz niezupełnie, i padł na twarz nie dalej niż o parę stóp od człowieka, którego nienawidził, nawet umierając.

Rzuciłem się ku niemu biegiem, ale już było za późno.

Radl podniósł rękę trzymającą parabellum. I wtedy nastąpiło coś dziwnego. Rozpoznał mnie, ujrzał idącego ku niemu człowieka, który nie żył, i szok wstrząsnął nim jak uderzenie pięścią.'

Zawahał się, zwiotczał mu palec naciskający spust. Wyszeptał moje imię. Nóż do oprawiania zwierzyny miałem już w ręce. Zamach, ostrze skoczyło, trafiając go pod brodę, przebijając podniebienie aż do mózgu. Konwulsyjnym ruchem zdążył strzelić z pistoletu w ziemię, wypuścił go i sięgnął po mnie. Musiałem użyć całej mojej siły, by wyszarpnąć ostrze. Chwiał się przez chwilę, wpatrując we mnie, a potem runął do tyłu, przeleciał przez niski parapet i wpadł do morza bijącego w czarne skały pod nami.

Stałem tam długo, potem mechanicznym ruchem otarłem nóż o mój płaszcz, złożyłem go i schowałem do kieszeni. Odwróciłem się - z dymu wynurzył się Schellenberg, trzymając przy twarzy zakrwawioną chustkę. Gdy przemówił, musiał dokonać wielkiego wysiłku, ale to, co powiedział, było świetnym podsumowaniem.

- To jeszcze nie jest zapłatą za Steinera.

Ale nie miałem na to odpowiedzi, więc minąłem go i wśród dymu i rzezi zszedłem na dziedziniec.

Znalazłem wóz terenowy, usiadłem za kierownicą i pojechałem do Charlottestown. Byłem zmęczony - bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Zbyt wiele się zdarzyło w zbyt krótkim czasie. Zbyt wiele zniszczenia. Zbyt wiele zabijania.

Główna ulica zatłoczona była robotnikami Todta i niemieckimi żołnierzami włóczącymi się bez celu. Dla nich coś się skończyło i wpadli w otchłań, która zawsze się otwiera, gdy kończy się stare i zaczyna nowe.

Powoli przejechałem koło kościoła i zobaczyłem Ezrę wychodzącego z cmentarza. Pomachał ręką i podbiegł do mnie.

- Co się zdarzyło tam w górze?

Powiedziałem mu, ale, dziwna rzecz, nie okazał większego zainteresowania.

- Szukam Simone. Znikła. Poszła z nami do szpitala, gdy zabieraliśmy Steinera, ale nie potrafiła znieść oczekiwania.

Gapiałem się na niego, nie pojmując, o co idzie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Steiner żyje?

- Owszem, jest w złym stanie, ale teraz nie jest już tak groźnie jak wówczas, gdy Paddy wziął go na stół operacyjny. Jeden pocisk przeszedł na wylot przez płuco, drugi obsunął się na żebrach. Będzie żył.

- A Simone o tym nie wie?

Skinął twierdząco głową.

- Bóg wie, gdzie to biedne dziecko teraz się znajduje.

Ale ja wiedziałem, byłem pewien, że wiem.

Ze szczytu klifów widziałem ją na brzegu morza. Zacząłem schodzić ścieżką obok tablicy ostrzegającej przed minami. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak mi się to udawało, bo nagle wszystkie moje kończyny zrobiły się jak z gumy i raz czy dwa potknąłem się i prawie straciłem równowagę.

U dołu ścieżki zobaczyłem miękki piasek, odpocząłem przez jakąś minutę, potem wstałem i podszedłem do niej. Odwróciła się do mnie, patrząc oczami zapuchniętymi od płaczu, a moje serce wyrwało się do niej.

Padła mi w ramiona, jak to tyle razy dawniej robiła, a ja głaskałem ją po głowie.

- Wszystko będzie z nim dobrze, Simone. To jest ta wielka nasza cecha, jego i moja. Pozostajemy przy życiu.

Powoli uniosła głowę, wbijając we mnie płonący wzrok.

- Manfred żyje? Mówisz mi, że Manfred żyje?

Wyrwała mi się i pobiegła po plaży, potykając się w luźnym piasku, szlochając histerycznie. Patrzyłem, jak wdrapuje się na kamienie u końca ścieżki i zaczyna się wspinać.

Nie czułem się wcale tak źle, jak sądziłem, że będę się czuł, gdy zobaczę, jak odchodzi. Przypuszczam, że w głębi serca już się przyzwyczailem do tej myśli. Bardzo miło było na tej plaży, gdzie fale toczyły się na miękki, biały piasek, i bez żadnego wytłumaczalnego powodu pomyślałem o Mary Barton, zapragnąłem, by się koło mnie znalazła, zapragnąłem tak intensywnie, że było to prawie objawienie.

Osunąłem się na piasek. Uśmiechałem się, bo w jakiś dziwny sposób życie zaczynało się na nowo. Wszystko się skończyło. Nie tylko wydarzenia ubiegłego tygodnia i to, co się z nimi wiązało, ale wszystko, co złożyło się na ubiegłe sześć lat. I co ja z tego wyniosłem? Jedno oko i Krzyż Rycerski. Henry by to docenił. Życie było zabawne, bez względu na punkt widzenia.

Pozostała jeszcze jedna rzecz, której dotychczas nie zrobiłem. Sięgnąłem ręką do kieszeni i wydobyłem nóż. Nacisnąłem sprężynę, ostrze wyskoczyło i z całej siły cisnąłem go daleko w morze. Błysnął raz, a potem zniknął na zawsze w szarych wodach.

Petrel zakrzyczał ochryple, zatoczył łuk nad moją głową i odleciał. Wstałem, poszedłem po piasku i powoli, bardzo powoli zacząłem wspinać się ścieżką.

Spis treści

Od Autora.	4
Prolog - Piękny poranek na umieranie	5
Król Pierwszych Czterystu	17
Zniszczyć natychmiast	23
Człowiek nazwiskiem Steiner	34
Szybki statek i nocna wyprawa	42
Na niebezpiecznym gruncie	53
A ziemia się poruszyła	59
Alles ist verriickt.	67
Kraj Stojących Trupów	77
Brygada drogowa	85
Ręka Boga	96
Doraźna sprawiedliwość	103
Ostrzeżenie sztormowe	109
Bunt	118
Zagłada Dumy Hamburga	125
Mill-Race	132
Steinerowi bije dzwon	140
Koniec zabijania	148

[1] Organizacja Todta - niem. Organisation Todt - zmilitaryzowane, a w pól ochotnicze oddziały robocze, pracujące na rzecz Wehrmachtu, a rekrutowane z ludności krajów okupowanych. Ponieważ organizacja zapewniała swym pracownikom umundurowanie, wyżywienie i żoład, praca w OT uchodziła za korzystniejszą niż przymusowa wywózka na roboty do Niemiec. Dla pewnej liczby Polaków zapisanie się do OT było sposobem na przedostanie się do partyzantki francuskiej, włoskiej czy jugosłowiańskiej. Również pod pokrywką OT działały niektóre oddziały „Wachlarza” AK na wschód od granic Polski.

[2] E-boat - angielski wojskowy skrót od Enemy boat na oznaczenie szybkich niemieckich motorowych łodzi torpedowych.

[3] Henry John Tempie wicehrabia Palmerston, brytyjski premier w latach 1855-1858 i 1859-1865.

[4] Kamień - stone - 14 funtów angielskich = ok. 6,35 kg. Radl ważył więc ponad 100 kg.

[5] Okrągłogłowi Cromwella. - ang. Roundheads - purytańscy poplecznicy

[6] Kapitan korwety - stopień w niemieckiej marynarce wojennej, odpowiadający komandorowi podporucznikowi.

[7] DSC - Distinguished Service Cross - wysoki order amerykański, nadawany za wyjątkowe męstwo okazane w boju.

[8] Królewska emerytura - dvii list pension - emerytura za szczególne zasługi, wypłacana z osobistych dochodów (dvii list) panującego. W Polsce międzywojennej istniał jej odpowiednik, zwany darem z łaski Prezydenta.

[9] Downing Street nr 10 - siedziba premiera Wielkiej Brytanii.

[10] Wyspy Normandzkie nie są częścią Zjednoczonego Królestwa, ale lennem Korony Brytyjskiej. Rządzą się Prawem Salickim, w związku z czym suzerenem nie może być królowa brytyjska, lecz król lub każdorazowy książę Walii. Prawo to odnosi się także do lennych władców poszczególnych wysp; w celu jego ominięcia, w razie sukcesji w linii żeńskiej, lenniczka przyjmuje tytuł męski. Na wyspach działa poczta brytyjska, gdyż formalnie jest ona królewska, a nie państwowa; ale każda wyspa emituje własne znaczki pocztowe. Zbliżony status prawny ma wyspa Wight, która podczas drugiej wojny światowej była państwem neutralnym, gdyż nie wypowiedziała Niemcom wojny.

[11] „Czteryestu” - w slangu amerykańskim śmietanka towarzyska. „Król” tutaj w znaczeniu: przywódca; aluzja do Fitzgeralda.

[12] Medal of Honor - najwyższe amerykańskie odznaczenie wojskowe, nadawane w imieniu Kongresu USA (stąd równoległa nazwa Congressional Medal of Honor) członkom sił zbrojnych, którzy w bezpośrednim boju z nieprzyjacielem wyróżnili się, narażając życie, nieustraszoną walecznością, znacznie wykraczającą ponad wymagania służby.

[13] Trzcinkę na konia (swagger stick) nosili pod pachą oficerowie brytyjscy jeszcze przed drugą wojną światową, jako swego rodzaju symboliczną oznakę władzy oraz uprawnienia do dosiadanania konia na paradach.

[14] Le Coursier - franc. rumak, wyścigowiec; The Mill-Race - ostry prąd obracający koło młyna wodnego, przepływ sztyletowy, prąd Pływowy.

[15] John Burgoyne, brytyjski generał, podczas amerykańskiej wojny o niepodległość w 1777 roku pod miastem Saratoga Sorings przegrał bitwę przeciw wojskom amerykańskim, którymi dowodził generał Horatio Gates. Poddanie się Burgoyne'a miało kluczowe znaczenie dla wyników całej wojny.

[16] Zarówno Louis hrabia Mountbatten (Battenberg), jak jego syn, Philip książę Edynburga, mąż Elżbiety II, zajmowali wysokie stanowiska w brytyjskiej marynarce wojennej; admirał L.M. w latach 1955-1959 był jej naczelnym dowódcą, a w latach 1959-1965 przewodniczącym komitetu szefów sztabów Wielkiej Brytanii.

[17] W brytyjskiej marynarce wojennej kalibry mniejszych dział określano tradycyjnie według wagi żelaznych kul w dawnych armatach.

[18] SOE - Special Operations Organisation - brytyjska formacja wywiadowczo-dyweryyjna.

[19] Gwinea - historyczna moneta brytyjska, bita ze złota z Gwinei. W późniejszym okresie, aż do przejścia na system dziesiętny, w Wielkiej Brytanii wartość gwinei ustalono na 21 szylingów (jeden funt i jeden Szyling). W gwineach obliczano honoraria przedstawicieli wolnych zawodów oraz wyceniano dzieła sztuki.

[20] Styl Adamów - styl architektury, wnętrzarstwa i meblarstwa, stworzony w XVIII w. przez braci Roberta i Jamesa Adamów.